

**KAROL MAY**

# **PUSTYNIA ZAGŁADY**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: SAND DES BERDERBENS I**

## DŻEZAR–BEJ, DUSICIEL LUDZI

W Australii polowałem na emu i kangura, w Bengalii na tygrysa, a na preriach Stanów Zjednoczonych na szarego niedźwiedzia i bizona. Tam na Dzikim Zachodzie spotkałem człowieka, który tak samo, jak ja, z czystej żądzy przygód, zapuszczał się w ponure i krwawe ostępy indiańskich obszarów i był dla mnie przyjacielem we wszelkich niebezpieczeństwach. Sir Emery był typowym Anglikiem, dumnym, szlachetnym, małomównym, odważnym aż do zuchwalstwa, zręcznym szermierzem, pewnym strzelcem, a przy tym człowiekiem gotowym do ofiar.

Obok tych licznych zalet posiadał pewne właściwości, które charakteryzowały go od razu jako Anglika i mogły czasem odstraszyć obcego, mnie jednak nie przeszkadzały, przeciwnie były często powodem niejednej skrytej, lecz niewinnej uciechy. Rozstaliśmy się swego czasu w Nowym Orleanie jako najlepsi przyjaciele, przyrzekając sobie, że znowu się zobaczymy. Spotkanie miało nastąpić w Algierze.

To, że wybraliśmy Algier miało swój powód. Zaczny Bothwell był tak jak ja, obieżyświatem. Złaził wszystkie kąty na ziemi, lecz z Afryki zwiedził tylko na południu Kapsztad, a na północy, „Gharb”, jak Arabowie nazywają wybrzeże od Maroka do Trypolis. Oczywiście pragnął poznać także wnętrze tej ziemi, czyli Saharę i Sudan, a potem chciał przez Darfor i Kordofan powrócić Nilem do cywilizacji. W Algierze mieszkał jego krewny, u którego dłuższy czas ongiś przebywał, aby się nauczyć po arabsku. Był to jego wuj, Francuz, szef domu handlowego, utrzymującego zyskowne stosunki z Sudanem. Nazywał się Latréaumont i u niego właśnie mieliśmy się spotkać.

Jeszcze za szkolnych czasów zajmowałem się ze szczególnym upodobaniem językiem arabskim, a potem starałem się te umiejętności uzupełnić podczas pobytu w Egipcie. Przebywając razem na prerii, mieliśmy doskonałą sposobność do dalszego ćwiczenia się w tym języku, dlatego parowcem „Vulkan”, należącym do *messagerie impériale* odpłynąłem z Marsylii z przekonaniem, że nie będzie mi trudno porozumieć się z dziećmi Sahary w ich ojczystym języku.

Afryka była dla nas, jak zresztą i dla wszystkich, krajem wielkich, nierozwiązanych zagadek, które mogły wzbudzić naszą ciekawość, ale i narazić na wiele niebezpieczeństw. Szczególnie ogarnął nas niezwykły zapał na myśl, że jak zabijaliśmy jaguara, szarego niedźwiedzia i bawołu, teraz będziemy mogli spróbować naszych rusznic na czarnej panterze i lwie. Emery Bothwell słuchał jakby z zazdrością opowiadań o odważnym myśliwym, Girardzie, który wspaniał się polowaniami na lwy, postanowił także zdobyć kilka grzywiastych skór.

Od czasu naszego rozstania upłynął cały rok, ale Emery Bothwell wiedział, kiedy mniej więcej przyjadę, a ponieważ mógł przypuszczać, że przybędę na parowcu francuskim, przeto doznałem pewnego rozczarowania, gdy wysiadając ze statku nie dojrzałem go w tłumie ludzi, czekających na brzegu lub śpieszących na łodziach na przyjęcie znajomych. Miasto Algier, położone na zachodniej stronie zatoki, ciągnącej się w kształcie półksiężyca, zwrócone było ku statkowi całym frontem. Biała jak kreda, pnąca się po zielonym zboczu gór masa domów bez dachów i okien patrzyła na przystań i wyglądała niemal jak skała wapienna, olbrzymia rzeźba gipsowa lub lodowiec w oświetleniu słonecznym. Wysoko na szczycie góry widniały baszty warowni, a u jej stóp rozciągały się oprócz fortecy Mersa Edduben rozmaite obwarowania.

Po wybrzeżu snuły się grupy postaci w białych burnusach, Murzyni i Murzynki w pstrych kostiumach, kobiety ubrane od stóp do głów w białe, wełniane szale, Maurowie i Żydzi w strojach tureckich, mieszańcy wszystkich barw, panowie i panie w europejskich strojach oraz wojsko francuskie wszystkich stopni i rodzajów broni.

Kazałem rzeczy swoje odnieść do hotelu de Paris, położonego przy ulicy Bab-el-Qued i posiliwszy się tam, poszedłem na ulicę Bab-Azoun, przy której znajdowało się mieszkanie pana Latréaumonta.

Oddałem kartę wizytową i w drzwiach ukazał się natychmiast sam szef.

— *Bienvenu, bienvenu monseigneur*, ale nie tu, nie tutaj! Proszę, chodź pan ze mną, muszę bowiem przedstawić pana mej pani i córce. Od dawna czekamy na pana z niecierpliwością!

To niespodziewane przyjęcie zaskoczyło mnie trochę. Czekano z niecierpliwością na mnie, nieznajomego? Z jakiego powodu?

Latréaumont, mały, bardzo ruchliwy człowiek, wydostał się na szczyt szerokich, marmurowych schodów, zanim ja zdołałem przebyć połowę. Dom ten był niegdyś pałacem bogatego muzułmanina, a połączenie arabskiej architektury z francuskim urządzeniem wywierało osobliwe wrażenie. Przez salon zaprowadzono mnie do pokoju rodzinnego.

*Madame*, w sukni skrojonej po europejsku z czarnego jedwabiu, siedziała na taborecie, przerzucając jakiś romans. *Mademoiselle* leżała na aksamitnej otomanie w wygodnym i malowniczym wschodnim stroju. Szerokie, jedwabne spodnie sięgały jej od pasa aż do kostek, a bosa noga tkwiła w niebieskim pantoflu, haftowanym złotem. Delikatne koronkowe wstawki przetykane złotem, okrywały jej szyję i piersi, a na tym miała turecką bluzkę, ozdobioną arabeskami i szeregami drogocennych guzików. Ciemne włosy, z wplecionymi w nie sznurami pereł, obwiązane były niebieskim i różowym fularem.

Obie panie wstały na nasz widok, prawie nie mogąc ukryć swego zdziwienia z powodu towarzyskiego *faux pas*, popełnionego przez pana domu, który obcego wpuścił do pokoju, nie oznajmiwszy go uprzednio. Zaledwie jednak usłyszały moje nazwisko, zdziwienie ustąpiło miejsca nieukrywanej radości.

*Madame* podbiegła ku mnie i ujęła mnie za rękę.

— Co za szczęście, że pan nareszcie przybył! Tęsknota nasza za panem nie miała granic, ale teraz odzyskamy z spokój, ponieważ pan pośpieszy za naszym dzielnym Bothwellem i pomoże mu odszukać Renalda!

— Zapewne, *madame*, że uczynię to, skoro pani sobie tego życzy, proszę tylko powiedzieć, kto jest ten Renald i jaki związek zachodzi między nim a Emerym, którego spodziewałem się tutaj zastać!

— Pan rzeczywiście nic jeszcze nie wie? *Mon dieu*, całe miasto mówi o tym od dawna!

— Ależ, Blanko — wtrącił Latréaumont — zważ na to, że pan przybywa prosto z portu!

— *Vraiment*, to prawda! Pan nie może jeszcze nic wiedzieć! Proszę usiąść! Clairon, przywitaj naszego gościa!

Młoda osoba skłoniła się uprzejmie, a matka poprosiła bym usiadł. Przyjęcie było tajemnicze, z niecierpliwością więc czekałem na to, co nastąpi.

— Zastaje nas pan w położeniu, — zaczął Latréaumont — które nakazuje odstąpić od zwykłych form. Emery opowiadał nam o panu bardzo wiele, a to wobec jego zamkniętego usposobienia skłania nas do zupełnego zaufania panu.

— Tak, do zupełnego i niewzruszonego — potwierdziła *madame*. — Pan odważył się już dotychczas na tyle niebezpiecznych przedsięwzięć z naszym krewnym, że spełnienie naszej prośby nie odstraszy pana z pewnością.

Śmiać mi się niemal chciało na myśl o tym, jak prędko ci mili ludzie zaczęli mną rozporządzać. Nie wiedziałem wprawdzie, o co idzie, lecz przysługa, której się ode mnie domagali, musiała być połączona z jakimś niebezpieczeństwem.

— Z całą ochotą oddaję się na wasze usługi! — odpowiedziałem

— Po tym, co o panu słyszeliśmy, nie spodziewaliśmy się niczego innego, chociaż muszę powiedzieć na nasze usprawiedliwienie, że prośba nasza nie pochodzi wyłącznie od nas; podyktował nam ją sam Bothwell.

— Jeśli jest w mojej mocy, to spełnię ją — zapewniłem.

— Dziękuję panu! — rzekł Latréaumont. — Ponieśliśmy wielką stratę, spotkało nas straszne nieszczęście...

— Straszne, okropne nieszczęście — wtrąciła żona, a łzy trysnęły jej z oczu.

Córka jej, Clairon, wydobyla także pachnącą chusteczkę.

— Proszę mi o wszystkim powiedzieć.

— Ja nie mogę mówić! Smutek odbiera mi słowa!

Ta mała, wątła kobieta okazała naraz wzruszenie tak głębokie, że przestraszyłem się.

— Chciałbym jednak coś o tym usłyszeć — zwróciłem się do Latréaumonta.

— Czy zna pan Imoszarów? — zapytał, dodając natychmiast żywym południowym zwyczajem — Ale nie, pan ich znać nie może, ponieważ pan dopiero przybył. Zapewniam pana, że Imoszarowie czyli Tuaregowie to straszni ludzie, a droga karawan z Ain Salah do Ahir, Dzenneh i Sakkatu, którą wysyłam moje towary do Sudanu, prowadzi właśnie przez ich terytorium. Mój dom jest jedynym w Algierze, który utrzymuje bezpośrednie stosunki z Timbuktu. Pullo, Haussa, Bornu i Wadai, a ponieważ znajdujemy się z dala od gościńców i dopiero w Ain Salah, albo w Ghadames i Ghad mamy połączenie, przeto utrzymywanie takich niepewnych handlowych stosunków połączone jest często z ogromnymi ofiarami i stratami. Najcięższa jednak spotkała nas z ostatnią *kaffilą*, czyli karawaną handlową.

— Napadli na nią Tuaregowie?

— Zgadł pan. *Gum*, karawana zbójcka uderzyła na nich i wszystko wybiła. Jeden człowiek tylko zdołał umknąć, gdyż zaraz na początku walki udał nieżywego. On przyniósł mi wieść o ciosie, jaki dotknął moją rodzinę.

— Pański dom odzyska to wkrótce!

— Dom tak, ale rodzina nigdy! Utratę dóbr można przeboleć, ale Renald, mój jedyny syn, jechał z *kaffilą* i nie powrócił.

Teraz nie zdołały już panie wstrzymać głośnego płaczu. Ja przez kilka chwil milczałem, a wreszcie spytałem:

— Czy nie otrzymaliście żadnej wiadomości o jego losie? Rozbójnicy pustyni zwykle nie znają pardonu.

— On jeszcze żyje!

— Ach! Możecie to uważać za cud, jeśli nie zaszła pomyłka!

— Żyje na pewno, gdyż otrzymaliśmy od niego wiadomość.

— Przez kogo?

— Przez pewnego Tuarega wysłanego przez *aguida*, ich dowódcę. Żądał okupu.

— I państwo zapłaciliście?

— Musiałem.

— Co się złożyło na ten okup?

— Towary, które polecono mi wysłać do oazy Melrir.

— A syn?

— Mimo to nie powrócił. Rozbójnicy wystąpili z nowym żądaniem.

— Które pan również zaspokoił?

— Tak.

— I z tym samym skutkiem?

— Tego jeszcze nie mogę powiedzieć. Kiedy przybył drugi posłaniec zjawił się Bothwell. Było to mniej więcej przed dziesięciu miesiącami i...

— Więc Emery jest od tak dawna w Afryce? — przerwałem — Dopiero w tym miesiącu miał udać się do Algieru!

— Wypoczął tylko przez kilka tygodni w Anglii, a nie mogąc oprzeć się swej żylce podróżniczej, przybył tutaj w sam czas!

— Domyślam się już, co się dalej stało. Miejscowe władze, nie pomogły panu. Pozostawiono pana samemu sobie, aż tu nasz Anglik zgodził się wziąć sprawę w swoje ręce.

— Tak jest.

— Co on postanowił.

— Kazał odesłać żądane towary, lecz sam udał się potajemnie za nimi.

— To śmiało przedsięwzięcie! Z ilu towarzyszymi wyjechał?

— Tylko z przewodnikiem i z jednym arabskim służącym.

— W którym kierunku?

— Tym razem miały towary odejść na oazę Lotr.

— Jakich zażądano towarów?

— Gotowych burnusów i chust na głowę, długich strzelb, noży, szeroko wyciętych butów, jakie zazwyczaj noszą Arabowie i mnóstwa przedmiotów obozowych.

— Widzę, że *gum* chce całe swoje zapotrzebowanie pokryć tą zdobyczą, a potem mimo to nie wydać panu syna. Oszustwa dokonanego na niewiernym, Arab nie uważa za grzech. A, czy Emery kazał poznać wszystkie towary?

— Skąd pan o tym wie? — spytał zdziwiony.

— On działa w tym wypadku jak amerykański *westman*, a z tej strony znamy się dobrze. Kto żył latami wśród plemion indiańskich dzikiego Zachodu i każdej chwili był narażony na śmierć, ten nauczył się rozmaitych sztuczek, które mogą mu się przydać na Saharze. Jaki to był znak?

— Inicjały mego imienia i nazwiska: Andre Latréaumont, a zatem A. i L. Te litery wypalono na kolbach i głowniach strzelb oraz noży, a z dodaniem arabeski wyszyto na kołnierzach burnusów oraz w rogach chust i koców.

— Emery poznał po tym rozbójników. Jest jakaś wiadomość od niego?

— Nawet pewna. Przesłał mi ją przed dwoma tygodniami i od tego czasu czekam z utęsknieniem pańskiego przybycia.

— Mam za nim podążyć, nieprawdaż?

— Istotnie. Oto pismo, które przyszło od niego z Zinder!

Bothwell napisał tylko kilka słów. Nie donosił wprawdzie, jakoby wynik jego starań był pocieszający, prosił jednak, by nie tracili nadziei oraz wysłali mnie za nim, gdy tylko przybędę. W liście nie podano ani czasu, ani miejsca.

— Kto przyniósł ten list? — zapytałem.

— Arab z plemienia Kubabisz, który czeka na pana i posłuży panu za przewodnika.

— Gdzie on jest?

— Tutaj. Czy kazać go zawołać?

— Proszę!

Stwierdziłem, że jestem dzieckiem szczęścia, gdyż zaledwie postawiłem nogę na ziemi afrykańskiej, a już wciągnięto mnie w sprawę, która mogła obfitować w najbardziej zajmujące wydarzenia. Latréaumont zadzwonił na Araba, a panie, ciekawe rozmowy, zapomniały o swym bólu.

Podczas mego pobytu w Egipcie przedsięwziąłem wycieczkę do Siut, Dakhel, Kardzeh i Soleb aż do oazy Solimeh i wtedy zetknąłem się z kilkoma Arabami Kubabisz, których poznałem jako dzielnych wojowników i doskonałych przewodników. To też czekałem na rozmowę z Kubbaszim z pewnym zainteresowaniem.

Wreszcie przyszedł. Arabowie są przeważnie smukli i chudzi. Tego człowieka jednak można było nazwać olbrzymem. Był tak wysoki i tak szeroko rozrośnięty, że omal nie wyrwał mi się okrzyk zdumienia. Jego długa i gęsta broda, w połączeniu z uzbrojeniem od stóp do głów, robiła zeń postać groźną. Lepszego towarzysza życzyć sobie nie mogłem, gdyż sam jego widok mógł nieprzyjacielowi napędzić strachu.

Skłonił się z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i powitał nas głębokim, do grzmotu podobnym, basem:

— *Sallam aalejkum*, pokój z wami!

— Marhaba, bądź pozdrowiony! — odpowiedziałem. — Jesteś synem walecznych Kubabisz?

Ku mnie błysnęło dumne spojrzenie jego ciemnych oczu.

— Kubabisz są najślawniejszymi dziećmi wielkiego Abu Cett, sidil. Ich szczep obejmuje więcej, niż dwadzieścia plemion, a najwaleczniejsze z nich to En Nurab, do którego ja należę.

— En Nurab? Znam to plemię! Szejkiem jego jest mądry Fadharalla–Uelad–Salem, obok którego klaczy jeździłem.

— *Bismillah*, to dobrze, sisi, gdyż teraz wolno mi słuchać twojego głosu, chociaż jesteś niewiernym z biednego Frankistanu!

— Jak ci na imię?

— Imię moje trudne dla twego języka. Nazywam się: Hassan–Ben–Abulfeda–Ibn–Haukal al Wardi–Jussuf Ibn–Abul–Fosian–Ben–Ishak al Duli.

Śmiać mi się chciało. Przede mną stał jeden z tych Arabów, którzy do swego pojedynczego imienia przyczepiają całe drzewo genealogiczne, częściowo, aby uczcić swoich przodków, przeważnie jednak po to, żeby na słuchającym wyrzeć wrażenie. Odpowiedziałem więc:

— Hassanie–Ben–Abulfeda–Ibn–Haukal al Wardi–Jussuf–Ibn –Abul–Foslan–Ben–Ishak al Duli! Język mój potrafi wymówić twoje imię, sięgające, gdy się je napisze, od Bengazi aż do Kaszenah mimo to ja będę cię zwał tylko: Hassanem, gdyż Mahomet powiada: „Nie mów dziesięciu słów tam, gdzie jedno wystarczy”.

— Ucho moje będzie zamknięte, jeśli będziesz mnie wołał: „Hassanie”, sisi. Ci, którzy mnie znają, nazywają mnie: Hassan el Kebihr. Hassanem Wielkim, gdyż musisz wiedzieć, że jestem Dżezzar–bej, dusiciel ludzi!

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki; zna go każde stworzenie, ale o Dżezzar–beju, dusicielu ludzi, nie słyszałem jeszcze ani słowa! Kto cię tak nazwał?

— Każdy, kto mnie znał, sisi!

— A ilu ludzi już zadusiłeś?

On spuścił oczy z zakłopotaniem ku ziemi.

— Step się trzęsie, a Sahel drży, gdy się Dżezzar–bej pojawi, sisi, lecz serce jego jest pełne łaski i miłosierdzia, gdyż: „niechaj dłoń twoja będzie silną, jak łapa pantery, lecz miękka, jako źdźbło trawy na polu”, uczy pobożny Abu Hanifa, któremu posłuszny jest każdy wierny.

— W takim razie imię twoje jest makaszl, a ja użyję go dopiero wówczas, gdy się przekonam, że na nie zasługujesz!

Zacząłem nabierać pewności, że poczciwy Hassan el Kebihr pomimo swej olbrzymiej postaci i arsenału broni, jaką się obwiesił, był całkiem niewinną istotą. Pustynia ma tak samo swoich błagierów, jak piwiarnia lub salon.

— Zasłużyłem na nie, w przeciwnym bowiem razie nie miałbym go, sisi — odparł dumnie. — Patrz na tę strzelbę, te pistolety, na ten *muzraz*, *nóż*, na ten *kussa* — dwuręczny miecz i na tę *abu–tum* — włócznię, przed którą nawet odważny Uelad–Silman umyka! A ty nie chcesz uznać mojego imienia? Nawet sisi Emir nie odmawiał mi go!

Sidi Emir? Czyżby zmienił angielskie Emery na wschodnie Emir?

— Kto to jest sisi Emir?

— *Rabbena chalieq*, niech Bóg zachowa ciebie i twój rozum, sisi! Czy obce jest imię tego, który mię przysłał do ciebie?

Rzeczywiście, Hassan zrobił z naszego Emeryego emira! Rozbawiło mnie, przybrałem jednak poważny ton, aby go utrzymać w ryzach.

— Opowiedz mi o sidim Emerym!

— Byłem w Bilmie, skąd wyruszyła *kaffila* do Zinder, a ja ją prowadziłem. Musisz wiedzieć, sisi, że Hassan el Kebihr, Hassan Wielki, to słynny *khabir*, przewodnik karawan, obeznany z wszystkimi drogami Sahary, którego wzroku nie ujdą najmniejsze ślady.

Jeśli tak było w istocie, to jego towarzystwo mogło mi rzeczywiście przynieść wielką korzyść. Postanowiłem wypróbować go natychmiast, by wiedzieć, co o nim sądzić.

— Czy mówisz prawdę, Hassanie? — zapytałem. On zaś przybrał, najdumniejszą postawę i odrzekł:

— Czy wiesz, kim jest *hafiz*, *sidi*?

— Taki, co umie na pamięć Koran.

— Jesteś mądry, chociaż pochodzisz z Frankistanu. A zatem dobrze, *sidi*! Hassan–Ben–Abulfeda–Ibn–Haukał al Wardi–Jussuf–Ibn–Abul–Foslan–Ben–Ishak al Duli jest *hafizem*, który może ci wygłosić wszystkich sto czternaście *sur* i wszystkich sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć *ajatów* Koranu, ty zaś jesteś *giaurem*. Czy możesz wątpić o prawdziwości słów wierzącego muzułmanina?

— Trzymaj język na wodzy, Hassanie, gdyż nie przywykłem do tego, żeby mnie ktokolwiek obrażał, choćby był dziesięć razy *hafizem* i sto razy muzułmanin! Wyteż swą pamięć, a przypomnisz sobie, że chrześcijanie nie są niewiernymi, gdyż tak samo, jak wy, otrzymali swoją świętą księgę. Tak mówią wszyscy mądrzy nauczyciele od pierwszego emira el Mumiaina aż do pobożnego Abu Hanify, którego słucha każdy wierny. Uczyłeś się Koranu, lecz czy znasz także *ilm teffir el kuran*. Tam napisano, że tylko bałwochwalca jest *giaurem*!

— Jesteś mądry, jak uczeń teologii, *sidi*, lecz byłbyś jeszcze mądrzejszym, gdybyś wierzył moim słowom.

— Uwierzę, jeśli mi powiesz, które oazy tworzą klucz do Rifu.

— Ain es Salah, Ghadames, Ghat, Murzuk, Audželah i Shit.

— A do Sudanu?

— Ahgades i Ahir, Bilma, Dongola, Khartum i Berber.

— Którędy się jedzie z Kordofan do Kairu?

— Z Lobeid do Khartum przez Kurssi, Sanzir, Koamat i Tor el Khada. Podróż trwa dziesięć dni. Albo jedzie się z Lobeid do Debbeh przez Barah, Kaymar, Dżebel, Haraza, Way i Ombelillah. Ta droga jest o osiem dni dłuższa, lecz lepsza od poprzedniej.

— Ile czasu potrzeba na odbycie drogi z Soaken do Berberu?

— Droga prowadzi obok słynnej krynicy Ruay, przez terytorium Amawrów, Hadendoów i Omramów, którzy są nubijskimi pasterzami. Możesz ją przebyć w dwunastu dniach, *sidi*.

Arab dawał odpowiedzi szybko, dokładnie i z widocznym zadowoleniem z powodu świetnego wyniku tego krótkiego egzaminu.

— Wierzę ci, Hassanie — rzekłem po prostu. — Teraz opowiadaj dalej! Prowadziłeś więc *kafilę* do Zinder!

— Z Bilmy do Zinder. Tam spotkałem *sidi* Emira. On dał mi wszystko, czego mi było potrzeba i posłał tutaj, gdzie miałem zastać dzielnego *sidi* z Germanistanu, którego kazał mi przyprowadzić do siebie.

— Gdzie z nim się spotkam?

— Koło Bab el Ghudt, gdzie dochodzi się z wędrownych kup piasku do skał Seriru. Czy słyszałeś *sidi*, o złych dzinnach pustyni?

— Znam je. Czy boisz się ich, Hassanie?

— Hassan el Kabih, Hassan Wielki, nie boi się ani szejtanów, ani złych dzinnów, bo wie, że one uciekną, jeśli się odmów *isuraten nasi surat elfalak*. A ty jesteś chrześcijaninem i nie umiesz odmawiać *sur*, ciebie więc połkną, kiedy wejdiesz na Serir.

— Dlaczegoż w takim razie pozwoliłeś *sidi* Emirowi iść do Bab al Ghud? Pewnie go połkną, zanim tam dotrzemy!

Ta niespodziewana odpowiedź wprawiła go w pewien kłopot, ale poradził sobie:

— Pomodłę się za niego?

— Za niewiernego? Dobrze, Hassanie, widzę, że jesteś pobożnym synem proroka. Zmów za niego *surat en nas*, a za mnie *surat elfalak*, a wtedy nie będziemy potrzebowali się obawiać dzinnów pustyni. Wyruszę jutro, gdy się słońce podniesie.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki, sidi! Tylko on potrafi wszystko i jemu tylko wszystko wolno, człowiek zaś musi mu być posłusznym i nie może rozpoczynać podróży z zorzą poranną. Na to jest pora o trzeciej popołudniu.

— Zapominasz, Hassanie, że ten czas obowiązuje karawany, a poszczególni podróżni mogą jechać, kiedy im się podoba.

— Sidi, jesteś naprawdę wielkim i uczonym *fakihem*. Ja oplakuję godzinę, która dała ci Franka za ojca, a chrześcijankę za matkę. Widzę, że jesteś *hafizem*, który umie na pamięć Koran, będę ci więc wierny, posłuszny i zaprowadzę cię, gdzie tylko zechcesz!

— Czy masz jakieś zwierzęta?

— Nie, sidi. Wyjechałem z dwoma dżemelami z Zinder. Jeden padł na pustyni, a drugiego po przybyciu tutaj, musiałem sprzedać.

— Więc pojedziemy pocztą stepową stąd do Batny, a stamtąd pocztą pustynną przez Dżebel–bou–Rezal do osiemnastu oaz Sibanu, gdzie w Biskara możemy sobie kupić dobre hedżiny. Bądź zatem gotów o wschodzie słońca, a jeśli w drodze do Bab el Ghud przekonasz mnie o swej waleczności, nie omieszkam nazywać się Dżezzar–bej i el Kebihr!

— Czy sądzisz może, sidi, że jestem *tuszan* — tchórz? Nie boję się ani lwa, ani samum; chwytam assaleh i strusia, poluję na gazelę i gnu, a zabijam panterę i niedźwiadka. Gdy głos mój zabrzmiał, drży wszystko, a ty nie odmówisz mi należnego imienia. *Sallam aalejkum!* Pokój z wami!

Opuścił pokój z głębokim ukłonem.

Pani Latréaumont przystąpiła do mnie i ujęła mnie za rękę.

— A więc naprawdę spełni pan naszą prośbę, chociaż jest tak wielka i wymaga tyle odwagi? I zaraz jutro chce pan odjechać?

— *Madame*, położenie nasze wymaga szybkiego działania. Jeśli mi państwo pozwolicie, to po powrocie skorzystam z waszej gościnności. Czy będzie mi wolno zostawić u państwa te rzeczy, których nie mogą zabrać ze sobą.

— Poślę natychmiast na statek i wszystko, co... — *Pardon*, zajechałem już do hotelu de Paris.

— Rzeczywiście? Wie pan, że nas to obraża!

Musiałem wysłuchać trochę uprzejmych wyrzutów po czym całą sprawę oddano jednemu ze służących. Miałem właśnie pójść do przeznaczonego dla mnie pokoju, kiedy oznajmiono Araba, który chciał rozmówić się z panem domu. Przyjęto go w mojej obecności.

Na długiej postaci wisiał sterany burnus, wystrzępione sznury z wielbłądzich włosów opadały z kaptura, był synem pustyni nie lękającym się niebezpieczeństwa i umiejącym ze spokojem znosić wszelkie trudy.

— *Sal aalejk!* — pozdrowił dumnym skrótem, przy czym nie było widać najlżejszego pochylenia głowy. Kolba jego strzelby uderzyła posadzkę, a ciemne jego oko przebiegło od jednego z nas do drugiego z wyrazem wyższości człowieka wolnego i prawowiernego.

— Pomów pan z nim — szepnął mi Latréaumont. — To Tuareg, który był u mnie w sprawie Renalda.

Nic nie mogło mi być bardziej na rękę niż to, że ten posłaniec przybył dzisiaj.

— *Sal aal!* — odwzajemniłem jeszcze krócej, wiedząc, że Beduin tym sposobem wyrażania się okazuje stopień szacunku osobie, do której przemawia. — Czego chcesz?

— Ty nie jesteś tym, z którym mam mówić!

— Nie masz mówić z nikim innym, tylko ze mną!

— Nie przychodzę do ciebie!

— To możesz odejść!



Odwróciłem się, a reszta towarzystwa także skierowała się ku drzwiom.

— Sidi! — zawołał. Szedłem dalej.

— Sidi! — rzekł natarczywie. Na to odwróciłem tylko głowę.

— Czego chcesz?

— Pomówię z tobą!

— Jak się nazywasz?

— Mahmud Ben Mustaia Abd Ibrahim, Jaakub Ibn Baszar.

— Imię twoje dłuższe, niż powitanie. Wasz prorok, wielki Mahommed Ibn Abdallah el Haszemy, powiada: „Bądźcie uprzejmi nawet z niewiernymi i nieprzyjaciółmi, ażeby nauczyli się czcić waszą wiarę i Kaabę!” Zapamiętaj to sobie! Jesteś Tuareg?

— Tuareg i Imoszar.

— Z którego szczepu?

— Hedżan–bej, dusiciel karawan, nie pozwala swoim wojownikom wymieniać szczepu wobec Franków.

Ogarnął mnie lekki strach na te słowa. A więc Renald był w niewoli osławionego Hedżan–beja! To była najgorsza wiadomość, jaką mogłem otrzymać. Słyszałem o tym okrutnym i śmiałym rozbójniku pustyni. Nikt nie wiedział, do jakiego szczepu właściwie należał, a cała pustynia była dlań terenem łowów. Od algierskiego stepu aż do Sudanu i od oaz egipskich aż po Wadan i Walada w zachodniej Saharze znane było jego imię. Wynurzając się to tu, to tam, zniknął potem równie szybko, jak przychodził, lecz wszędzie i zawsze, gdzie się tylko pojawił, zabierał ofiary z mienia i życia ludzkiego. Niewątpliwie miał ukryte miejsca pobytu, rozsiane po całej Saharze i agentów, którzy donosili mu o każdej znaczniejszej karawanie oraz pomagali w zbyciu zrabowanych towarów. Ale osobę jego i czyny osłaniała tajemnicza ciemność. Uznałem za stosowne udać wobec jego posłańca, że nic o nim nie słyszałem.

— Hedżan–bej? Kto to?

— Nie znasz dusiciela karawan? Czy ucho twoje jest głuche, że nic o nim nie słyszałeś? On jest panem pustyni, strasznym w gniewie, okropnym w złości, przerażającym w nienawiści i niezwykłym w walce. Młody niewierny jest u niego w niewoli.

Roześmiałem się.

— Niezwykły w walce? Walczy więc chyba z małym szakalem i tchórzliwą hieną? Żaden z Franków nie obawia się jego gniewu ani jego *gum*. Czemu nie wypuścił dotąd pojmanego? Czy nie otrzymał już dwa razy okupu?

— Pustynia wielka, a Hedżan–bej ma wielu ludzi, potrzebujących odzieży, broni i namiotów.

— Dusiciel karawan jest kłamcą i oszustem. Jego serce nie zna prawdy, a jego fałszywy język ma dwa końce, jak język węża. Z jakim żądaniem przychodzisz?

— Daj nam burnusów, obuwia, broni, prochu, ostrz do włóczni i płócien na namioty!

— Już dwa razy to otrzymaliście. Nie dostaniecie ani kawałka płótna, ani ziarnka prochu!

— To jeniec umrze!

— Hedżan–bej nie wyda go nawet wtedy, jeśli dostanie, czego żąda.

— On daruje mu wolność. Dusiciel karawan będzie łaskawy, skoro otrzyma okup.

— Ile żąda?

— Tyle, ile już dostał.

— To dużo. Czy ty masz zabrać towary?

— Nie. Poślesz mu je, jak poprzednio.

— Dokąd?

— Do Bah el Ghud.

Była to ta sama miejscowość, do której kazał mi przybyć Emery! Był to przypadek, czy też może on wiedział, że rozbójnik będzie się tam znajdował?

— Czy spotkamy tam jeńca i odzyskamy go za okup?

- Tak.
- Czy mówisz prawdę?
- Nie kłamie!
- Dwa razy już tak powiedziałaś, a jednak skłamałaś. Przysięgnij!
- Przysięgam.
- Na duszę ojca twego!
- Na duszę... mojego... ojca.! — wybuchnął z wahaniem.
- I na brodę proroka?

Teraz był całkiem zakłopotany.

- Przysięgłem i dość już tego!
- Przysięgłaś na duszę ojca, która nie warta więcej, niż twoja. Za obie razem nie dam ani jednej *sisz* lub *bla halef*, a przysięga na nie nie warta ziarnka piasku, którego pełno na pustyni. Czy przysięgniesz na brodę proroka?

— Nie.

— W takim razie słowo twoje jest kłamstwem i obłudą, a ty nie zobaczysz już nigdy gwiazd pustyni.

Oko jego błysnęło gniewem.

— Wiedz o tym, niewierny, że dusza jeńca pójdzie do *dzehenny*, jeśli ja na czas nie przybędę do, Hedżan–beja. To mogę ci przysiąc na brodę proroka, który umie chronić swych wiernych!

— W takim razie dusza twoja pójdzie tam wcześniej, a kości dusiciela karawan i jego bandy zbieleją w żarze słonecznym. Przysięgam ci na Jezusa, syna Marii, którego wy nazywacie Iza Ben Marryam. On jest mocniejszy od waszego Mahometa, gdyż sami mówicie o Nim, że usiądzie kiedyś na meczecie Omajadów w Damaszku, aby sądzić wszelkie stworzenia ziemi, powietrza i wody!

Arab podrzucił głowę w górę i wsunął palce prawej ręki pod brodę, co u Beduinów oznacza zupełną pogardę.

— Przyniesiecie wszystko, czego żądamy! Byłem, u was dwa razy i nie poważyliście się podnieść ręki na posła Hedżan–beja, a dziś także tego nie uczynicie. Stu takich, jak ty, nie zdołałoby go zwyciężyć, a tysiąc takich, jak ty, nie pokonałoby jego *gum*, ponieważ jesteś giaurem.

Przystąpiłem doń natychmiast z podniesioną pięścią.

— Czy twoja głowa pusta, a duch twój wysechł, że ośmieliłeś się powiedzieć o mnie to słowo, ty, który nie jesteś niczym więcej, jak tylko *kelb* — pies, którego się powala na ziemię?

Upuścił od razu strzelbę na ziemię i wznosił obie ręce. U obu przegubów zwisały mu ostre *kussa*, długie na osiem cali. Zwyczajny Beduin nosi tylko jeden taki nóż, rozbójnik zaś z pustyni dwa i używa ich w ten sposób, że obejmuje rękami przeciwnika i wbija mu oba noże w plecy. Mój Tuareg przygotował się do tego kroku.

— Czy odwołasz to słowo? — zapytałem.

— Powiadam jeszcze raz, giaurze!

— To upadnij przed giaurem!

Zanim się zdołał poruszyć, uderzyłem go pięścią w czoło tak, że zgiął się, a potem padł nieprzytomny na ziemię. Był to ten sam cios myśliwski, dzięki któremu nazywano mnie na prerii Old Shatterhand.

— *O mon dieu!* — krzyknęła *madame*. — Pan go zabił.

*Mademoiselle* leżała na pół zemdlona na otomanie, a Latréaumont nie mógł przemówić ani słowa.

— Bez obawy, *madame* — pocieszyłem ją — ten ananas żyje, chociaż na pewien czas stracił przytomność. Znam dobrze moją pięść; gdybym chciał go zabić, byłbym się zamierzył cokolwiek dalej.

Te słowa wróciły oddech przestraszonemu Francuzowi.

— Ależ z pana prawdziwy goliat! Ja musiałbym zadać przynajmniej kilkaset takich uderzeń, aby takiego olbrzyma położyć.

Francuz, który sięgał mi zaledwie do ramienia, a miał ręce dziecka, mówił słusznie. Mógłby całymi miesiącami grzmocić po czaszce Tuarega i nie sprawiłby mu krzywdy.

— Proszę, — odrzekłem — postaraj się pan o to, żeby tego Beduina związane i oddano policji. Jej władza nie sięga wprawdzie aż na pustynię, tu jednak będzie chętna na pańskie usługi.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Czy naprawdę?

— Oczywiście!

— Tego nie możemy zrobić, bo straszliwy Hedżan–bej zabije naszego biednego Renalda! Co więcej, zdaje mi się, że to okropne uderzenie jest już nadzwyczajną śmiałością!

— Wytlumaczę powody mego kroku, proszę jednak postąpić tak, jak radzę. Oświadczył pan, że posiadam pana zupełne zaufanie?

— Rozumie się, *monseigneur*. Chcę właśnie zawołać służbę.

Pobiegł do dzwonka, a na jego donośny głos przybiegła służba.

— Zwiążcie tego człowieka i wrzucicie do piwnicy, dopóki nie nadejdzie policja! — rozkazał z miną, jak gdyby to on powalił go uderzeniem.

Z istic południowym temperamentem rzucono się na nieprzytomnego i w mgnieniu oka związane tak ciasno, że po odzyskaniu przytomności się nie mógł ruszyć. Następnie pochwyliło jeńca osiem rąk, aby go wywlec. Jeden ze służących zatrzymał się w drzwiach i nie brał udziału w wysiłkach reszty. Była to przysadkowata figura, o twarzy nie nadającej się do orientalnego stroju. Zauważywszy, z jakim trudem tamci ciągnęli Tuarega do drzwi, przystąpił bliżej i odsunął ich na bok.

— *Maszallah!* Wyoście się, nicponie, ja sam to zrobię!

Jednym szarpnięciem i silnym rozmachem zarzucił Tuarega na ramię. Usłyszawszy swój język ojczysty oniemiałem z radości i pozwoliłem służącemu wybiec z pokoju, nie zatrzymawszy go.

— Stać! — zawołałem, kiedy był już za drzwiami. — Czy jesteś Niemcem?

W jednej chwili zwrócił się do mnie, pomimo ciężaru na plecach, a szeroka twarz jego rozjaśniła się od ucha do ucha. — Tak, panie, a czy pan także?

— Właśnie. A skąd pochodzisz?

— Z Bawarii.

— Z Bawarii? A czemu twój dialekt jest inny?

— Tak, panie... weźcie go sobie! Wleczcie go, gdzie wam się podoba — przerwał sobie, upuszczając Tuarega na ziemię.

Araba wyniesiono, a ziomek podał mi rękę i mówił dalej:

— Tak, mam znów wolne ręce. Witam pana w Afryce! Jestem z Bawarii. Tam jest piwo... lecące do gardła, jak mysz do dziury. Byłeś pan tam? To pięknie, to wspaniale! Wymowę popsuli mi tu inni rodacy.

— Są tu więc jeszcze inni z naszych stron?

— Aż nadto, panie. Są we wsi Dely Ibrahim koło El Biar, gdzie znajduje się klasztor Trapistów. A pan skąd?

— Ja jestem Sasem.

— *Maszallah*, nasz sąsiad! Wolno zapytać, jak długo pan tu zabawi?

— Jutro rano odjeżdżam.

— Już? A dokąd?

— Na Saharę.

— Do nory piasku i morderców? Byłem tam już, w Farfar i od dawna chciałem znowu pojechać. *Maszallah*, panie, czy weźmiecie mnie z sobą?

- Poszedłbyś rzeczywiście?
- Zaraz i z przyjemnością!
- Czy jeździsz konno?
- Jeździć konno? Jak diabeł, panie! Przybyłem tu z Legią Cudzodziską, służyłem w afrykańskich szaserach.
- Umiesz po arabsku?
- Tyle, ile potrzeba.
- Czym byłeś przedtem?
- Stolarzem. Nauczyłem się też czegoś, panie, dobrze biję. Potem dostałem się do Legii, niech ją kaczka kopnie! Następnie pracowałem w Dely Ibrahim, dopóki tu nie wstąpiłem na służbę. Spytaj pan, pana; niewątpliwie jest ze mnie zadowolony!
- Pójdiesz ze mną! Wyjednam ci u niego pozwolenie.
- *Maszallah*, to całkiem tak, jakby podarek na gwiazdkę. Czy pójdzie także ten wielki Hassan z długim imieniem?
- Tak, on nas poprowadzi.
- On mi się podoba! Pójdę, z panem, może mi pan wierzyć! Mlaskając językiem i strzelając palcami, wybiegł za drzwi.

## ASSAD–BEJ, DUSICIEL TRZÓD

Step. Rozciąga się na południe od Atlasu, Gharianu i gór Demy i, jak trafnie mówi poeta, od morza do morza, a kto przeszedł przezeń, tego przejmuje dreszcz stracha Leży przed Bogiem w swej pustce jak próżna dłoń żebraka, a przepływające go strumienie, bruzdy wyjeżdżone kołami i ślady stóp zwierzęcych, to zmarszczki na tej ręce, wyłobione przez niebo.

Sięgając od Morza Śródziemnego aż do Sahary, a więc leżąc pomiędzy symbolem urodzajności i cywilizacji, a widomym znakiem nieurodzajności i barbarzyństwa, tworzy step szereg wyżyn, których łyse góry wznoszą się, jak smutne westchnienia niewysłuchanej modlitwy. Ani tu domu, ani drzewa! Co najwyżej jakiś zapadły *karawanseraj* użycza oku miłego wypoczynku i to tylko w lecie, kiedy nędzna roślinność wydobędzie się z wyschłego gruntu, wlecze się w górę kilka szczepów arabskich z namiotami i trzodami, aby swoim wychudłym zwierzętom dać jakakolwiek paszę. W zimie natomiast, spoczywa step zupełnie opuszczony pod powłoką śniegu, który i tutaj, mimo bliskości rozżarzonej Sahary, miecie wirami płatków przez zamarłe pustkowie.

Dokoła nic nie widać prócz piasku, skał i kamieni. Gruz krzemieny i ostrokanciaste rumowisko pokrywa ziemię, a wędrowne ławy piaszczyste posuwają się krok za krokiem przez smutną płaszczynę, gdzie się zaś pokaże stojąca woda, to chyba tylko szot z wodą, wypełniająca jego łożysko, jak martwa masa, z której zniknął wszelki błękitny ton, ustępując miejsca sztywnej i brudnej szarzyźnie. Te szoty wysychają w letniej spiekocie, nie zostawiając po sobie nic, oprócz koryta, pokrytego grubą warstwą soli kamiennej.

Niegdyś znajdowały się tu lasy, lecz dzisiaj nie ma już tych zbawczych regulatorów wodnych. Łožyska rzek i strumieni, zwane *wadi*, ciągną się z gór, jako ostre wcięcia i skaliste parowy, a ich groźnej płataniny w zimie nie zakrywa nawet śnieg. Kiedy jednak stopi się nagle w ciepłe pory gorącej, wówczas rzuca się niespodziewanie rozszalała masa wody w głąb i niszczy wszystko, co nie zdoła zawnoczuć uciec. Wtedy chwytą Beduin swoich dziewięćdziesiąt dziewięć kulek różańca, by podziękować Allahowi, że nie kazał mu się zetknąć ze spadającą wodą i ostrzega zagrożonych okrzykiem: „Uciekajcie, ludzie, wadi nadchodzi!”

Chwilowe powodzie i stojące wody szotów wywabiają z ziemi na brzegach jezior i rzek kolczaste krzaki mimozy, które wielbłądy, dzięki swym twardym wargom, obgryzają dla zaspokojenia głodu. Pod ich osłoną śpią także lew i pantera, odpoczywając po swoich nocnych wyprawach.

Jak postanowiono, wyruszyłem rano z Kubbaszim Hassanem i z Józefem Korndorferem, z Algieru i udałem się pocztą stepową do Batny. Tu jednak stanęła nam na drodze niespodziewana przeszkoda.

Miałem jeszcze w pamięci karkołomną jazdę z włoskim *vetturinem* z Alp do Lombardii, wciąż jeszcze brzmiało mi w uszach jego przerażające: *allegro, allegrissimo!*, które zawsze pokrzykiwał, ilekroć prosiłem, żeby jechał wolniej i ostrożniej. Stara kareta, szarpana przez pędzące cwałem konie z jednej strony skalistej drogi na drugą, leciała nad krawędzią przepaści. Kiedy wreszcie cało zjechałem na równinę, zdawało mi się, że uniknąłem niebezpieczeństwa, przeciwko któremu nie było obrony.

Czym jednak była ta jazda *allegrissimo* wobec podróży pocztą stepową! Dyliżans stanowił wóz z wnętrzem, coupe i blankietem, a zaprzężony był w osiem koni, z których dwa szły na przodzie, a potem po trzy obok siebie. Gościńca nie było, jechało się wyciągniętym biegiem przez jamy, przez karkołomne łożyska rzek, pod górę stromymi parowami i na dół po spadzistych zboczach. Co chwila musieliśmy wysiadać i ze stoicką cierpliwością łączyć nasze siły z siłami koni, ilekroć trzeba było wydobyć wóz z jakiejś dziury lub prawie przenieść przez wzgórek niedostępnym nawet dla piechura. Już po pierwszych godzinach byłem jak zbity. Korndorfer raz poraż wołał: *Maszallah!*, a Hassan el Kebihr oddawał się morskiej chorobie.

Jeszcze nigdy nie jechał wozem; mimo woli przypomniawszy mi się jego buńczuczne zapewnienie: „Step się trzęsie, a Sahel drży, kiedy się ukaże Dżezzar–bej!” Teraz on trząsał się i drżał na całym ciele, a widać było, że mu to wszystko strasznie dokuczało.

Złości swej z powodu tego niegodnego stanu ulżył dopiero w Batnie. — *Allah kerihm*, Bóg jest łaskaw i dzięki mu, że moja skóra wytrzymała! Czy Hassan–Ben–Abulfeda–Ibn–Haukal al Wardi–Jussuf–Ibn–Abul–Foslan–Ben–Ishak al Duli jest pijawką, żeby musiał oddawać, co spożył? Przysięgam na brodę proroka, że Hasan el Kebikr nie wsiądzie już nigdy do domu na kołach, gdzie tak mu się robi, jak gdyby dostał się między palaczy haszyszu. Ojczyzną Dżezzar–beja, jest siodło. Doprowadzisz go sidi, do Bab el Ghud tylko pod tym warunkiem, że pozwolisz mu jechać wierzchem!

— Hassan ma słuszną rację — potwierdził stolarz. — *Maszallah!* To dopiero było trzęsienie w tej starej budzie, którą nazywają dylizanssem. Jadę ośmiu końmi i sam jeszcze mam być pociągowym bydłem? Tego nikt nie zniesie! Byłem afrykańskim szaserem i wolę jeździć na najgorszej bestii, niż raz jeszcze wsiąść do tej budy!

Musiałem przyznać im rację, zwłaszcza że sam postanowiłem wyrzec się dylizansu w dalszej podróży. Nie mogąc się zatrzymać w Batnie, wynajmowałem Beduina z końmi dla mnie i dla moich towarzyszy aż do Biskary, gdzie miałem kupić wielbłądy na dalszą drogę. Ów Beduin poradził mi jednak, żebym tego nie czynił, lecz udał się przez góry Aures do arabskiego *duaru* gdzie znajdę tańsze i lepsze wielbłądy.

Posłuchałem jego rady, uprzedziłem go jednak, że chcę dostać się w góry przez Fuhn es Sahart, by jak najdłużej nie porzucać zwykłej drogi. Przypuszczałem wprawdzie, że w *duarze* dostanę mniej znużone wielbłądy, niż w mieście, miałem jednak jeszcze jeden powód, dla którego posłuchałem przewodnika. W dzikich dolinach gór Aures lew nie jest rzadkością, a chociaż wobec pośpiechu nie spodziewałem się spotkać z królem zwierząt, to mogłem przynajmniej natrafić na jego ślady, albo usłyszeć jego ryk. Zresztą upłynęła prawie cała wieczność, od kiedy nie strzelałem, tęskniłem za hukami mej strzelby i sposobnością wzięcia na cel stworzenia, godnego kuli. W górach w każdym razie łatwiej było o taką sposobność, dlatego wydobyłem rusznicę i sztucer Henry’ego.

Wyprzedziliśmy dylizans i nie daliśmy mu się doścignąć. Konie nasze należały do małych zwierząt rasy berberyjskiej, ale wytrzymałość ich stała w odwrotnym stosunku do ich wielkości. Siedzieliśmy już w siodłach ze dwanaście godzin, a mimo to kłusowały bez zarzutu. Nawet mały deresz, z którego grzbietu zwisały niemal do ziemi nogi „Wielkiego Hassana”, niewiele odczuwał ciężar, bo nie zostawał ani kroku w tyle.

Przed nami step tonał w żółtawym świetle. Jak okiem sięgnąć, zazwyczaj zupełnie nagi płaskowyż, dzisiaj przedstawiał widok pełen życia. Fuhn es Sahar, usta pustyni, wyrzuciły na step wielką liczbę beduińskich pasterzy, którzy pędzili swoje trzody ku szotom i wadiom, na popas. Objeżdżając swoje owce i wielbłądy na szybkich koniach, powiewając burnusami i połyskując włóczniami, posuwali się razem z żonami i dziećmi, siedzącymi na pstro przystrojonych dromedarach, równiną w różnych kierunkach i wywoływali w nieprzywykłych oczach wrażenie fantazji trzymającej w niewoli na pół śpiącego, a na pół czuwającego ducha.

Łańcuchy wzgórz, otaczających szeroką równinę, jeły się teraz zbliżać do siebie, tworząc zwężającą się coraz bardziej skalistą płaszczyznę. Wzrok, który dotychczas mógł patrzeć w nieskończoną na pozór dal, zatrzymywał się na łysych i nagich zboczach, wznoszących się z dna doliny prawie prostopadle. Jechaliśmy między nimi a przepaściami, w których głębi płynęła szaro — żółta woda górskiego strumienia. W czasie tej podróży musieliśmy się cztery razy przezeń przeprawiać. Był to Wed–el–Kantara, w którego nurtach znalazł śmierć śmiały myśliwy, Jules Gerard, słynący z polowań na lwy. W miejscu, w którym wszedł w rzekę, postawił mu oddział francuskich żołnierzy, przechodzący tamtędy, skromny pomnik z ułożonych kamieni. Tam kazałem się zatrzymać.

— Czy słyszałeś o pogromcy lwów, Gerardzie? — spytałem.

— To się rozumie, panie! — odpowiedział. — Był to Francuz i wpadł ostatecznie w wodę, w której nędznie utonął.

— Czy znasz emira el Areth, „władcę lwów”, Hassanie? — spytałem Kubbaszego.

— Był niewierny, lecz prawie taki waleczny, jak Hassan el Kebihr — odrzekł dumnie. — On sam jeden wyszukiwał w nocy „pana z wielką głową”, lecz „król oaz” rozszarpał go ponieważ nie był muzułmaninem.

— Mylisz się Hassanie. Emira el Areth nie rozdarł lew, który prędzej zdławiłby stu muzułmanów, aniżeli jednego chrześcijanina. Ów emir zginął tutaj w nurtach Wed-el-Kantara, a jego bracia postawili mu pomnik. Weźcie do rąk strzelby, niechaj głos ich oznajmi jego duchowi, że wędrowiec zna władcę „pana z wielką głową!”

— Czy moja rusznica ma zabrznieć w uszach ducha, nie znającego *er-raït*, sidi? — zapytał Hassan.

— Chrześcijanin także żyje u Boga, skoro umrze, Hassanie, gdyż Bóg jest wszędzie, na wszystkich gwiazdach i wszystkich niebiosach. Czyż prorok nie mówi o Jezusie i Marryam, którzy mieszkają w niebie i oglądają Boga?

— Sidi, czemu nie jesteś *saydem*! Ty znasz Koran. Głos twój jest jak głos mówiący jedynie prawdę. Uczynię, czego ode mnie żądasz.

Z czterech łuf, gdyż przewodnik spełnił także moją wolę, huknęła trzykrotna salwa na cześć myśliwego. Następnie pojechaliśmy dalej ku wąwozowi Kantara.

Tu ściany skalne zbliżyły się aż do brzegów rzeki, zapełniającej cały wąwóz. Musieliśmy z kwadrans jechać spienionymi falami, a następnie dostaliśmy się do dzikiej, ale wspaniałej kotliny.

Stromo wznosiły się niemal ku niebu czarno-żółtawe ściany łupku pokryte u stóp kamiennym gruzem i tworzyły na południu wielki parów, podobny do otwartej rany na głowie gór.

To było Fuhm-es-Sahar, wiodące w dół do oaz Sibanu. Strome skały po prawej ręce należały do gór Aures, a ciemne ściany łupkowe po lewej stanowiły początek gór Dzebeł Sułtan. Między nimi leżał *karawanseraj* El-Kantara, gdzie wstąpiliśmy na noc.

*Seraidzi* — gospodarz, przyrządził nam prawdziwą turecką kawę, a po spożyciu skromnej wieczerzy zapaliliśmy fajki. Oparłem się o ścianę, przysłuchując się rozmowom podróżnych, których drogi zetknęły się tutaj w „ustach pustyni”.

Najwięcej mówił poczciwy Hassan el Kebihr, zadając sobie niemało trudu, żeby wpoić w swoich słuchaczy przekonanie, że powinni nazywać go Dzezzar-bejem, dusicielem ludzi. Korndorfer natomiast siedział obok mnie i z nudów zamknął oczy. Otwierał je tylko czasem, a wówczas dolatywało mnie albo westchnienie, albo gniewne „*Maszallah*” z powodu samochwalstwa Kubbaszego.

Rozmowa zesłała na temat, który mnie zainteresował. Oto *seraidzi* miał małą trzodę jagniąt, z których, mimo że były zamknięte, pantera zabierała sobie co noc po jednej sztuce, bez żadnego wynagrodzenia.

— *Seraidzi!* — zawołałem. — Czy wiesz na pewno, że to była pantera?

— Tak, sidi, widziałem ślady, jest to wielka samica, którą oby Allah potępił! Jestem biednym i mam tylko dwadzieścia trzy owce. Czy ta morderczyni nie może pójść do bogatszych? Samiec nie zagrabiłby trzody biedaka!

Rozgniewany muzułmanin nie miał widocznie dobrego wyobrażenia o poczuciu sprawiedliwości u żeńskiej części świata zwierzęcego.

— Czemu jej nie zabijesz? — spytałem.

— Zabić żonę czarnej pantery, sidi? Czy nie wiesz, że pod jej skórą mieszka szatan, rozzierający każdego, kto chciałby ją uszkodzić.

— A ty wiesz o tym, że u ciebie pod skórą mieszka strach, który połknął twe serce i wypił krew twoją? Jesteś wiernym, a obawiasz się samicy? Niechaj Allah osłania dom twój, bo do *seraju* wejdzie pantera, żeby wyspać się na twoim dywanie i napić się kawy z twej czaszki!

— Ona pożre moją trzodę, lecz nie zbliży się do mego domu, *sidi*! Czyż nie wiesz, że jest bezpieczny przed dzikiem zwierzęciem ten, kto trzy razy na dzień odmawia *surat el ikhllass*?

— *Surat el ikhllass* jest dobra, gdyż prorok was jej nauczył. Dopóki odmawiasz ją trzy razy dziennie, czarny kot cię nie pożre; ja jednak posiadam *surat*, mocniejszą od wszystkich *ajatów* waszej świętej księgi. Ona niszczy każdego wroga, gdy ją odmawiam.

— Powiedz mi ja, żebym się nauczył odmawiać ją, *sidi*!

— Nie powiem ci jej lecz pokażę!

Wziąłem do ręki rusznicę i wymierzyłem do niego.

— Oto moja *sura* przeciwko wszystkim wrogom.

Gospodarz odskoczył przerażony.

— *Be issm billahi radjal*, na miłość Boga, ludzie, uciekajcie! Ten *sidi* postradał rozum. Uważa swoją rusznicę za *surat el ikhllass* i chce nas wymordować!

Odłożyłem strzelbę na bok.

— Siedźcie spokojnie! Mój rozum nie opuścił mnie jeszcze, ponieważ nie uważam żony pantery za szejtana, lecz kota, którego zabiję moją *surą*.

Podnosząc się zaś, dodałem:

— *Seraidzi*, pokaż mi zagrodę, w której znajdują się twoje owce!

— Czy oszalałeś, *sidi*, że każesz mi pójść ze sobą do zagrody? Noc jest ciemna, a żona pantery nie przychodzi nad ranem, jak inne zwierzęta, lecz zawsze koło północy. Niech pożre moje owce, byle mnie nie rozdarła!

— To opisz mi miejsce, gdzie mam szukać zagrody!

— Znajdziesz ją o sto kroków od *seraju*, ku północy, gdzie leżą kamienie. Przewiesiłem rusznicę i wziąłem do ręki sztucer Henry'ego. Nóż tkwił już za pasem. Sztucer nie dawał wprawdzie tak pewnego i dalekonośnego strzału, jak rusznica, ale był mi potrzebny na wypadek, gdybym z rusznicy nie zabił od razu zwierzęcia.

Zaledwie podniosłem nogę, zerwał się Hassan.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki, *sidi*! On może zabić lwa i zgubić panterę, ty zaś jesteś człowiekiem, którego mięso smakuje kotom. Zostań tu, bo cię pożrą, a my nie znajdziemy jutro z ciebie nic, oprócz podeszw twego obuwia!

— Znajdziesz rano nie tylko obuwie, lecz i człowieka, który je nosi. Weź swoją broń i chodź ze mną!

Wielki człowiek aż podskoczył ze strachu, rozłożył wszystkie palce i wyprostowawszy rękę, zwrócił je ku mnie:

— *Hamdulillah*, dziękuję Bogu za życie, którego mi użyczył, ale nie oddam go nigdy zwierzęciu!

— Czy Hassan el Kebihr boi się kota?

— Jam jest Dżezzar-bej, dusiciel ludzi, a nie Hassan pożeracz panter. Zażądaj, żebym walczył ze stu nieprzyjaciółmi, a wybije ich do nogi. Ale wierny gardzi nocnymi schadzkami z kobietą, a tym bardziej z samicą dzikiego zwierza!

— To zostań!

Chciałem go tylko wystawić na próbę i skierowałem się ku wyjściu. Wtem usłyszałem, że ktoś idzie za mną. Był to Korndorfer.

— Czy ja mogę pójść z panem?

— Po co?

— Po co? *Maszallah*, do tysiąca diabłów! Czy będę się przypatrywał, jak kot was rozedrze? Na cóż mam nóż i flintę?

— Dziękuję ci, Józefie, ale obejdę się bez ciebie.



— Jak, jeśli wolno zapytać?

— Ponieważ nie jesteś myśliwym, naraziłbyś się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, a w najlepszym razie spłoszyłbyś zwierzę.

Z wielkim trudem udało mi się tego odważnego człowieka odwieść od jego zamiaru.

We wskazanym miejscu leżały zwały głazów, a do nich przylegała zagroda, utworzona z pali, połączonych sznurami z włókien daktylowych. Owce spoczywały spokojnie wewnątrz ogrodzenia. Noc była od gwiazd tak jasna, że widziałem dokładnie zarysy skał. Między dwiema z nich znajdowała się szczelina, w której mógł się zmieścić niezbyt gruby człowiek. To było dla mnie najdogodniejsze miejsce do czekania na drapieżcę. Oślaniało mnie z trzech stron, a z czwartej miałem widok na zagrodę. Gdyby pantera rzeczywiście nadeszła, mogłem ją wziąć na cel bez obawy o siebie. Zabić ją nie było żadnym bohaterstwem.

Usadowiłem się w szczelinie dość wygodnie. Z rusznicą w rękę i sztuczerem na kolanach czekałem. Minęła pomoc. Jeśli zwierzę miało przyjść dzisiaj, to musiało się ukazać niebawem.

Wtem wśród owiec powstał ruch. Zbliżywszy do siebie głowy, zaczęły cisnąć się do skały. Wyteżałem wzrok, ale nic nie zauważyłem. Wtem usłyszałem nad sobą nadzwyczaj słaby szmer, jak gdyby coś pełzało. To zwierzę stało na skale, gotując się do skoku. Potarło jeszcze pazurami o kamienie, a potem skoczyło w dół. Zabrzmiał krótki bek, w samym środku zagrody stanęła wyprostowana pantera, a pod jej przednią prawą łapą leżała zabita owca. Była to rzeczywiście samica, niezwykle wielki i potężny okaz, który rozmiarami dorównywał jaguarowi.

Podniósłszy łeb, wydała okrzyk zwycięstwa, owo straszliwe, gardłowo brzmiące: a... uuh... a... oorrrr, kończące się zazwyczaj mruzeniem. Dźwięk ten jeszcze nie przebrzmiał, kiedy huknęła moja strzelba. Szeroko otwarte zielonawe oczy zwierzęcia były moim celem. Po strzale ryk ucichł, pantera skoczyła nagle ku rozpadlinie i padła u moich stóp. Jak się później przekonałem, kula wbiła się jej w oko.

Ale wystrzał miał dalszy skutek. Z daleka ryknęło chrapliwie, inne zwierzę, a w kilka sekund dał się już słyszeć wyraźnie przeciągły ryk. To na pomoc zbliżał się samiec, przywołany hukiem mej strzelby.

Dla ostrożności czym prędzej pochwyliłem sztuczer i znowu złożyłem się. W długich skokach nadbiegło wysmukłe, gibkie zwierzę i zatrzymało się za zagrodą naprzeciw mnie. Pomimo niepewnego światła gwiazd pantera musiała mnie zobaczyć, gdyż z gniewnym parskaniem przysiadła do ziemi, gotując się do skoku. Ujrzałem parę świecących oczu, które w chwili skoku musiały się zamknąć. Wypaliłem i w blasku strzału zobaczyłem, jak zwierzę podskoczyło do góry i upadło na ziemię tuż przed szczeliną. Strzał był śmiertelny, chociaż nie poskutkował zaraz. W konwulsyjnym drganiu zwierzę rzuciło się, po czym legło bez ruchu.

Nabiwszy jeszcze raz strzelbę, wyszedłem ze szczeliny. Gdzieś z daleka szczekał szakal. Wiedział, że pantery są w pobliżu i zdawało mu się, że może się spodziewać deseru. To wierny, lecz bojaźliwy towarzysz wielkich rabusiów świata zwierzęcego, przyjmujący chętnie okruchy ze stołu moich.

Przybywszy do *seraju*, zastałem wszystkich gości na czuwaniu. Było dla nich rzeczą nie do uwierzenia, żeby ktoś sam jeden polował w ciemną noc na panterę, której wszystko obawia się bardziej, niż lwa. Ciekawość i strach nie dały im spać, a gdy usłyszeli wystrzały, musieli poznać, że nie dałem się przynajmniej bez walki połknąć „straszliwej kobiecie”.

Gdy wchodziłem, patrzyli na mnie, jak na widmo.

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów, to on, jako żywo! — zawołał Korndorfer, przyskakując do mnie z radością.

— *Marhaba*, bądź pozdrowion, panie — rzekł Hassan. — Postąpiłeś rozumnie. Głos twoich wystrzałów doszedł do naszych uszu, a żona pantery, która je także usłyszała, nie przyjdzie już tej nocy do obory.

— Dziękuję ci, sidi, — przyłączył się *seraidzi* do ogólnego uznania — że broniłeś mej trzody. Rabusie już dziś nie przyjdą, gdyż poszedłeś w ciemność i ostrzegłeś ich głosem strzelby.

Zdawało im się zatem, że strzelałem dla odstraszenia zwierząt.

— Żona pantery przysłała ze swoim małżonkiem, — odpowiedziałem — i zabiła ci jedną owcę. Musisz pójść po nią, bo w pobliżu, jest szakał, który ją pożre.

— Niech ją pożre! Allah niechaj uchroni nogę moją od tego, żebym miał wychodzić do państwa śmierci, gdzie zostałbym rozdarty!

— Nie zostaniesz rozdarty, ponieważ pantera nie żyje, a pan jej leży obok. — *Allah kerihm*, Bóg jest łaskawy! Czy mówisz prawdę, sidi?

— Słowo moje jest prawdziwe! Czy widzisz to obuwie, Hassanie? Jest nieuszkodzone i ani włos nie spadł mi z głowy, ale moja *sura* zabrzmiała i oba zwierzęta są martwe. Pomóżcie mi, przynieść je!

Słowa moje wywołały wśród wszystkich nadzwyczajne poruszenie. Nie chcieli wierzyć, długo musiałem ich przekonywać, zanim ostatecznie zgodzili się pójść ze mną.

Gdy z zapalonymi pochodniami zbliżyliśmy się do zagrody, owce stłoczyły się, przestraszone ogniami. Zaledwie Arabowie ujrzeli zabite pantery, rzucili się na nie, zaczęli okładać pięściami, kopać obcasami, miotać przekleństwa, w jakie mowa arabska jest bogata. Hassan el Kebihr był najgłośniejszy. W końcu zwrócił się także do mnie:

— Sidi, jesteś największym myśliwym, jakiego moje oczy widziały. Jesteś jeszcze większym, aniżeli emir el Areth, który był panem lwów. Gdy będę śpiewał o *siret el modzaheddin* i gdy będę opowiadał o *siret el behluwan*, nie zapomnę i o twoim imieniu!

Korndorfer nie mógł także ukryć swego zdumienia.

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów, to dopiero strzał! Jeden kot dostał w same oko, a drugi także nie gorzej. Nie widziałem jeszcze nigdy takiego bydłęcia i nie wierzyłem, żeby pantera mogła być taka wielka. Strzelba byłaby mi chyba zadrzała w rękę, gdybym tu czekał razem z panem!

W triumfalnym pochodzie zaniesiono zwierzęta do *seraju*, gdzie pozdejmowałem z nich skóry, po czym udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz przed wyruszeniem powstała sprzeczka między Korndorferem a Hassanem el Kebihr. Pierwszy włożył skórę samicy pod moje, a samca pod swoje siodło, na co Kubbaszi nie chciał się zgodzić.

— Ty jesteś Frankiem, który jeszcze nigdy nie przestąpił progu meczetu — mówił Arab — a chcesz wiernego oszukać? Czy widziałeś kiedy niewiernego, któryby jeździł na skórze pantery?

— Czy ty ją zabiłeś. Dżezzar-beju, dusicielu ludzi? — śmiał się były afrykański szaser.

— Zabił go sidi, gdyż Hassan el Kebihr, przed którym drżą wszystkie zwierzęta, był przy nim. Skóra musi pójść pod moje siodło, bo czym ty jesteś wobec Hassana en Nurab? Czy nie służyłem przy słynnej wszechnicy meczetu El Azhar w Kairze? Widziałem białych mężów, którzy tam wchodzą i wychodzą, a ty kogo widziałeś i w jakiej byłeś szkole?

— Widziałem naszego sidi, w którego głowie więcej mądrości niż w całej waszej *moszi* El Azhar w Kahirze, a byłem w szkole w mej ojczyźnie, gdzie wasi uczeni siedzieliby w ostatniej ławie — bronił się Bawarczyk, uśmiechając ciągle.

— Dobrze! A czy znasz moje imię? Nazywam się: Hassan-Ben-Abulfeda-Ibn-Haukal el Wardi-Jussuf-Ibn-Abul-Foslan-Ben-Ishak al Duli. A ty jak? Imię moje jest długie, jak rzeka, tocząca się przez góry, twoje zaś krótkie, jak brudna kropla, spadająca z liścia!

— Nie brudź mego nazwiska, bo ono nie twoje! Ja nazywam się Jussuf, tak samo, jak ty.

— Czy wiesz, że tylko wiemy może mieć na imię Jussuf, a ty jesteś Frank i nazywają cię Jussef. Zapamiętaj to sobie! Masz więc tylko to jedno imię!

— Oho! Czy nie wiesz, że nazywam się także Korndorfer?

- A gdzie imię twojego ojca?
- On nazywał się także Korndorfer. — A jego ojciec?
- Również Korndorfer.
- A jego ojciec?
- Tak samo.
- A gdzie mieszkał?
- W Kaltenbrunn.

— W Kah-el-brunn? Nazywasz się więc: Jussef Koh-er-darb-Ben-Koh-er-darb-Ibn-Koh-er-darb-Abu-Koh-er-darb el Kah-el-brunn. Czy nie wydaje ci się śmiesznym twoje własne imię? I ty mi skóry odmawiasz? Daj mi ją zaraz!

— Słuchaj, Hassanie! Jussef-Koh-er-darb-Ben-Ibn i Abu-Koh-er-darb z Kah-el-brunn zatrzyma skórę. Oto nadchodzi sidi. Zwróć się do niego!

Kubbaszi zastosował się do rady. Wielki Hassan chciał tą skórą chępić się przed wszystkimi. To dało mi sposobność do ukarania go za wczorajsze tchórzostwo.

— Jussuf — rozstrzygnąłem ten spór, mówiąc umyślnie Jussuf, zamiast Jussef — chciał ze mną strzelać do pantery, ty zaś bałeś się kota. Jemu tedy należy się skóra, a nie tobie!

Mrucząc z niezadowolenia, poddał się wyrokowi.

Niebawem znaleźliśmy się wśród parowów i rozpadlin gór Aures i wzdłuż nich posuwaliśmy się aż do wieczora, aby przez ich grzbiet przedostać się na Saharę. U ich stóp znajdowała się wieś, która była celem naszej dzisiejszej podróży. Arabowie przyjęli nas gościnnie. Przed wieczorem stałem się właścicielem trzech wielbłądów wierzchowych i tyluż juczych, wraz z wszystkimi rzeczami potrzebnymi w podróży do Bab-el-Ghud, a przynajmniej do Ain-es-Salah.

Nazajutrz jechaliśmy podnóżem gór, aby nie zatrzymując się w Biskarze, dostać się na drogę karawanową do Ain-es-Salah.

Dzień był gorący, a w południe słońce paliło takim żarem, że wbrew zwyczajowi postanowiłem urządzić mały postój i w tym celu zaczęliśmy rozglądać się za odpowiednim miejscem. Wtem Hassan, jadący przodem i wciąż jeszcze, zagniewany na Józefa, zatrzymał się i wskazał w dół:

— Patrz, sidi, oto *sobha*, kałuża!

Znajdowaliśmy się jeszcze ciągle na terenie, utworzonym przez górskie odnogi. U stóp takiego pasma połyskiwała ku nam powierzchnia wody, a na jej brzegu zauważyłem kilka krzaków.

— To nie jest *sobha*, Hassanie, lecz szot, albo jezioro, położone za wzgórzem tak, że widoczna jest stąd tylko jedna zatoka. Zaraz ci powiem, jak ono się nazywa.

Rozwinąłem mapę, którą zawsze miałem przygotowaną i znalazłem na niej jezioro. Był to jeden z owych martwych zbiorników wody, w których zamiast ryb lub w najgorszym razie traszek, żyją miliardy brzydkich robaków, nazywanych przez Beduinów *thud*.

— To jest *Birket el fehlatn*, martwe jezioro! Zejdźmy ku niemu!

— Ten rozkaz, sidi, wart więcej, niż cena dziesięciu wielbłądów. Moje *serdż*, które siodłem nazywasz, piecze mnie, jak gdybym siedział na kawałku *dzehenny*. Rozbiorę się i wzmocnię moje ciało kąpielą.

Zwróciwszy się ku jezioru, dostaliśmy się tam w kwadrans.

Nie był to szot, lecz jak zauważyłem słusznie, *birket e lfehlatn*. Hassan wyprzedził nas, nie mogąc doczekać się kąpieli. Przybywszy na brzeg, odwrócił się, jakby z rozczarowaniem.

— Sidi, to nie jest woda do kąpieli, lecz *bahr el thud*, morze robactwa, a popatrz, tam leży *duar* o przeszło dwudziestu namiotach, które użyczą nam cienia!

Istotnie między górną częścią jeziora a wzgórzkiem zobaczyłem szereg namiotów, pomiędzy którymi leżały konie i wielbłądy. Inny oddział wielbłądów, w liczbie pięciu, obgryzał mięsiste liście krzaków, które wpływ wody wywabiał z nędznego gruntu. Poznałem na pierwszy rzut

oka, że nie były to zwykłe juczne wielbłądy, jakie można dostać po czterysta piastrów za sztukę, lecz bez wyjątku wierzchowe, prawdziwe hedżiny, za które płaci się po kilka tysięcy piastrów. Były to może nawet biszarin hedżiny, najszlachetniejsza rasa wielbłądów, które bez żadnych wymagań dla siebie potrafią przez cały tydzień robić do piętnastu mil dziennie. U Tuaregów spotyka się nawet wielbłądy, które mogą jeszcze więcej dokonać. Poznałem tę rasę po zgrabnych kształtach, po rozumnym oku, szerokim czole, zwisającej dolnej wardze, krótkich, stojących uszach, krótkim gładkim włosie i jego barwie, która u tych wielbłądów bywa biała, jasnoszara, a czasem płowa lub plamista, jak u żyrafy.

Te drogocenne zwierzęta nie należały pewnie do tej biednej wsi, lecz były własnością obcych Beduinów, bawiących w *duarze* w gościnie. Zbliżyliśmy się do *duaru*.

Dla właściciela pierwszego namiotu, obok którego przejeżdżaliśmy, byłoby obrażanie do przebaczenia, gdybyśmy dopiero w którymś z dalszych szukali przyjęcia. Mieszkaniec stepu jest z urodzenia złodziejem i rabusiem, ale gościnność jest dlań świętością.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed nim, odsunęło się podarte płótno, zasłaniające wejście, a na powitanie nasze wyszła dziewczyna, bez zasłony na twarzy, gdyż kobiety Arabów z pustyni są mniej nieprzystępne od kobiet Maurów. Włosy miała splecione w *daffra* — warkocze, poprzątkane czerwonymi i niebieskimi wstążkami. Dokoła bioder biegł *rahad*, wąski pas, z którego zwisało mnóstwo rzemieni poniżej kolan, tworząc w ten sposób spódnicę, ozdobioną koralami, kawałkami bursztynu i muszlami. Na szyi nosiła sznur szklanych pereł i rozmaitych monet. W małych uszach tkwiły ogromne złote pierścienie; na nogach powyżej kostek błyszczały srebrne obręcze, a przeguby rąk, z palcami zabarwionymi henną, ujęte były w grube pierścienie z kości słoniowej, odbijające bardzo ładnie od ciepłych tonów brunatnej skóry.

— *Marhaba la sidi*, bądź pozdrowion, o panie! — powitała nas i dla stwierdzenia tych słów podała memu wielbłądowi garść daktyli waedy.

Za nią ukazał się stary mężczyzna i zaczął nam się przypatrywać. Twarz jego, pełna zmarszczek, była mocno opalona, a postać wychudła i pochylona. Mógł mieć dziewięćdziesiąt lat.

— *Sallam aalejkum!* — pozdrowiłem go, podnosząc rękę do piersi. — Czy moglibyśmy w twym namiocie złożyć głowę na spoczynek?

— *Marhaba la sidi*, bądź pozdrowion, o panie! W naszym ubogim namiocie gości już trzech ludzi, lecz i dla ciebie znajdzie się miejsce. Zsiądź i pozwól, że zabiję dla ciebie jagnię!

— Serce twoje pełne dobroci, a twój namiot stoi dla wędrowca otworem; jesteś dobrym synem proroka i ulubieńcem AUaha, który użyczył ci wielu lat życia, lecz niechaj goście twoi posiadają twoją dobroć w całości. Pozwól mi udać się do innego namiotu!

— Czy chcesz mnie zelżyć, sidi? Co ci zrobiłem, że gardzisz moim namiotem? Zsiądź ze zwierzęcia, które jest już gościem córki mojego syna i połóż się u mnie na spoczynek!

Wziął wielbłąda za uzdę i wołając gardłowo: *khekhe*, kazał mu przykłęknąć na ziemi.

Zsiadłem, po czym wprowadzono nas do namiotu. Wzdłuż ściany ciągnął się dokoła *serir*, czyli niskie rusztowanie z lekkiego drzewa, pokryte rogożami i baraniami skórami. To stanowiło kanapę, a zarazem łoże dla całej rodziny i gości. W tyle namiotu leżały siodła i tarcze, a na słupach wisiała broń, rury i wiadra skórzane oraz narzędzia gospodarcze wszelkiego rodzaju, ściany zaś były ozdobione plecionymi pucharami, żyrafimi skórami, bukietami ze strusich piór, a przede wszystkim rozmaitymi dzwonekami. Arabowie zawieszają je bardzo chętnie w namiotach, co powoduje podczas burzliwych nocy muzykę, bardzo niemiłą dla znużonych wędrowców. Gdy wiatr bowiem porusza namiotem, dzwoneki zaczynają dzwonić, co w połączeniu z grzmotami, stękaniami wielbłądów, beczaniem owiec, szczekaniem psów i rykiem dzikich zwierząt, tworzy przykrą dysharmonię.

Usiadłem na rogózkach. Stary zauważył skóry panter. Prawa gospodarza nie pozwalały mu zapytać o moje imię i pochodzenie, wolno mu jednak było dowiedzieć się, jak zostałem

posiadaczem tych cennych skór. Z szybkością właściwą ludziom niecywilizowanym, potrafił rozmowę sprowadzić na ten temat.

— Odpocznij, *sidi*, dopóki mięso i kuskuss nie będą gotowe!

Kuskussu jest ulubioną potrawą Arabów z grubo mielonej pszennej mąki.

— Dziękuję ci ojczy — odrzekłem. — Jadam mięso i kuskussu tylko wieczorem, po skończeniu całodziennej drogi. Daj mnie i moim służącym trochę *bziss*.

Dziewczyna przyniosła *bziss*.

— Woda z *birket* niedobra, *sidi*. Może wypijesz czarę wielbłądniego mleka, albo *lagmi*? — spytała.

Przyniosła skórzany kubek tego orzeźwiającego napoju. Starzec zaczekał, aż wypilem, a potem spytał:

— Czy zostaniesz parę dni w chacie twego przyjaciela?

— Opuszczę ją, skoro tylko wypocznę.

— Chcesz więc jechać nocą, kiedy brzmią głosy dzikich zwierząt, a pantera rozdziera ludzi i wielbłądy? Pozostań u nas, *sidi*, gdyż śmierć twoja spadnie na moją duszę!

Musiałem poczciwcowi ułatwić przesłuchanie.

— Pantera mnie nie rozedrze. Czy nie widziałeś szat jej na moich zwierzętach?

— Widziałem.

— Widzisz tedy! Zabiłem je przy świetle gwiazd koło Fuhm–es–Sahar.

— Straszliwą panterę z Fuhm–es–Sahar, straszniejszą, aniżeli wszystkie stepowe pantery? *Sidi*, ty jesteś bohaterem, jesteś wielkim wojownikiem! Ilu ludzi było przy tobie?

— Nikt. Sam jeden rozmawiałem z obiema panterami.

— Sam jeden? *Allah akbar*, Bóg jest wielki, a ty jesteś towarzyszem emira el Areth, który utonął w Wed–el–Kantara!

— Jestem Frankiem, jak on i mam strzelbę, która tak samo mówi.

— Jesteś Frankiem i myśliwym, jako emir el Areth? W takim razie muszę ci powiedzieć coś, co duszę twoją ucieszy!

Spowaźniał i przystąpił do mnie z tajemniczą miną. Zwinąwszy dłonie, przyłożył mi je do ucha i mówił tak cicho, że go ledwie rozumiałem:

— Czy znasz assada, wzburzyciela?

Skinąłem głową i czekałem z ciekawością.

— Czy znasz Assad–beja, dusiciela owiec? — zapytał w ten sam sposób.

Skinąłem głową powtórnie, a on mówił dalej:

— On szedł już od dawna za naszą trzodą i porwał nam najlepsze zwierzęta. Właśnie ubiegłej nocy zabrał znów wołu dla siebie i swojej żony. Hańba mu!

Pojałem ten szept, gdyż Arab czuje nadzwyczajny respekt dla lwa. Dopóki zwierzę żyje, nadaje mu najwznieślijsze i najczcigodniejsze nazwy, ażeby go nie obrazić i nie wyzwać jego zemsty, gdy go jednak zabiją, obrzuca go najbardziej upokarzającymi przezwiskami i Izy, jak tylko może. Obawia się siły i wytrzymałości lwa i pozwala mu się długo ograbiać, zanim odważy się na atak, który u Arabów wobec ich sposobu postępowania kosztuje zwykle kilka ludzkich istnień.

Waleczny zresztą i nieustraszony syn pustyni nie ośmielił się nigdy, jak starzec europejski, zaatakować lwa w pojedynkę. Zazwyczaj schodzą się wszyscy zdolni do noszenia broni mieszkańcy, wyszukują legowisko zwierzęcia, wywabiają je krzykiem, rykiem, świstem i strzelaniną, a potem pakują mu w ciało ze swoich długich, niepewnie niosących flint tyle kul, ile tylko mogą. Lew, ranny nawet śmiertelnie, ma jeszcze tyle życia i siły, że rzuca się na jednego lub kilku ludzi, aby tuż przed śmiercią zemścić się krwawo.

Obawa Arabów przed nim jest tak wielka, że podczas przygotowań do ataku mówią po cichu, bo przypuszczają, że może to usłyszeć i uprzedzić ich. Dlatego i ten starzec mówił po cichu, bo Assad–bej, wzburzyciel i dusiciel trzód, mógł usłyszeć jego słowa.

Teraz dopiero uderzyło mnie to, że nie zauważyłem w *duarze* ani jednego mężczyzny, zdolnego do noszenia broni. Tylko kilka ciekawych głów kobiecych widać było między zasłonami namiotów.

— Czy wszyscy wasi mężowie wyszli, aby go zabić?

— Wszyscy mężowie i młodzieńcy, razem z gośćmi, śmiały mi synami Llelad Sliman.

Na tę wieść opuściło mnie całkiem znużenie.

— W takim razie ja także pójdę zobaczyć *sidi-el-salssali*, pana trzęsienia ziemi!

Wiedziałem, że tak nazywają lwa z powodu siły jego głosu.

— *Be issm lillahi*, na miłość Boga, mów ciszej! — prosił trwożnie starzec. — Gdy on to usłyszy, będziesz zgubiony! On przyjdzie i poszarpie cię na sztuki.

— Czy oszalałeś, *sidi* — lamentował Hassan el Kebirze — chcesz sobie dać podrzeć ciało i potraskać kości przez „pana z wielką głową”, który ma więcej siły, niż stu diabłów razem? Zabiłeś panterę i żonę pantery, lecz Assad-bej szydzi z twej kuli i śmieje się z noża; skóra jego twardsza od tarczy Nurab-a-Tor-el-Khadra.

— Przez twoje usta mówi obawa, a mowa twoja kapie od strachu, Hassanie. Allah stworzył kobietę i dał jej twoją postać.

— Gdyby mi to powiedział ktoś inny, zadusiłbym go na miejscu. Hassan-Ben-Abulieda-Ibn-Haukal al Wardi-Jussuf-Ibn-Abul-Foslan-Ben-Ishak al Duli nie zna obawy, ani strachu, ponieważ jest Dżezzar-bejem, dusicielem ludzi, ale nie jest już ani młody, ani tłusty. Lew go już nie pożre!

— To też nie będzie mógł cię pożreć, gdyż zostaniesz z Jussufem przy zwierzętach — pocieszyłem go.

On był z tego rozkazu zadowolony, Korndorfer natomiast nie.

— To być nie może, panie — zaczął się sprzeciwiać — Idę także. Nie wolno mi było pójść na pantery, chcę więc przynajmniej dziś spróbować strzelby. Jeżeli jej lew nie zje, to niech skosztuje, jak ja mu będę smakował. Jestem sługą pańskim, moje miejsce tam, gdzie mój pan.

— To chodź — rzekłem, ucieszony tym dowodem odwagi.

Hassan usiłował mnie jeszcze zatrzymać i rozwodził się nad niebezpieczeństwem w najdosadniejszych wyrazach, ale to nic nie pomogło.

— *Hamdulillah*, dzięki Bogu — zawołał natomiast gospodarz. — Allah jest miłosierny i łaskawy; on przysłał cię tu do nas i pobłogosławi broń twoją, byś ocalił naszych mężów od pazurów zwierzęcia, które jest panem trzęsienia ziemi!

Człowiek na Wschodzie uważa każdego Franka, noszącego strzelbę, za nadzwyczajnego strzelca. Starzec zaś spodziewał się w duchu, że lew rozszarpie mnie i Józefa, zamiast któregoś z jego ludzi.

— Gdzie lew przebywa?

— Wyjdź przed namiot, to ci pokażę, *sidi*! Zabrałem broń i wyszedłem za nim.

Od jeziora ciągnęło się ku szczytowi wzgórza wgłębienie; było to wyschłe *wadi*. Szepcząc wciąż, wskazał starzec zapełnione skałami łożysko.

— Całkiem na górze, w tym brzuchu głazów, ma legowisko. Ludzie udali się na górę, by go stamtąd wypędzić. *Sidi*, idź prędko, żebyś nie przyszedł za późno, bo wtedy nie mógłbyś wysłać go do *dżehenny*.

— Chodź, Józefie!

Byłem pewny swojej rusznicy. Nie zawiodła mnie nigdy i spodziewałem się, że i dziś tak będzie.

Aby się jak najrychlej dostać na górną część parowu, poszedłem od namiotów prosto w górę, mijając zakręty, które parów tworzył. Przybywszy na miejsce usłyszałem okropny zgiełk, wydobywający się z głębi parowu. Szybko pobiegłem nad leżącą przede mną krawędź, skąd mogłem objąć okiem całą sytuację.

Po stromym zboczcu naprzeciwko mnie ciągnęły się krzaki jałowca i koleczastych mimoz. Lew musiał się w tych krzakach ukrywać, gdyż ludzie staczali tam kamienie, aby go wypłoszyć. Tańczyli przy tym, wywijali strzelbami dodając sobie otuchy okrzykami. Ten nierozumny sposób polowania na zwierzę, które najłatwiej zabić bez zgiełku w nocy oko w oko, wywarł na mnie szczególne wrażenie.

Wtem dostrzegłem w zaroślach jakiś ruch, aż w końcu wyszedł z nich lew, nie nagle, jak inne koty, lecz powoli, pewnym, majestatycznym krokiem. Duża, ciemna grzywa okrywała mu łeb i przednią część ciała, a ogon z grubą kiścią włókł się daleko za nim. Był to wspaniały widok. Szlachetne, potężne zwierzę stało pewne siebie i spokojne wśród wymierzonych doń strzelb. W jego dużych oczach, odbijała się pogarda. Słyszałem wiele o królu zwierząt, a jeszcze więcej czytałem, ale widziałem tylko kilka sztuk w ogrodach zoologicznych. Żaden z nich jednak nie dałby się porównać z tym potężnym *sidi-el-salsali*, którego widok przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Ta pełna charakteru głowa, o wysokim i szerokim czole, chwiejąca się jakby pod wpływem zdziwienia z powodu zuchwalstwa Arabów, ten nieugięty kark, krótki szeroki grzbiet, potężne boki i łapy, po których było poznać, że jedno ich uderzenie wystarczy, aby wołu powalić, groźne otwieranie chrapów, to wszystko przedstawiało dziką, fizyczną siłę. Lew podniósł głowę i dobył owych straszliwych tonów, z powodu których syn pustyni nazywa go „panem trzęsienia ziemi”, a przed którymi, umyka w przerażeniu człowiek i zwierzę.

Zdawało mi się, że ziemia drży pod moimi nogami wskutek tego zaczynającego się cicho, a potem wzmagającego się ryku, zwanego trafnie przez Arabów *rad* czyli grzmot.

Wtem błysnęło ze wszystkich luf i kilka kul dosięgło lwa, nie raniąc go jednak ciężko. Lew przysiadł i jednym olbrzymim skokiem rzucił się pomiędzy napastników. Dwaj z nich padli pod jego łapami. Nie mogłem się już dłużej ociągać. Zsuwając się, rzuciłem się z Korndorferem na dół po stromym zboczcu *wadi*. Arabowie, którzy w tej chwili podnieśli wrzask ogłuszający, nie zauważyli nas. Jeden z nich jeszcze nie strzelił. Odważniejszy od innych, którzy po salwie zwrócili się do ucieczki, zatrzymał się, zmierzył i wypalił. Zwierzę drgnęło, skoczyło w górę i powaliło strzelca. Postawiwszy mu obie przednie łapy na piersiach, lew ryknął jeszcze straszniej, niż przedtem. W następnej chwili byłby tego człowieka rozszarpał.

W skokach podbiegłem bliżej i ukląknę o kilka kroków przed królem pustyni. Lew spostrzegł mnie i odstał od swej ofiary, co zdarza się bardzo rzadko. Wymierzyłem uważnie w jego głowę. Uczucie, które mnie teraz opanowało, nie było ani strachem, ani obawą. Nie ma wprost słów na opisanie tego uczucia, które napięło we mnie wszystkie nerwy. Straszliwie oczy iskrzyły się, ogon zginał się, potężne łapy przeżyły się do skoku, pochylające się cielsko zadrgało niebezpiecznie. Wypaliłem i odskoczyłem natychmiast w bok, wyciągając nóż z pochwy.

Lew podrzucił się w górę w chwili strzału i runął w skoku na ziemię i legł po chwili bez ruchu. Kula wbiła mu się w oko i pozbawiła życia.

— *Hamdulillah, Allah akbar*, dzięki Bogu, Bóg jest wielki! — zabrzmiało ze wszystkich stron. — *Haza nessieb*, to Bóg sprawił, pies, syn psa, wnuk psiego syna nie żyje. Padł nędznie i zdechł, jak niewierny bez chwały i czci. Szakał pożre jego ciało i niechaj porozcina jego tchórzliwe serce, a gazela niech zelży jego ojców i jego samego!

Takie okrzyki brzmiały ze wszystkich stron. Kopano martwe ciało, bito je pięściami, potraćano kolbami i pluto na nie wzgardliwie. Moje nerwy uspokoiły się, czułem, że uszedłem śmierci i oddychając głęboko, podziwiałem rozgorączkowanych synów przepelnionej żarem krainy, którzy pastwiąc się nad zabitym zwierzęciem, w swym zapale zupełnie mnie pominęli.

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów! — rzekł Józef. — Co za zgiełk, co za wrzaski! Ciekaw jestem, czy przynajmniej podziękują!

— *Ama di bacht*, wielkie szczęście, że jeszcze na czas przybyłeś — dało się słyszeć tuż koło mnie.

To zbliżył się ten, który leżał pod lwem. Postać jego była długa, chuda i zylasta, a twarz opalona niemal na czarno. Jego duże, ciemne oczy gorzały szczególnym światłem, a gniewne spojrzenie mogło nawet śmiałego człowieka wyprowadzić z równowagi.

— Oddaj cześć nie mnie, lecz Bogu, który cię ocalił! — odparłem, może mniej uprzejmie, niż zamierzałem. Tego człowieka nigdy nie obdarzylibym zaufaniem.

— Tak, cześć Allahowi, a tobie dzięki! — potwierdził, zmierzyszy mnie wzrokiem bystro i badawczo. — Czy jesteś obcy pośród dzieci pustyni?

— Przybywam z Frankistanu, by zabić assadbeja, dusiciela trzód.

— Zabiłeś go. Allah użył cię do zbawienia i laski.

Potem zwrócił się do ciągle krzyczących i radujących się Arabów:

— Dajcie wreszcie pokój panu z wielką głową! Usłyszał już dość o swej hańbie, dusza jego wejdzie teraz w skórę pchły. Dalej ludzie, podziękujmy Allahowi za ocalenie! Ukłękniecie wraz ze mną i odmówmy świętą *fathę*!

*El fatha*, otwarcie, jest pierwszym rozdziałem Koranu, który w religijnych obrzędach muzułmanów gra główną rolę. Wszyscy uklękli, zwróciwszy twarze ku wschodowi i zaczęli się modlić.

— Chwała i dzięki panu świata, wszechmiłosiernemu, który zapanuje w dzień sądu. Tobie jedynie chcemy służyć i ciebie błagać, abyś wiódł nas drogą prawą, drogą tych, którzy cieszą się twoją łaską, a nie drogą tych, na których się gniewasz i nie drogą błądzących!

Po modlitwie zajęli się moją osobą. Pytaniom i pochwałom nie było końca. Wreszcie jeden z nich odciągnął mnie na bok.

— Ty chciałeś odpocząć tylko pod dachem Araba, tymczasem prosimy cię, żebyś został u nas wiele dni! Jestem *bej-el-urdi*, naczelnik obozu, zamieszkaż w moim namiocie, dopóki ci się będzie u nas podobało.

— Dziękuję ci, przyjacielu wędrowca, lecz moja droga jest długa, a kres jej daleki jeszcze. Zabiorę skórę lwa i ruszę dalej.

— Jak się zowie kres twej drogi? — zapytał ten, który poprzednio ze mną mówił.

— Timbuktu — odpowiedziałem, nie chcąc podawać *Bab-el-Ghud*.

— W takim razie ze mną mógłbyś pojechać, gdyż należę do wojowników *Uelad Sliman*, mieszkających na południu. Muszę tu jednak poczekać na jednego z naszych ludzi, który pojechał z pewną wiadomością do miasta Franków.

Te słowa zainteresowały mnie. Był to jeden z gości, o których mówił mi starzec.

— Nie mogę czekać, ale ty masz lepsze wielbłądy i dopędzisz mnie.

— Ilu ludzi towarzyszy ci w drodze?

— Dwu.

— I ty się nie boisz z tak małą liczbą wyruszać na *bahr billa ma*, na „morze bez wody”?

— Ja nigdy się nie boję.

— Nie boisz się także *Hedżan-beja*, dusiciela karawan? Możesz się łatwo spotkać z jego *gum*!

— On mnie puści spokojnie, gdyż w przeciwnym razie stałoby się z nim to, co z dusicielem trzód!

Na te słowa wystąpił w jego kłujących oczach osobliwy blask.

— Zabiłeś wprawdzie *Assad-beja*, cudzoziemcze, ale *Hedżan-bej* zmiądzzyłby cię. On jest straszniejszy, niż głośny jak grom *Areth*.

— Czy ty go znasz?

— Zna go każdy *Tuareg* i *Tebu*; czemu ja miałbym go nie znać. Czyż nie mówią o nim wszędzie?

— W takim razie także *Imoszar Mahmud Ben Mustafa Abd Ibrahim Jaakub Ibn Baszar* jest ci znany? — spytałem, patrząc skrycie na jego oblicze. On pobrał, mimo swej ciemnej cery.

— Kto jest ten mąż?



— To nie mąż, lecz baba, której język nie potrafi milczeć. Spotkałem go, a on mi powiedział, że jako posłaniec Hedżan–beja udaje się do pewnego Franka z żądaniem okupu.

Brwi Araba ściągnęły się ponuro.

— *Allah inha! el kelb*, niechaj Bóg zgubi tego psa! A ty poszedłeś do Franka, żeby go ostrzec?

— Dlaczego ja? Imoszar już sam z nim pomówi!

— Sidi, postąpiłeś roztropnie i mądrze, gdyż mowa to srebro, a milczenie złoto!

Wiedziałem już dość. Ten Arab był na pewno jednym z ludzi Hedżan–beja i czekał tutaj na posłańca, którego tymczasem trzymano w Algierze. Bej–el–urdi zaś był pewnie tajnym sprzymierzeńcem dusiciela karawan. Nie mogłem tedy skorzystać z gościnności tych ludzi, gdyż należało przypuścić, że będę musiał przeciwko nim wrogo wystąpić. Postanowiłem więc wyruszyć stąd natychmiast.

Przy pomocy Józefa ściągnąłem z lwa skórę i wróciłem wśród radosnych okrzyków wszystkich mężczyzn do *duaru*. Szczęśliwe polowanie nie zabrało ani jednego życia ludzkiego, gdyż nawet ci, których lew powalił był na ziemię, doznali tylko skaleczeń, chociaż tak ciężkich, że do wsi musiano ich zanieść.

Wielki Hassan wybiegł na moje spotkanie z objawami radości.

— Ty żyjesz, sidi, jesteś tutaj z powrotem i zabiłeś pana z wielką głową? *Hamdulillah*, dzięki i chwała Bogu, który ci był ochroną! Drżałem o ciebie, jako źdźbło trawy, kiedy *samum* przeciąga przez oazę.

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów, a to porównanie: źdźbło trawy i Dżezzar–bej, dusiciel ludzi! — odpowiedział Józef za mnie. — Czy nie wstydzisz się, Hassanie el Kebihr, czyli wielki zająca? Wylaż prędzej na wielbłąda, bo ruszamy w dalszą drogę!

Kiedy już chciałem się pożegnać, zaprowadził mnie Uelad Sliman do swoich wielbłądów.

— Sidi, ty nie masz takiego wielbłąda, jakiego ci potrzeba. Twoja ręka ocaliła mnie od śmierci. Przypatrz się temu zwierzęciu! To hedżin, jakiego nie znajdziesz w całej Saheli. Daruję go tobie!

Wyobrażałem sobie, że to dar zbyt kosztowny, jak na stosunki tego człowieka i chciałem się sprzeciwić jeszcze z tego powodu, że musiałem wystąpić przeciwko niemu, on jednak skinął na mnie, jak władca udzielny, abym milczał i wydobył koral osobliwego kształtu.

— Nauczyłeś się trzymać usta zamknięte. Weź tę *anaję*, a gdybyś spotkał *gum* Hedżan–beja, pokaż ją. Ona cię osłoni, ponieważ ty ocaliłeś wiernego. Wsiądź i jedź bez obawy!

Przyjąłem wielbłąda, nie chcąc Araba rozgniewać lub wzbudzić w nim podejrzenia. W rogu derki siodłowej zobaczyłem arabską z literami: A i L., były to inicjały nazwiska Andre Latréaumonta.

Podziękowałem starcowi i dziewczynie za przyjęcie w namiocie, po czym bej–el–urdi odprowadził mnie, a rozstając rzekł:

— Sidi, jesteś walecznym wojownikiem, lecz Hedżan–bej potężniejszy od ciebie. Widziałem jednak, że dostałeś *anaję*. Będzie ci teraz bezpiecznie wszędzie, jak daleko sięga pustynia. *Sallam aalejkum*, pokój i zbawienie niech będzie z tobą!

## HEDŻAN–BEJ, DUSICIEL KARAWAN

Pustynia! Od północno — zachodniego wybrzeża Afryki ciągnie się z małymi przerwami aż do Azji, do potężnego łańcucha gór Chinggan, szereg pustych, nieupranych okolic, które przewyższają siebie nawzajem pod względem okropności. Wielkie pustynie stałego lądu afrykańskiego przeskakują przez cieśninę Sueską, jako puste płaszczyzny Arabii skalistej, z nią łączą się wyschłe przestrzenie Persji i Afganistanu, po czym wznoszą się w Bucharze i Mongolii, tworząc pełną okropności pustynię Gobi.

Na obszarze ponad stu dwudziestu tysięcy mil kwadratowych rozciąga się Sahara od przylądka Blanco aż do górskich ścian doliny Nilu i od Rifu aż do gorących wyziewów Sudanu. Jej podział jest różnorodny. Przytykająca do Nilu Pustynia Libijska przechodzi na zachodzie w tę część Sahary, o której poeta mówi, że w rozżarzonym jej piasku nie znajdziesz zielonej trawki. To Hammada, od której biegnie Sahel dalej aż do wybrzeży Oceanu Atlantyckiego. Arab rozróżnia pustynie zamieszkałą — Fiafi, niezamieszkałą — Khela, pokrytą krzakami — Haitia, lesistą — Ghoba, kamienistą — Serir, zasypaną głazami — Warr, górzystą — Dzebel, płaską — Sahel albo Thama i z wędrownymi ławicami piasku — Ghud. Pogląd, jakoby Sahara tworzyła równinę, położoną poniżej powierzchni morza, jest błędny. Przeciwnie, pustynia jest wyżyną, dochodzącą do wysokości od jednego do dwu tysięcy stóp i jest znacznie bardziej urozmaiconą niż się zazwyczaj sądzi.

Odnosi się to szczególnie do wschodniej części, do Sahary właściwej, która wędrowcom okazuje więcej życzliwości, niż część zachodnia Saheli, tworząca prawdziwy zbiór okropności pustynnych, piasku lotnego, układanego przez wiatr w posuwające się naprzód fale i wędrującego powoli przez pustynię, skąd też jej nazwa Sahel, czyli wędrowne morze. Ta ruchliwość piaszczystego gruntu przeszkadza oczywiście wzrostowi roślin, do czego przyczynia się także brak źródeł i studzien. Wśród tego suchego piasku znajdują lichą podstawę bytu zaledwie słone rośliny, trochę ostów i koleczastych, karłowatych mimoz. Lew nie odwiedza tej rozżarzonej pustyni. Na tym gorącym gruncie żyją wygodnie żmije, niedźwiadki i ogromne pchły. Nawet mucha lecąca w pustynię za karawaną ginie w drodze. Mimo to człowiek zapuszcza się w ten słoneczny żar i stawia czoło niebezpieczeństwu, grożącym mu ze wszech stron. Opisy tych niebezpieczeństw są oczywiście często przesadne, ale sprowadzone nawet do właściwej miary, potrafią obrzydzić tęsknotę za jazdą przez pustynię. Na Saheli leżą wysuszone trupy ludzi i zwierząt obok siebie w budzących zgrozę pozach. Jeden trzyma jeszcze wór na wodę w rękach, drugi, jak szalony kopał ziemię, aby się jakoś ochłodzić, trzeci siedzi, jak mumia, na wybielałym szkielecie wielbłąda z turbanem na nagiej czaszce, a czwarty kłęczy na piasku z twarzą, zwróconą ku Mekce z rękoma, skrzyżowanymi na piersiach. Jego ostatnia myśl unosiła się, jak przystało na prawego muzułmanina, do Allaha i jego proroka.

A jednak pustynia spełnia ważne zadanie w gospodarstwie natury. Tworzy piec, z którego wydobywają się rozżarzone prądy powietrzne i ciągną na północ, gdzie, opadając na ziemię, ogrzewają i ożywiają tamtejsze krainy. Mądrość Stwórcy nie znosi nadmiaru i postarała się zaraz o wyrównanie wszelkich przeciwieństw i ostateczności.

Oślawione Bab–el–Ghud leży mniej więcej pod dwudziestym pierwszym stopniem szerokości, gdzie stykają się obszary Tuaregów lub Imoszarów z terytorium Tebu albo Teda.

Te stosunki graniczne zawierają w sobie tak co do krajobrazu, jak co do ludzi, jakąś gotowość do walki. Wędrowne piaskowe góry posuwają się pod wpływem wiatrów zachodnich coraz dalej na wschód i napotykać w Bab–el–Ghud na skały Seriru. Wspinając się po nich w górę, wypełniają doliny, parowy i inne przerwy, tworząc głębokie pokłady piasku, które wskutek braku wilgoci nie łączą się w zwartą masę. Biada podróżnemu, który się znajdzie na takim zdradzieckim jeziorze. Przed chwilą jeszcze jego dromedar czuł pod stopami silny, skalisty grunt, nagle zapada się po brzuch w drobny, lekki piasek, robi wysiłki, aby zawrócić i

dostaje się przez to jeszcze głębiej w rozpalone nurty drobnego pyłu. Jeździec boi się zsiąść ze zwierzęcia, bo utonąłby, walczy więc dromedar wkopuje się z każdą chwilą głębiej i w końcu znika całkiem. Bab-el-Ghud, morze ławic, sięga po jeźdźca, coraz to wyżej i wyżej, chwytą go za nogi, biodra, potem plecy, wreszcie uniemożliwia mu wszelki ruch. Arab zwraca głowę ku wschodowi, do świętej Kaaby, a blade, wyschnięte wargi jego szepcą: *Allah kehrim*, tak Bóg chce, Bóg jest łaskaw!” W końcu piasek zamyka mu usta, ławica ściska jego piersi, powieki opadają na oczy, anioł śmierci przelatuje z szelestem, a wysoko w powietrzu unosi się brodaty sęp. Przypatrywał się on ostatniej walce wędrowca. Wie, że ławica pochłonie swą ofiarę zupełnie i nie dopuści go do udziału w zdobyczy.

Taką jest Bab-el-Ghud. Kto zapuszcza się między jej skały i fale piaszczyste, tego zmuszają chyba jakieś niezwykle powody.

A jednak znajdują się tacy, którzy nie lękają się tych niebezpieczeństw. Obok prawa gościnności krwawa zemsta jest pierwszym prawem pustyni, a chociaż trafia się między pokrewnymi plemionami, że za mord płaci się cenę krwi, to nie zdarza się to nigdy, jeśli zbrodnię popełni człowiek obcego lub wrogiego narodu. W takim przypadku winny domaga się krwawego odwetu, który przenosi się tu i tam, dopóki w końcu nie obejmie całych szczepów i nie doprowadzi do otwartej lub ukrytej rzezi, jakich widownią jest Bab-el-Ghud między Tuaregami a Tebu. Tu prawo krwi jest mocniejsze od przyrody, wysiłającej się na te wszelkie okropności celem rozdzielenia nieprzyjaciół. Owe okropności właśnie nadają wrogim wystąpieniom takiej grozy, że walki dzikich hord indiańskich nie dorównują im pod tym względem.

Od ostatniej naszej przygody upłynęło kilka tygodni. W tym czasie Hassan okazał się rzeczywiście doskonałym przewodnikiem. Nie tylko znał dobrze drogi, lecz umiał tak wszystko zarządzić, że dotychczas niczego nam nie brakło i nie ponieśliśmy żadnej szkody. Jego przywiązanie do mojej osoby zwiększyło się bardzo, byłbym mu nawet zupełnie zaufał, gdyby nie nadzwyczajne jakieś, trwożne podniecenie, na które cierpiał od pewnego czasu co rano. Siadał wtenczas na swej rogózce, z której niepodobna było go ściągnąć, płakał, szlochał, śmiał się i cieszył, nazywał siebie bohaterem, to znowu mazgajem, prawym mużulmaninem i nieposłusznym, który musi pójść do *dzehenny*. Wyglądało to tak, jak gdyby dostał pewnego rodzaju obłąkania, którego przyczynę postanowiłem wysledzić. Na razie jednak trzeba było oddać się przewodnictwu umysłowo chorego człowieka przy zachowaniu wszelkich ostrożności.

Było nas ciągle tylko trzech. Mieliśmy dostateczną ilość jucznych wielbłądów, aby dzielić na nie ciężary, jechaliśmy więc z dwa razy większą szybkością, niż zwykła karawana i byliśmy już pewni, że po trzech dniach drogi dostaniemy się do Bab-el-Ghud. Ponieważ mój hedżin biegł najlepiej ze wszystkich wielbłądów, przeto wyruszałem rano zwykle później, aniżeli Józef i Hassan, a dopędziwszy ich, wyprzedzałem o kawałek drogi, aby — zanim się zbliżą — wypalić spokojnie czibuk lub wzbogacić jakimś okazem mój zbiór minerałów.

Tak i teraz niósł mnie mój wielbłąd samego między ławicami, od czasu do czasu zatrzymywałem go, by się przysłuchać osobliwemu dźwiękowi piasku, który, choć prawie niedosłyszalny, dawał się jednak uchwycić. Poszczególne ziarnka dotykały się, popychały w górę, potem spadały na dół, wywołując ów szczególny szmer, podobny do tajemnego szeptu miliona lilipucich gardziółków. Te niezliczone miriady ziarenek toczyły się ciągle, chociaż najłżejszego powiewu nie zauważyłem. Raz wprawione w ruch zachowywały go nawet w tak małych drgnieniach powietrza, że ich skóra ludzka nie czuła.

Wtem pomiędzy dwoma wzniesieniami gruntu dostrzegłem wzgórek piaskowy, który nie mógł powstać w sposób naturalny. Kazałem hedżinowi ukłęknać i zsiadłem, aby zbadać grunt. Leżał tu trup Araba razem ze zwłokami wielbłąda, a wędrowny piasek już je zagrzebał. Zwierzę dostało kulą w czoło. Czyżby tu zaszedł wypadek krwawej zemsty? Odsunąłem piasek jeszcze bardziej, aby się przypatrzeć jeźdźcowi. Znalazłem go w pełnym ubraniu i uzbrojeniu. Na

kapturze burnusa miał wyszyte: A. L., a obie te litery wypalone były także na kolbie strzelby i na rękojeści noża. O cal nad nasadą nosa znalazłem okrągłą dziurę, spowodowaną przez kulę, która nieszczęśliwcowi wbiła się w głowę.

— Emery Bothwell! — zawołałem, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto by mię mógł być usłyszeć.

Znałem ten niezrównany strzał, widziałem podobną dziurę w czole niejednego Indianina, który zbliżył się zanadto do rusznicy mego przyjaciela. Nie wątpiłem ani na chwilę, że to on był strzelcem. Znajdował się już widocznie w *Beb-el-Ghud*, a od czasu, gdy ten strzał padł, musiały upłynąć ze trzy tygodnie, jeśli się uwzględniło wysokość nasypanego piasku. Pomyślałem sobie, że z pewnością nie tylko ten człowiek, ugodzony kulą „prawdziwego Anglika”, złożył swe białe kości na pustyni. Ów nieszczęsny znak sprowadzał śmierć na każdego, kto na swoich szatach lub broni go nosił.

I pod tym względem przypuszczenie moje się sprawdziło, gdyż nieopodal znalazłem drugie i trzecie zwłoki z kulą w czole. *Hedżan-bej* zyskał więc strasznego, nieubłaganego wroga, którym pewnością nie spocznie, dopóki nie znajdzie lub nie pomścił *Renalda Latréaumont*a.

Trochę dalej zauważyłem świeży ślad, przecinający skośnie naszą drogę. Pozostawiło go jedno zwierzę, umieszczając odciski tak małe, że niewątpliwie należało do hedżinów biszarin, a przynajmniej mehara, jakie hodują Tuaregowie. Taki mehari przewyższa pod względem szybkości, wytrzymałości i skromnych wymagań życiowych wielbłądy z Biszara, a za klacze płaci się ceny wprost nadzwyczajne.

Była to klacz, gdyż tylne nogi miały ślad szerszy. Odciski nie były zbyt głębokie, wielbłąd więc niósł tylko jeźdźca. Był to zatem albo człowiek ścigany, albo rozbójnik lub jeden z kurierów, przebiegających na swych szybkich wielbłądach pustynią. To ostatnie wydało mi się nieprawdopodobne, gdyż ślad prowadził wprost na *Serir*, gdzie kurier nie ma po co jechać. Ale czego chciałby rozbójnik tam, gdzie nie ma zdobyczy? Musiał to być zbieg, szukający ukrycia, może mściciel, który znalazł samotny *bir* i stąd urządzał swoje wyprawy.

Ślady były zupełnie świeże. Samotny jeździec w samym środku pustyni był niezwykle zjawiskiem, nic też dziwnego, że zajął moją uwagę. Zrobiłem na moim tropie znak, żeby moi towarzysze jechali bez obawy w tym samym kierunku, a sam zwróciłem się w bok znalezionym śladem.

— Hhejn, hhejn!

Na ten okrzyk mój wielbłąd pomknął, jak burza. Gdyby teren był równy, byłbym tego, którego ścigałem, zobaczył w dziesięć minut, ponieważ jednak wzniesienia piaszczyste zasłaniały mi widok, przeto ujrzałem go dopiero, gdy znalazłem się całkiem blisko niego.

— Rrree, stój! — zawołałem.

Usłyszawszy mój okrzyk, zatrzymał swego pięknego mehara, zawrócił go, a spostrzegłszy mnie, pochwycił natychmiast długą flintę.

— *Sallam aalejkum*, pokój pomiędzy mną i tobą! — pozdrowiłem go, nie sięgając po broń. — Powieś swoją strzelbę na siodle, gdyż pozwalam, żebyś nazywał mnie swoim przyjacielem. Spojrzał na mnie zaskoczony.

— Ty mnie pozwalasz? Skąd wiesz, czy ja pozwolę ci na to?

— Ja nie potrzebuję tego, gdyż sam już sobie pozwoliłem.

— Jak tobie na imię i jak się nazywa szczep, do którego należysz?

Mój wygląd zewnętrzny i uzbrojenie uprawniały go do wniosku, że jestem Arabem. On był *Tebu*. Ciemna, prawie czarna cera, krótkie kędzierzawe włosy, pełne wargi i wystające kości policzkowe odróżniały go znacznie od *Beduina* i *Tuarega*. Czyżby krwawa zemsta zapędziła go w *Bab-el-Ghud*? Nie mogłem przypuścić, żeby tu między wędrownymi wydmami było jakieś źródło, a jednak on nie wiozł z sobą worka na wodę, lecz małe *cemcemieh*, naczynie ze skóry gazeli. Oprócz długiej strzelby miał całe uzbrojenie wojenne. Postać jego osłaniał szeroki, biały

burnus, a pod nim przylegająca do ciała bluza ze skóry wołowej, służąca jako pancerz i noszona tylko przez Tuaregów.

— Przybywam z dalekiego kraju Germanistanu, gdzie nie znają szczepów, ani ferkah. Ty jesteś Tebu?

Pominał to pytanie milczeniem i zawołał zdziwiony:

— Z Germanistanu? Czy znasz sisi Emira?

— Znam — odrzekłem zaskoczony. — Czy go widziałeś?

— Widziałem. Czy ty jesteś szejkiem z Germanistanu, na którego on czeka?

— Tak.

— *Habakak*, bądź więc pozdrowiony, sisi! On mnie wysłał, żebym na ciebie tu zaczekał.

— Gdzie jest sisi Emir?

— W dalekim Bab-el-Ghud. Tam znajdziesz znak, gdzie bawią jego stopy.

— Podziękuj Allahowi za to, że wpadłem na twój ślad i udałem się nim, bo mogłem przejść i nie byłbyś mnie zobaczył.

— Byłbym cię znalazł, sisi. Chciałem tylko w Serirze napić moją meftan i nabrać wody dla siebie. Potem byłbym wrócił na drogę, którą miałaś przybyć. Twoim śladem byłbym podążył, aby przekonać się kim jesteś.

— Znasz więc źródło w tej pustyni?

— Znam wiele źródeł, które tylko moje oko widziało, sisi.

— A jesteś Tebu?

— Odgadłeś. Jestem Tebu z plemienia Beni Amaleh.

— Jak ci na imię?

— Nie mam imienia, sisi. Imię moje zagrzebane jest pod dachem mego namiotu, dopóki nie spełnię przysięgi, złożonej na brodę proroka i na sąd wieczny. Nazywaj mnie Abu billa Beni — ojciec bez synów.

To życzenie powiedziało mi właściwie wszystko, mimo to pytałem dalej:

— Pozabijano ci synów?

— Trzech synów, sisi, trzech synów, którzy byli moją radością, moją dumą i moją nadzieją. Byli wysocy i smukli jak palmy, mądrzy jak Abu Bekr, mężni jak Ali, silni jak Khalid, a posłuszni jak Sadik. Pędzili trzodę moją do *biru*, zwłoki ich znalazłem, lecz zwierząt nie zdołałem odszukać.

— Kto ich zabił?

— Hedżan-bej, dusiciel karawan. Zabrał moje mehary, by nosiły rozbójników, a moje bydło i owce na pożywienie dla morderców. Opuściłem mój *duar*, moje plemię, żonę i córki i poszedłem za nim. Moja włócznia pożarła trzech, strzała czterech, a nóż sześcioro z jego ludzi, jego samego jednak chroni szejtan, wskutek czego oko moje nie mogło go zobaczyć, ani ręka dosięgnąć. Ale mimo to pójdzcie do piekła, gdyż, jeśli moja ręka za krótka, to ty go ugodzisz, ty i sisi Emir, którego nazywają Behluwan-bej, dusiciel zbójów.

— Gdzie spotkałeś sisi Emira?

— Przy źródle Khoohl, gdzie kula jego zabiła trzech Hedżanów, noszących śmiertelny znak.

— Kto był z nim?

— Sługa i przewodnik. Czy nie znalazłeś po drodze trupów z przestrzelonym czołem: jeźdźców i zwierząt?

— Znalazłem.

— To sisi Emir, pozbawił ich życia. Kula jego jest, jak gniew Allaha; nigdy nie chybia. Hedżan-bej i jego banda znają tę rusznicę. Przeklinają sisi Emira, ale spokojny pasterz wspomina go ze słowami błogosławieństwa na ustach. On jeździ tropami rozbójników, a oni chcą go schwytać i zabić, lecz Bóg jego jest potężny, jak Allah, robi go niewidzialnym i strzeże przed niebezpieczeństwem. W każdej osadzie rozbrzmiewa jego chwała, nad każdym źródłem dźwięczy jego sława. Pustynia dumna jest z jego imienia. On jest sędzią grzesznika i ochroną

sprawiedliwych. Przybywa i odchodzi, a nikt nie wie, skąd i dokąd. Ja jednak zawiodę cię do niego, żeby imię twoje tak urosło, jak jego.

Był to prawdziwy hymn na cześć dzielnego Emery Bothwella! Ten Tebu był w każdym razie odważniejszy od Hassana, mogłem więc bez obawy powierzyć się jego przewodnictwu.

— Jak daleko jeszcze do Bab-el-Ghud? — spytałem.

— Dzień, a potem jeszcze jeden. Gdy na wschód padnie cień twój, trzy razy dłuższy od twojej stopy, ukłęknie twój biszarin pod Bab-el-Hadžar, abyś wypoczął w cieniu.

Mieszkaniec pustyni nie zna kompasu, ani zegarka. Gwiazdy wskazują mu drogę, a po długości cienia oznacza on czas. Ma w tym taką wprawę, że bardzo rzadko się myli.

— To chodź na spotkanie moich ludzi!

— Woda mi się kończy, sisi!

— Znajdziesz u mnie tyle, ile ci trzeba!

Udał się za mną, a niebawem ujrzeliśmy Józefa i Hassana, którzy zrozumieli mój znak i zachowali kierunek drogi. Zdziwili się, widząc, że znalazłem towarzysza.

— *Maszallah*. — rzekł Korndorfer. — Cieszę się, że znaleźliśmy towarzysza! Kim on jest?

— Abu billa Beni, który nas zaprowadzi do Bab-el-Ghud. Na to ściągnęły się ponuro brwi Hassana.

— Kim jest ten Tebu, że chce znać drogę lepiej, niż Hassan Wielki, którego wszystkie dzieci pustyni nazywają Dżezzar-bejem, dusicielem ludzi? Jaka matka go urodziła i ilu poprzedziło go ojców? Niechaj sobie pójdzie, gdzie mu się podoba, sisi. Ja zaprowadzę cię do Bab-el-Ghud i bez niego. Popatrz na jego włosy, policzki i usta; czy to prawdziwy potomek Izmaila, syna praojca Abrahama?

Tebu patrzył mu w oczy ze spokojnym uśmiechem.

— Nazywasz się Hassan el Kebih i Dżezzar-bej? Ucho mego dżemela nie słyszało jeszcze nigdy tych imion. Jak się nazywa twój szczep?

— Jestem Kabaszi z terkah en Nurab. My zabiliśmy panterę i żonę pantery, oraz assaid-beja, a kogo ty zabiłeś? Jesteś ojcem bez synów i Tebu bez odwagi. Ja poprowadzę sisi, a ty możesz się trzymać ogona mego wielbłąda!

Tebu nie stracił równowagi i po tej obeldze.

— Jak ci na imię? — spytał.

— Ono większe, niż liczba twoich krewnych i dłuższe od twojej pamięci. Nazywam się: Hassan-Ben-bulfeda-Ibn-Haukal al Wardi-Jussuf-Ibn-Abul-Foslan-Ben-Ishak al Duli.

— No, dobrze Hassanie-Ben-Abulfeda-Ibn-Haukal al Wardi-Jussuf-Ibn-Abul-Foslan-Ben-Ishak al Duli, zsiądź ze swego dżemela, bo mam ci coś powiedzieć!

Zsiadł, wy dobył nóż i usiadł w piasku.

Arabski pojedynek! Spodziewałem się tego i dlatego pozwoliłem na tę sprzeczkę. Wiedziałem, że Wielkiego Hassana czeka upokorzenie. Ten, zobaczywszy, co mu grozi, odpowiedział:

— Kto ci pozwolił zsiąść z wielbłąda? Czy nie wiesz, że tu tylko sisi ma prawo rozkazywać? Jemu zaś pilno do Bab-el-Ghud.

— Pozwalam wam zsiąść, Hassanie — odrzekłem — jesteś dzielnym Kubaszi en Nurab i masz ostry nóż; broń więc swego honoru!

— Ależ nam szkoda czasu, sisi; cienie robią się coraz to dłuższe!

— Dlatego zsiądź i śpiesz się!

Teraz nie mógł już nic innego uczynić. Zsiadł, zajął miejsce naprzeciwko Tebu i wyjął nóż.

Nie mówiąc ani słowa, Tebu odsunął szarawary z łydki, przyłożył do niej koniec noża i wbił ostrze w ciało aż po nasadę. Następnie popatrzył spokojnie i z oczekiwaniem w oczy Hassanowi.

Kabaszi, chcąc ratować swoją cześć, musiał się pchnąć tak samo. W ten sposób kaleczą sobie dwaj walczący nieraz wiele mięśni, nie drgnawszy nawet powieką przy tych bolesnych zranieniach. Kto dłużej wytrzyma, ten zostaje zwycięzcą. Synowie pustyni uważają za hańbę poddać się bólowi.

Hassan obnażył powoli łydkę i przyłożył do niej koniec noża. Skóra zagięła się, gdy lekko spróbował wbić nóż. Lecz dusiciel ludzi, zmiarkował, że to boli. Zrobił więc okropną minę i chciał już broń odjąć od ciała, kiedy nastąpiło *intermezzo*, na które był najmniej przygotowany. Józef Korndorfer zsiadł był także, aby się pojedynkowi wygodnie przypatrzeć, stanął tuż za Kubaszim, a gdy ten chciał wyrzec się pojedynku, pochylił się i pod wpływem złego humoru uderzył tak silnie pięścią w rękojeść noża, unoszącego się nad łydką, że ostra stal wbiła się po jednej stronie łydki, a drugą wyszła.

Hassan zerwał się ze strasznym okrzykiem.

— Na miłość Boga, ty drabie, czy zwariowałaś? Co tobie do mojej nogi? Czy to twoja łydka, czy moja? Ty wszo, ty pchło, ty jeżu, ty ojczy jeża, ty stryju i wuju ojca jeża! Czy pożyczyłem ci nogi, żebyś na mojej łydce pokazywał, jaki jesteś waleczny, ty gjaurze, ty... ty... ty Jussefe-Koh-er-darb-Ben-Koh-er-darb-Ibn-Koh-er-darb-el-Kah-el-brunn!

Ten wybuch wściekłości był okropny, a ja mimo to roześmiałem się na widok olbrzyma, który z nożem w łydce wykonywał najdziwniejsze skoki na jednej nodze i pomimo złości nie odważył się porwać na Korndorfera.

— *Maszallah*, wstydź się do głębi duszy, ty Dżezzar-beju, ty dusicielu ludzi! — odrzekł Józef, który chciał Araba tylko lekko zadrasnąć, tymczasem z powodu tego, że był bardzo silny, wbił mu nóż za daleko. — Chodź tu, trzeba nóż wyjąć!

Pochwycił Kubaszego i z towarzyszeniem nowego ryku wyciągnął nóż z rany. Gdy Hassan zobaczył krew, padł jak długi na ziemię, a powrócił do przytomności dopiero po owinięciu rany. Widok własnej krwi wywarł na nim takie wrażenie, że głośny gniew ustąpił miejsca milczącej złości.

Józef otrzymał oczywiście nagane, którą przyjął bez wielkiej skruchy, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę po tej szczególnej przerwie.

Zatrzymawszy się wieczorem między wydrami rozbiliśmy namioty, a po ułożeniu posłania, nakarmiliśmy zwierzęta. Po skromnej wieszce, która składała się z garści mąki, kilku daktyli i z kubka wody, udaliśmy się na spoczynek.

Postanowiłem, by każdy z nas kolejno czuwał. Hassan wyprosił sobie, jak zwykle, ostatnią straż. Nadzieja rychłego spotkania się z Emerym zbudziła mnie wcześniej ze snu. Wstawszy, wyszedłem z namiotu, aby z worka wziąć garść wody i umyć się.

Naraz uderzył mnie szczególny widok. Przy zdjętych ze zwierząt jukach siedział plecami do mnie długi Kabaszi z *ferkah en Nurab*., trzymając przy ustach baryłkę ze spirytusem. Ta baryłka, owinięta troskliwie plecionką łykową, służyła mi do przechowywania okazów, przeznaczonych do zbiorów przyrodniczych. Oprócz owadów znajdowały się tam wszelkiego rodzaju płazy, żmije, traszki stepowe, żaby z *birketów*, a teraz siedział Hassan, prawdziwy muzułmanin, rozkoszując się sosem, w którym te stworzenia pływały, jak gdyby się raczył olimpijskim nektarem. Poznałem od razu, że nie była to pierwsza jego libacja, ponieważ musiał dobrze podnosić baryłkę, aby jeszcze kilka kropel wysączyć przez dziurkę. Teraz zrozumiałem, jakiego rodzaju było to obłąkanie, na które zdawał się cierpieć w ostatnich czasach. Poczciwy Hassan po prostu upijał się nadmiernie.

Podszedłem skrycie do niego, uderzyłem go ręką po ramieniu. On upuścił ze strachu baryłkę i zerwał się na równe nogi.

— Co tu robisz?

— Piję, *sidi*! — rzekł zupełnie oszołomiony tą niespodzianką.

— A co pijesz?

— *Ma-el-cat*.

Muzułmanie, używający po kryjomu wina i napojów wysokokowych, chrzczą je różnymi nazwami, aby uspokoić swoje sumienie. Wedle ich logiki wino przestaje być winem, jeśli się inaczej nazywa.

— *Ma-el-cat*, woda opatrności? Kto ci podał nazwę napoju, znajdującego się w tym naczyniu?

— Ja go znam, *sidi*. Gdy ludzie byli niegdyś smutni, opatrność spuściła kroplę rozweselenia na ziemię. Kropla ta nawodniła kraj i naraz wyrosły rozmaite rośliny, których sok ma w sobie część *nukthy*. Dlatego napój, rozweselający człowieka, nazywa się *ma-el-cat*, wodą opatrności.

— To ja ci powiadam, że to nie *ma-el-cat* lecz spirytus, zawierający w sobie gorszego ducha, niż wino, którego ci pić nie wolno.

— Nie pijam wina, ani spirytusu, wypilem *nuktha-el-cat*!

— Lecz i to jest zabronione!

— Mylisz się, *sidi*. Muzułmaninowi wolno ją pić!

— Czyż nie słyszałeś, co mówi prorok: „*Kullu muskirin, haram*, wszystko, co upaja, jest zakazane”.

— *Sidi*, ty jesteś mądrzejszy ode mnie; ty znasz nawet *ilm el tauahhid*, naukę o jednym Bogu, lecz ja mogę pić *ma-el-cat*, ponieważ mnie to nie upaja.

— Upajało cię już przez kilka dni, a i teraz duch wódki trzyma twoją duszę w niewoli.

— Dusza moja jest swobodna i żwawa.

— To powiedz mi *surat el kafirun*!

Jest to setna dziewiąta *sura* Koranu, a muzulmanie używają jej często w osobliwym celu. Muzułmanin musi odmówić ten rozdział, kiedy go podejrzewają, że jest pijany. Poszczególne wiersze różnią się od siebie tylko tym, że te same wyrazy występują w nich w różnych miejscach, wskutek czego pijany często je miesza. Oto słowa wspomnianej *sury*: „*Mów: O niewierni, ja nie czczę tego, co wy czcicie, a wy nie czcicie tego, co ja czczę, i nie będę też czcił tego, co wy czcicie, a wy nie będziecie czcili tego, co ja czczę. Wy macie swoją religię, a ja moją*...”. Wygłosić tę *surę* w języku arabskim jest o wiele trudniej.

— Ty nie masz prawa, *sidi*, żądać ode mnie *surat el kafirun*, ponieważ nie jesteś muzulmaninem, lecz chrześcijaninem.

— Czy sądzisz, że muzulmaninowi nie wolno posłuchać chrześcijanina? Czemu tedy zostałeś moim sługą? Nie uważasz za zbrodnię pić *ma-el-cat*, ale nie zaprzeczysz, że mi ją ukradłeś. Koran karze złodzieja!

— Czy ty możesz karać prawowiernego, *sidi*? Udaj się do *kadięgo*!

— Ja nie potrzebuję twojego *kadięgo*!

Hassan był tylko naszym przewodnikiem, a ponieważ nadzór nad pakunkami należał do Korndorfera, przeto Kabaszi nie wiedział, co baryłka zawierała jeszcze oprócz spirytusu. Wziąwszy nóż, rozciąłem po chwili górne obręcze, a po odbiciu denka podsunąłem dusicielowi pod nos brzydko wyglądające, a jeszcze gorzej woniące robactwo.

— Oto twoja *ma-el-cat*, Hassanie!

On zaś rozstawił nogi, podniósł w górę ręce i zrobił minę, w której odbiły się wszystkie znajdujące się w naczyniu poczwary.

— *Bismillah*, *sidi*, co ja wypilem! *Allah inhal el ruszar*, niech Allah zniszczy tę beczkę, gdyż w gardle robi mi się tak, jak gdybym połknął całą *dzehennę* z dziesięciu milionami duchów i diabłów!

— To jest pierwsza część twojej kary, a drugą niech będzie rana, którą wczoraj zadał ci Jussuf. Wobec tego rachunek nasz wyrównany!

— *Sidi*, rana nie jest tak zła, jak *ma-el-cat*. Ona mnie za chwilę zabije!

Nie chciałem dłużej paść się smutnym widokiem Dżezzar-beja i rozkazałem Józefowi, by wstał i przelożył okazy do beczułki, którą na szczęście miałem w zapasie. Ta była już z



pewnością bezpieczna przed atakami Hassana, któremu przeszedł apetyt na kroplę rozweselenia.

Ruszywszy w dalszą drogę, jechaliśmy aż do południa. Ku naszemu zdumieniu natknęliśmy się na ślady licznej karawany.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki — rzekł Hassan, który dotąd zachowywał milczenie — on nie doznaje nigdy pragnienia, jemu wiadome są wszystkie drogi w pustyni, ale czego chce od kalifa w Ghud, gdzie znajduje się źródło, zdolne zaledwie napoić dwa wielbłądy?

— Policzcie ślady! — rozkazałem.

Znaleźliśmy odciski ludzki, koni i wielbłądów. Dżemele były przeważnie ciężko objuczone, mieliśmy więc przed sobą karawanę handlową. Dokładny przegląd wykazał sześćdziesiąt wielbłądów juczych, jedenaście wierzchowych, dwu piechurów, oraz trzech jeźdźców na koniach. To upewniło nas, że karawana zbłądziła, gdyż w tych stronach na kilka dni drogi nie było wody nawet dla jednego konia.

— Ta *kaffila* idzie z Air i zmierza do Safileh lub do Tibesti — stwierdził Tebu.

— W takim razie powierzyła się niedoświadczonemu przewodnikowi, skoro tak daleko zbłądziła.

— *Khabir* nie może być niedoświadczony, *sidi* — odrzekł ze szczególnym uśmiechem na wargach. — Hedżan-bej nie przyjmuje do swojej *gum* człowieka, nie znającego pustyni.

Co on chciał przez to powiedzieć? Ach, domyśliłem się potwornej rzeczy!

— Czy sądzisz, że to *khabir* wprowadza w błąd karawanę?

— Tak, *sidi*. *Khabir* może się pomylić o kilka stóp cienia, ale nigdy nie zamieni Sa-ileh z Bab-el-Ghud. Jeśli czegoś nie wie, to ma swego *szecha el dżemali*, którego może zapytać. Czy widzisz ten ślad, *sidi*? Dżemele nie szły już, lecz wlokły się. Czy to nie próżny wór z wody, stwardniały jako drzewo? *Kaffila* nie ma już wody. *Khabir* prowadzi ją do Hedżan-beja i ona zginie, jeśli nie przyjdziemy jej z pomocą.

— Wobec tego naprzód, żebyśmy ją doścignęli! Chciałem pośpieszyć, lecz Tebu pochwycił mego wielbłąda.

— Niech cię Bóg zachowa, *sidi*, bo idziesz na niebezpieczeństwo, którego jeszcze nie widziałeś. Co powiesz *khabirovi*, gdy spyta, co robisz w „piaszczystym morzu”?

— Że przybywam z Sehliet, aby udać się do Dongoli i że zbłądziłem. Albo nic mu nie powiem, gdy mi się spodoba. Niebezpieczeństwo, w jakie zawiedzie mnie ten *khabir*, nie dorównywa wielkości gwoźdźcia w podszwie mojego buta. Gdy nań nastąpię, musi być posłusznym. Hhejn!

Wielbłądy Hassana i Józefa nie były tak ręczne, jak mój i Tebu, to też im kazałem postępować wolniej.

Karawana idąca przed nami, musiała rzeczywiście cierpieć niedostatek, gdyż tu i ówdzie znajdowaliśmy przedmioty, porzucane ze znużenia i z rozpacz. Odciski wskazywały, że zwierzęta traciły z każdym krokiem siłę. Zdawało się, że konie lada chwila padną.

Nareszcie ujrzeliśmy pomiędzy ławicami piasku kilka białych kapturów, a wkrótce potem zbliżyliśmy się do ostatnich jeźdźców karawany, których znużone zwierzęta, z wielkim trudem wlokły się za tamtymi. Gdy zobaczyli nas żwawych, zdumieli się i z radością odpowiadali z ożywieniem na nasze pozdrowienie.

— Kto jest *khabirem* tej *kaffili*? — spytałem.

— Daj nam pić, *sidi*! — brzmiała odpowiedź.

Podaliśmy im wody. W tej chwili zgromadzili się dokoła mnie wszyscy członkowie karawany. Z dala pozostali tylko dwaj: Tuareg, jadący na znakomitym biszarinie i Beduin, pieszo prowadzący pochód. Domyśliłem się, że to *szech-el-dżemali*. Obaj przypatrzyli mi się wzrokiem, na poły zdumionym, a na poły ponurym.

Dałem każdemu tylko tyle się napić, żeby wystarczyło dla wszystkich i powtórzyłem pytanie:

— Który z was jest *khabirem!*

Wtedy człowiek na biszarinie podjechał bliżej.

— Ja. Czego chcesz?

— Pozdrowienie. Czy nie słyszałeś, że usta moje powitały całą *kaffila*, czy nie widziałeś, że ręka moja napoiła każdego? Odkąd to zamknięte są usta wiernego, gdy wędrowiec życzy mu zbawienia i pokoju?

Tebu spojrział na mnie ze zdziwieniem. Był wprawdzie waleczny, ale tym tonem nie przemówiłby do Tuarega. Oczy *khabira* zrobiły się jeszcze większe, niż oczy Tebu.

— *Sal-aalejk* — pozdrowił mnie tak samo, jak posłaniec w Algierze. — Ile żyć masz, że język twój takie słowa wymawia? — dodał dumnie.

— *Sal-aal*. Tylko jedno, tak samo jak ty, lecz moje wydaje mi się droższym, niż twoje tobie.

— Czemu? — wybuchnął.

Musiałem trochę zawrócić.

— Ponieważ zabłądziłeś w tej pustyni i zginiesz, jeśli nie znajdziesz dobrej drogi.

— Ja nie błędzę nigdy — odparł nie mogąc ukryć zakłopotania. — Allah dał suche powietrze, wskutek czego woda nam się skończyła, lecz jutro zaprowadzi nas do studni.

— Dokąd dążyła *kaffila*?

— Musisz to wiedzieć?

— Czy masz powód do zatajenia?

— Idzie do Safileh.

Skinąłem głową, jakby na znak, że mnie to zadowoliło.

— Ja także. Czy przyjmiesz mnie do swego towarzystwa?

Odetchnął uspokojony.

— Jak ci na imię i do jakiego szczepu należysz?

— Jestem Frankiem, którego imienia nie wymówi twój język.

— Jesteś Frankiem, chrześcijaninem? — zapytał, a zwróciwszy się do swoich ludzi, dodał:

— Przyjęliście wodę od giaura!

Ci odstępili ode mnie, ja zaś przycisnąłem się do niego wielbłądem tak blisko, że pochwycił za nóż.

— Nie zapomnij tego słowa, *khabirze*, — rzekłem — gdyż musisz za nie odpokutować!

Od chwili kiedy się otwarcie przyznałem, że jestem niewiernym, czułem się pewniejszy. Mogłem nań rzucić podejrzenie, lecz fanatyczni muzułmanie, z jakich składała się karawana, nie byliby mi uwierzyli. Teraz i on wyjawiał mi powód, dla którego zachowywali się tak podejrzliwie wobec mnie, kiedy się ukazałem.

— Od kogo masz tego biszarina? Muzułmanin nie sprzedaje niewiernemu takiego zwierzęcia.

— Otrzymałem go w darze od wiernego, którego ocaliłem z paszczy lwa.

— Kłamiesz! Giaur boi się pana trzęsienia ziemi, a ten, do którego należy ten biszarin hedżin, nie dostanie się w łapy lwa.

Na to ja pochwyciłem w tej chwili harap.

— Słuchaj, psi synu! Jeśli jeszcze raz powiesz, że kłamię, dam ci harapem w twarz, a wiesz, że wedle słów Koranu: *Mikail, Džebrail, Issrafî li Asrail*, nie wpuszczą do rajy wiernego, obitego przez chrześcijanina.

Była to najgorsza obelga, jaka mogła go spotkać. Znużeni jeźdźcy, których dopiero przed chwilą napoiłem, zbliżyli się do mnie groźnie, a *khabir* sięgnął po pistolet.

— Zsiadaj z dżemela, giaurze, gdyż zanim zdołasz polecieć duszę Bogu, porwie cię szejtan!

Naciągnął kurek. Dzielnym Tebu stanął tuż obok mnie i pochwycił włócznię, aby mnie bronić. Teraz mogłem spróbować mocy *anaji*, którą otrzymałem nad *Birket elfehlate*. *Khabir* poznał mego biszarina, musiał więc także znać tego, który mi go podarował. Nadto zauważyłem u niego, jak też u *sze-cha-el-dżemali* zdradzieckie litery: A. L., które wyjaśniły mi resztę.

Wyciągnąłem koral i pokazałem mu.

— Schowaj broń, bo szejtan dostanie twoją duszę, nie moją! Posłuchasz, czy nie?  
Arab przeraził się niezmiernie.

— *Allah akbar*. Bóg jest wielki, sidi, a ty pozostajesz pod osłoną większą, niż potęga szatana. Widzę, że mówisz prawdę. Ty ocaliłeś nieznanego z lwiej paszczy i dostałeś za to jego hedżina. Chodź z nami, dokąd ci się spodoba!

Tego sobie właśnie życzyłem. To pozwolenie robiło mnie członkiem karawany, a zarazem dawało mi prawo mówić i działać dla jej dobra przeciw *khabirowi*.

— Jedź dalej! Moi słudzy nas dościgną.

— Ilu służących masz z sobą, sidi? — zapytał podejrzliwie.

— Dwu oprócz tego. Oni byli przy tym, jak zabiłem pana trzęsienie ziemi. Skoro nadjadą, zobaczysz jego skórę i skóry dwu panter, które moja kula dosięgła.

— Co robisz na pustyni?

— Chcę zabić assad-beja i pomówić jeszcze z innymi bejami.

Zadowolony z odpowiedzi, dał znak, by ruszono w dalszą drogę. Ja wraz z Tebu trzymałem się na końcu powoli posuwającego się pochodu.

— Bóg jest łaskaw, sidi. On chroni wiernych. Ty jednak jesteś chrześcijaninem i narażasz swe życie, chociaż Allah nie używa ci pomocy.

— Allah nie jest potężniejszy od mego Boga, który mieszka w niebie. On ma wszelką władzę, a my jesteśmy jego dziećmi.

— Ale żaden Arab nie powiedziałby do *khabir a* takich słów. Anioł śmierci unosił się nad twoją głową. Jesteś mocny i śmiały, jak sidi Emir.

— Jeden odważny palec więcej wart, niż dwie ręce, pełne broni. Ty także jesteś dzielny. Powiem o tym sidi Emirowi. Czy w Bab-el-Ghud znajdziemy wodę?

— Są tam dwa ukryte źródła, z których może się napić dziesięć wielbłądów.

— W takim razie *kaffila* będzie mogła się trzymać, dopóki pomoc nie nadejdzie, jeśli Hedżan-bej jej nie zniszczy.

— Co zrobisz, by ją ocalić?

— To muszę przemyśleć. Czy sidi Emir jest w Bab-el-Ghud?

— On tam czeka, ponieważ wie, że masz nadejść. Nie wiedząc jednak, kiedy to nastąpi, mógł się na krótki czas oddalić.

— Czy *kaffila* dojdzie do wrót pustyni.

— Nie. *Khabir* poprowadzi ją w bok między wydmy i tam na nią napadną.

Domyślałem się tego i zacząłem się zastanawiać nad tym, jakby można najpewniej ocalić karawanę oraz dostać rozbójnika w swe ręce.

Mogłem po prostu zastrzelić *khabira* i *szecha-el-dzemali*. To jednak było wobec Arabów rzeczą niebezpieczną, dopóki nie miałem silnych dowodów, że przewodnik jest sprzymierzeńcem Hedżan-beja. W ten sposób nie doszedłbym do celu. Należało pochwyć beja celem uwolnienia Renalda Latréaumonta i starać się zetknąć z Emerym jeszcze przed zrobieniem jakiegoś stanowczego kroku.

Tymczasem doścignęli nas Józef i Hassan. Kazałem im zachować dla nas jeden wór z wodą, a resztę zapasu rozdzielić między członków karawany. Wielki Hassan zawarł z nimi wkrótce bliską znajomość, wychwalał siebie i swoje imię i nie zaniedbał żadnej sposobności, żeby zdobyć także dla mnie należyty szacunek. Korndorfer natomiast pozostał przy mnie i Tebu.

Wtem przewodnik zatrzymał wielbłąda, puszczając karawanę obok siebie, dopóki nie nadjechałem.

— Czy znasz, sidi, imię tego, który darował ci tego dżemela? — zapytał, zostając ze mną samym w tyle za innymi.

— Chrześcijanin dopomaga bliźniemu, nie pytając o jego imię.

— Nie wiesz więc także, kim on jest?

— Wiem.

— To powiedz!

— Jest tym, czym ty.

— Ty sidi, masz jego *anaję*, a za to, że on cię chroni, musisz czynić, co on rozkaże. Czy znasz ścieżkę, którą was wiodę?

Ten człowiek wygłosił zdanie, z którym nie mogłem się zgodzić. Ja miałem być współwinnym w nagrodę za *anaję* Hedżan–beja? Nie miałem na to ochoty. Ty masz jego *anaję* — powiedział. Czyżby to, „jego” znaczyło, że ten, który mi ją dał, sam był tym bejem? W takim razie niebaczenie pozwoliłem, żeby mi się wymknęła znakomita zdobycz. Teraz dopiero przyszła mi na myśl ta możliwość, gdyż podrzędnemu rozbójnikowi nie przysługiwałoby prawo rozdzielania *anaji*, brak by mu też było środków na to, żeby mógł darować tak cennego biszarina hedżin. Musiałem *khabira* wybadać.

— Znam ją. Ona nie prowadzi do Safileh, lecz do Bab–el–Ghud.

— Nie dojdziemy do Bab–el–Ghud, lecz rozłożymy się obozem w morzu piasku, skoro tylko słońce zapadnie. Potem zjawi się bej.

— Bej? Czyż on nie czeka w dalekim *duarze*, gdzie leżał pod panem z grubą głową?

— Czyż ci nie powiedział, że jest dwu Hedżan–bejów, sidi i że są braćmi? Oto tajemnica, dzięki której rozbójnik mógł z taką szybkością pojawiać się w różnych stronach! Miałem już jednego brata w mojej mocy, ale ten mi się wymknął. Drugiego musiałem dostać w swoje ręce.

— Nie mieliśmy czasu na wiele słów — odrzekłem. — Czy bej wie, gdzie spotka *kaffilę*?

— Czeka na nią już od kilku dni. Skoro tylko wszyscy zasną, przyjdzie, aby dowiedzieć się, ilu ludzi liczy *kaffila*. *Gum* jest silna, sidi, i nie spodziewa się oporu. Może jednak nadejść nieprzyjaciel, silniejszy od wszelkiego niebezpieczeństwa. Czy przeciwko temu użyczysz nam swojej ręki?

— Ręka moja należy zawsze do moich przyjaciół — odparłem dwuznacznie — Któż jest ten straszny nieprzyjaciel?

— To Behluwan–bej. Słyszałeś o nim, sidi?

— Kto to jest?

— Tego nikt nie wie. Jedź przez Serir, przez Bab–el–Ghud, krainę wydm, przez Sahel, a wszędzie zobaczysz kości naszych, których dosięgła jego kula. On znajduje się wszędzie, a jednak nikt go nie widzi. Jego dżemel ma osiem nóg i cztery skrzydła, jest rączy, jak błyskawica i nie zostawia śladów. Behluwan–bej nie potrzebuje jadła, ani napoju, a mimo to jest olbrzymem. To upiorny anioł Eblis, który nie chciał się poddać Adamowi, a teraz przebywa na ziemi, by mordować dusze wiernych.

Bawiło mnie to, że takimi własnościami wyposażyły zacnego Anglika zabobon i nieczyste sumienie Arabów, jednak nie starałem się zwalczać tych zapatrywań. Nazwa Behluwan–bej, „najwyższy z bohaterów”, dowodziła dostatecznie, jakie poważanie zdobył sobie Emery u mieszkańców pustyni.

— Czy sądzisz, że on się zjawi? — spytałem.

— Nie wiem. On zbliża się, skoro tylko dostanie kulę, ulaną w *dzehennie*. Zna każde zwierzę i każdego człowieka z *gum*, wszystkie nasze studnie i obozowiska. Tylko na *kasr* nie był, ponieważ pobożny murabut zabezpieczył go przeciw wszystkim złym duchom.

Była to dla mnie bardzo cenna wiadomość. *Anaja* działała silniej, niż się mogłem spodziewać. Ufając jej, dał się nierozważny *khabir* skłonić do wynurzeń, zbyt niebezpiecznych dla swego władcy.

Starożytni Rzymianie dotarli w głąb Sahary dalej, niż się przypuszcza, a kiedy wojownicze hordy kalifów pędziły przez cieśninę Sueską, rozlała się po pustyni prawdziwa wędrówka ludów. W starożytności więc i wiekach średnich wzniesiono tu i ówdzie niejedną budowlę, która potem opuszczona, została zasypiana przez piasek, albo rozpadła się w gruzy, które teraz mogą służyć za kryjówkę zgrajom rozbójników. Widziałem już kilka takich ruin, a w ich pobliżu znajdowały się zawsze studnie.

Jeśli banda posiadała taką kryjówkę, to nie należało jej chyba szukać w Bab-el-Ghud, lecz w Serirze. Można też było przypuścić, że pojmany Renald Latreaumont tylko tam będzie więziony.

— Będę u beja w *kasr* — rzekłem. — Ile czasu potrzebuje hedzin, by się tam dostać?

— Jeśli staniesz, *sidi*, na Bab-el-Hadžar, w Bramie Kamieni i pojedziesz w kierunku twojego cienia, kiedy o wschodzie słońca będzie dwa razy dłuższy od lufy strzelby, to nazajutrz wieczorem przybędziesz pod Dżebell Serir, dźwigającą mury naszego zamku.

Chciałem pytać dalej, lecz obecność jego stała się potrzebną przy karawanie, gdzie Hassan narobił wielkiego nieszczęścia. Wbrew mojemu rozkazowi, wygadał się, że karawana podążyła w złym kierunku, czym wywołał sprzeczkę a *szechem-el-dżemali*.

— Czy nie powiedziałeś, — bronił się dowódca poganiaczy wielbłądów — że należysz do Kubabisz? Ich *duary* są w Kordofanie. Jak możesz drogę do Safileh znać lepiej od Tuarega, który nią jeździł sto razy? Kubabisz znaczy: pasterz owiec. Oni pasą owce, rozmawiają z owcami, jadają owce i odziewają się nawet skórami i wełną owiec. Nic więc dziwnego, że sami stali się owcami, nie mającymi rozumnej duszy, lecz beczą głupstwa, jak owce. Wstydz się i zamknij gębę, Kubaszi!

Hassan otwierał już usta do siarczystej repliki, gdy zaszło coś, co zmusiło go do milczenia.

Oto za nami nadjechało w szybkim biegu czterech jeźdźców, którzy zatrzymali się na widok stojącej karawany, potem zaś zbliżyli się do niej. Wszyscy siedzieli na biszarinach a w jednym z nich poznałem Uelad Slimana, który mi darował wielbłąda, w drugim posłańca, którego uwięziliśmy w Algierze. Widocznie wydostawszy się w jakiś sposób na wolność, powrócił do *duaru* w górach Aures, a jeden z braci-opryszków puścił się zaraz ze swoimi w drogę, by donieść o tym, że poselstwo się nie powiodło. Może znali już cel mojej podróży, ale jeśli tak nawet nie było, to w każdym razie znajdowałem się teraz w niebezpieczeństwie. Skinąłem na Józefa i Tebu, żeby stanęli u mego boku.

— *Sallam aalejkum!* — pozdrowił głośno Uelad Sliman, nie zauważywszy mnie i Józefa, ponieważ stanęliśmy za innymi.

— Kto jest *khabirem* w tej *kaffili*?

— Ja — odpowiedział Tuareg z podstępny błyskiem oczu.

— Dokąd dążycie?

— Do Safileh.

— *Bismillah*, to dobrze. Ja także zmierzam do Safileh i pojedę z wami.

Człowiek ten obchodził się z karawaną jak ze swoją własnością. Wtem spostrzegł Wielkiego Hassana, który przewyższał wszystkich o głowę i podjechał ku niemu natychmiast.

— Ty byłeś z Frankiem, który zabił lwa?

— Tak!

— Gdzie jest twój pan?

— Tam! — odrzekł Kubaszi, wskazując na mnie.

Bej utkwiał wzrok we mnie, po czym zwrócił się do posłańca:

— Czy to był ten?

— Tak, on mnie powalił!

Na to on skierował wielbłąda ku mnie, a za nim jego trzej towarzysze. Także przewodnik i *szech-el-dżemali* zbliżyli się do nas. Miałem przeciwko sobie nie licząc karawany, sześciu dobrze uzbrojonych ludzi. Korndorfer pochwycił strzelbę, Tebu trzymał w garści swój giętki dzi ryt bambusowy, ja zaś wyciągnąłem pod szerokim burnusem lewą ręką rewolwer zza pasa, a w prawej zatrzymałem harap, aby wyglądało, że nie jestem przygotowany do natychmiastowej obrony.

— Znasz mnie? — spytał.

— Znam — odrzekłem spokojnie i zimno.

— Ty masz moją *anaję*?

- Tak!
- Oddaj ją!
- Masz!

Rzuciłem mu ten kawałek koralu, a on pochwycił go i schował.

— Ty ocaliłeś mnie od lwa, a ja darowałem ci najlepszego hedżina. Rachunek nasz wyrównany.

— Dobrze! Życie twoje nie warte więcej od życia wielbłąda. Słusznie tedy powiedziałeś: rachunek nasz wyrównany. Oko jego błysnęło.

- Czy znasz tego człowieka?
- Znam!

— Uderzyłeś go tak, że ducha utracił. To był posłaniec, a wyście go pojmali. Giaur, który uderzy wiernego, traci prawą rękę, powiada Koran. Poniesiesz więc karę!

— A kto przelewa krew ludzką, tego krew powinna być przelana, powiada Biblia, święta księga chrześcijan. Spotka cię zatem kara, Hedżan-beju!

Te słowa zrobiły takie wrażenie, jak gdyby piorun uderzył w członków karawany. Trudy i niedostatki osłabiły ich i zniechęciły, a głód i pragnienie skręcały wnętrzności. Byliby pewnie rozbójnikom nie stawili oporu, skoro samo to imię zważyło ich niemal z koni i wielbłądów.

Uelad Slimana także to zaskoczyło, ale ponieważ pewien był swego zwycięstwa, to nie wypierał się swego imienia.

— *Allah kerim*, Bóg jest łaskaw, a ja jestem Hedżan-bej. *Kaffila* zajdzie jutro cało do *Safileh*, jeśli mi wyda Franka ze sługami. Złóż z dżemela, giaurze, i ucałuj moje obuwie!

Wszyscy Arabowie odstąpili od nas: tak dalece lękano się tego człowieka.

— Ty jednak zabijesz *kaffilę* — odpowiedziałem spokojnie. — Ten *khabir* jest zdrajcą; on zaprowadzi ją do *Bab-el-Ghud*, gdzie *gum* dzisiaj w nocy na nią napadnie.

— Kłamiesz! — huknął.

— Człowiecze, strzeż się, byś jeszcze raz nie nazwał mnie, kłamcą, bo...

— *Agreb*, niedźwiadku, język twój jest trucizną — przerwał mi dwa razy tak głośno. — Ty kłamiesz!

Mój wielbłąd stał obok jego. Zaledwie wymówił ostatnie słowo, świsnął w powietrzu mój *harap* i trzasnął go po twarzy tak, że krew trysnęła mu z nosa, ust i policzka. Zbiegły posłaniec zmierzył do mnie w tej chwili ze strzelby, lecz ja uprzedziłem go i, podnosząc rewolwer do jego czoła, wypaliłem.

— Czy znasz ten strzał o migdał wyżej nad nasadą nosa, ty dusicielu karawan? Ty jesteś bratem Hedżan-beja, a ja jestem bratem *Buhluwan-beja*. Idź do *dzehenny* i donieś szejtanowi, że *gum* pójdzie za tobą!

Drugi mój strzał ugodził go w to samo miejsce na czole, trzeciego powaliła kula *Korndorfera*, a czwartemu *Tebu* przebił pierś włócznią.

Wszystko to było dziełem kilku sekund, dlatego *khabir* i *szech-el-dzemali* nie zdołali nawet zrobić użytku z broni. Następnie wymierzyłem z rewolweru także do nich.

— Oddajcie broń, bo przysięgam na brodę, proroka, że was pożre kula *Behluwan-beja*!

Na dany znak przystąpił do nich *Korndorfer* i rozbroił ich.

— Związać ich, by nie uciekli!

Uczylił to bez przeszkody. *Behluwan-bej* wywarł na nich tak samo piorunujące wrażenie, jak *Hedżan-bej* na członków karawany. Teraz mogłem rozpocząć przesłuchanie.

— Zsiądźcie ze zwierząt i posłuchajcie, jak Frank odbywa sąd nad rozbójnikami i zdrajcami pustyni!

Poszli za moim rozkazem i stanęli kręgiem dokoła mnie i pojmany. Aż dotychczas krył się *Hassan* za innymi, teraz jednak odzyskał odwagę. Wyciągnął długi pałasz, zabytek prawdopodobnie jeszcze z arsenału *Matuzalema*, stanął z możliwie najbardziej odstraszącą miną *cerbera* przed jeńcami i przemówił grzmiącym basem.

— Posłuchajcie słów moich i głosu mego, wy rozbójnicy, łotrzy, draby, potomkowie hołoty i ojcowie hołoty! Jestem kubaśi ze słynnego ferkah en Nurab, a imię moje brzmi: Hassan–Ben–Abulfeda–Ibn–Haukał al Wardi–Jussuf–Ibn–Abul–Foslan–Ben–Ishał al Duli. Dzieci walecznych zowią mnie Dżezzar–bejem, dusicielem ludzi, a ja zdławię was i zmiażdżę, jeśli zrobicie coś, co mi się nie spodoba. Allah oddał was w moje ręce, ja zaś powierzam was do osądzenia temu sidi z Germanistami, który zabił pana trzęsienia ziemi, panterę i żonę pantery. Utwórzcie usta i mówcie prawdę, bo was złość moja zmiażdży, a gniew mój zniszczy, albowiem jestem Hassan el Kebihr!

— Nie popełniliśmy nic złego — twierdził *khahir* — i nie pozwolimy, żeby niewierny nas sądził. Jeśli macie jakąś skargę, to postawcie nas przed *kadim*, jemu odpowiemy, wam nie!

— Już ty odpowiesz, — rozstrzygnąłem — mój bicz otworzy ci usta!

— Tobie nie wolno bić wiernego!

— Kto mi zabroni? Czy mój bicz nie dosięgnął dusiciela karawan?

— Ci ludzie tego nie ścierpią. To muzułmanie.

— Skoro to muzułmanie, to znają prawo, które powiada: „krew za krew”. Chciałeś ich zaprowadzić w objęcia śmierci, życie więc twoje do nich teraz należy.

— Prowadziłem ich dobrą drogą. Czyż Hedżan–bej nie powiedział, że jutro będziemy w Safileh?

— Czyż ty sam nie wyjawiałeś mi, że dzisiaj, skoro wszystko zaśnie, nadejdzie *gum*?

— Nic takiego nie powiedziałem! Jesteś niewiernym i chcesz nas zgubić.

— Nie kłam, *khahirze!* Śmierć wyciąga rękę po ciebie, a prorok mówi: „Jeśli nigdy nie mówisz prawdy, to powiedz ją przy śmierci, aby cię Allah zobaczył bez plamy!” Jesteśmy pod Bab–el–Ghud, a Safileh leży stąd ku północy. Słyszałeś, że jestem bratem Behluwan–beja, mocniejszego, aniżeli *gum*. On i ja mamy przy sobie ducha, który nas poucza o wszystkim, co będzie potrzebne. Przypatrz się mu! W tym małym domku jest jego mieszkanie, a ja go spytam, gdzie leży Safileh?

Wydobyłem kompas. Arab jest nadzwyczaj zabobonny. Przewidywałem więc, że ten nieznaną przyrząd wywrze większe wrażenie, niż wszelkie napomnienia i groźby.

— Czy widzisz, jak wskazuje na pomoc? Zobaczcie wszyscy! Choćbym jego mieszkaniem obracał na wszystkie strony, on zawsze wskazuje tę samą drogę.

Wszyscy przypatrzyli się kompasowi ze zdumieniem i pełną szacunku obawą, nawet długi Hassan, nie mógł ukryć swego zdziwienia.

— Sidi, ty jesteś wielkim czarodziejem! Nikt nie zdoła się tobie oprzeć! — zawołał.

— Czy u wiernego widziałeś już kiedyś tego ducha, *khahirze!* Jeśli nie będziesz posłuszny, to wyciągnę ci ducha z ciała i zamknę go jeszcze ciaśniej, niż tego tu, który niegdyś był także zdradzieckim *khabirem*, a teraz siedzi w niewoli po wszystkie wieki, by wędrowcowi pokazywał drogę.

— Pytaj, sidi, ja wyznam prawdę — przyrzekł ze strachu przed groźbą, z której Europejczyk wyśmiałyby się.

— Czy prawdą jest, że razem z *szechem–el–dżemali* należysz do ludzi Hedżan–beja?

— Tak.

— Czy *gum* miała dziś napaść na tę karawanę?

— Tak.

— Czy przy tym wszyscy ludzie mieli zginąć?

— Tak — rzekł z wahaniem.

— Ilu ludzi liczy *gum*?

— Nie wiem, sidi, czy wszyscy są razem. *Gum* ma wszędzie swoich ludzi.

Był to nowy przyczynek do rozwiązania zagadki wielkiej ruchliwości karawany zbójckiej. Hedżan–bej jeździł z miejsca na miejsce i zostawiał wszędzie ludzi, gotowych do rozboju, a że

było dwu braci, mogło się zdawać, że straszliwy rozbójnik jest ze swymi ludźmi wszędzie obecny.

— Czy znasz młodego Franka, którego bej trzyma w niewoli?

— Tak. On jest w *el kasr*.

— Ile wejść prowadzi do tego zamku?

— Jedno przez bramę, sidi, a drugie podziemnymi schodami wiedzie do szotu!

— Gdzie czeka *gum* na karawanę?

— Jeśli teraz pojedziesz ku wschodowi, to dostaniesz się tam, kiedy cień twój będzie dwa i pół razy większy od ciebie.

— Bej miał przyjść, aby z tobą pomówić przed napadem. Gdzie go masz spotkać?

— Zobaczysz nadchodzącą karawanę i będzie wiedział, gdzie się rozłoży obozem. Gdy wszystko zaśnie, da się słyszeć wołanie hieny. To będzie jego znak.

— Czy to pierwsza karawana, którą prowadzisz na zgubę?

Milczał.

— Jesteś wielkim grzesznikiem, *khabirze*, ale nie zginiesz, jeśli będziesz posłuszny i zaprowadzisz mnie do zamku.

— *Rhemallah*, niech Bóg broni! — zawołał Tebu. — Czy widziałeś sidi, moich synów, moje łyzy? Czy czułeś ból mego serca i słyszałeś przysięgi duszy mojej? Ślubowałem na osiem niebios Allaha i siedem piekieł szatana, na usta Ozaira i na głowę seydna Yaya, że zginie każdy, kto jest mordercą. Krew za krew, życie za życie! Czy oddasz mi tych ludzi, sidi?

— Ich życie nie należy do mnie, nie mogę więc go darować.

— W takim razie ja mam do nich prawo!

Zanim zdołałem temu przeszkodzić, wbił włócznię, w pierś *khabira*, a w następnej chwili przeciął gardło *szechowi-el-dżemali*.

— Dzięki Bogu, który sądzi sprawiedliwie na niebie i na ziemi — triumfował — Zemsta moja pożerać będzie morderców, dopóki *gum* nie zamieszka w piekle.

Nie mogłem się sprzeczać, chociaż obaj zabici bardzo by mi się przydali. Na karę, która ich tak szybko dosięgła, zasłużyli całkowicie.

— Czy nie wiesz, Abu billa Beni, że prorok mówi: „niechaj twój czyn będzie szybki, lecz myśl twoja przedtem powolna”. Ci zdrajcy byli nam potrzebni, by pochwycić *gum*. Teraz milczą ich usta, a noga ich nie zawiedzie nas do rozbójników.

Tymczasem wszystko, co zabici mieli na sobie, znalazło się w rękach Arabów. Uelad Sliman wiozł jeszcze z sobą dość znaczny zapas wody i żywności. Kazałem wszystko rozdzielić, wielbłądy poległych zabrałem jako zdobycz.

*Kaffilahowie* naradzali się, po czym jeden z nich przystąpił do mnie.

— Bądź nam przewodnikiem, sidi! Ty masz ducha, który zaprowadzi nas do Safilh.

— Czy chcecie być posłuszni temu duchowi?

— Tak. Powiedz jakie są jego rozkazy!

— Nie dojdziecie do Safileh, jeśli *gum* zostawicie za sobą; ona was doścignie i zniszczy. Jeśli jednak jesteście waleczni, to pozabijamy rozbójników, a pielgrzym będzie mógł potem spokojnie iść przez pustynię.

— Jesteśmy waleczni i nie znamy obawy, lecz *gum* ma więcej ludzi od nas i zwycięży nas łatwo.

Musiałem im dodać odwagi.

— Mój duch mi mówi, że nas nie pokona. Jestem bratem Behluwan-beja, który czeka na mnie w Bab-el-Ghud. On powali rozbójników, jak zeszlą pszenicę. Popatrzcie: te dwa rewolwery, o których nie słyszeliście jeszcze nigdy, pożerają z dwunastu metrów, ta rusznica wysyła dwu do szejtana, a ten sztucer Henry’ego, którego imię nie dotarło jeszcze nigdy do waszych uszu, pozbawia życia dwakroć po dziesięciu i pięciu bandytów. Jeśli mam być



waszym *khabirem*, to mówcie prędko, bo w przeciwnym razie sam z ludźmi moimi pójdę szukać *gum*, a was zostawię na pustyni.

— Będziemy ci posłuszni, *sidi*!

— Tak, będziemy ci posłuszni, *sidi* — potwierdził Wielki Hassan z zapalem. — Ty jesteś najmędrszym z mądrych i bohaterem nad bohaterami. Patrzcie, ludzie, ja jestem Dżezzar–bej, dusiciel ludzi. Ta szabla rozetnie brzuch dziesięciu rozbójnikom, a ta flinta, ta włócznia i te pistolety zniszczą wszystko. Wam zaś pozostanie tylko obowiązek wychwalania naszych czynów bohaterskich i opiewania naszego męstwa, a gdy wrócicie do swoich synów i córek, w namiotach waszych słyszeć będzie chwałę Hassana el Kebihr i wielkiego *sidi* z Germanistami, który zabija pana trzęsienia ziemi, i połknął czarną panterę razem z żoną pantery!

— *Maszallah*, ten ma pysk! — rzekł z gniewem Józef. — Gdy zaś przyjdzie co do czego, to Wielki Hassan zrobi się tak mały, że go widać nie będzie!

Słońce przebyło już trzecią ćwierć swego łuku i wzywało do wyruszenia. Trupy pozostawiono w dotychczasowym położeniu. Grabarze pustyni: piasek i sępy brodate uwalniały nas od obowiązku pochowania zwłok. Wiedziałem, że nie można się zdać na Arabów, lecz niebezpieczeństwo nie wydawało mi się większym od innych, które przebyłem szczęśliwie. Hedżan–bej nie był dla mnie straszniejszy od zwykłego Araba, a gdzie nie wystarczyłaby odwaga, mogłem się uciec do podstępny. Anaję schowałem znowu, bo mogła mi się jeszcze przydać.

## BEHLUWAN–BEJ, DUSICIEL ZBÓJÓW

Fatamorgana! Przez zionące żarem pustkowie wlecze się powoli karawana pielgrzymów. Jest już w drodze od szeregu miesięcy, a łączące się z nią ciągle dopływy powiększają ją pod względem liczebnym. Bogaci Arabowie Uelad z Belad es Sudan jadą obok zdanych na dobroczynność wiernych, idących pieszo biedaków, których całe mienie stanowi jeden talar, przeznaczony na zapłacenie przejazdu przez Morze Czerwone. Młodzieńcy, którzy wyszli zaledwie z lat chłopięcych, wędrują obok zwiędłych starców, którzy przed śmiercią pragną zobaczyć świętą Kaabę. Żółci Beduini, brązowi Tuaregowie, ciemni Tebu i kędzierzawi Tekrur, jak nazywają czarnych pielgrzymów, zdążających do Mekki, mruczą melancholijnie nabożne pieśni lub zachęcają się głośnymi okrzykami: „*La illaha U Allah u Mohammed rassul Allah*, nie ma Boga oprócz Allaha, a Mohammed jest jego prorokiem!”

Niebo gorzeje jak roztopiony brąz, a ziemia pali, jak płynne żelazo. Samun wysuszył wory na wodę, a do następnej oazy jeszcze daleko. Samotna studnia nic im nie pomoże, gdyż odrobina lichej wody wystarczy zaledwie na zwilżenie języków. Zwarta z początku karawana rozdzieliła się już dawno na poszczególne oddziały, posuwające się z mozołem za sobą. Chleba, mąki i suszonych migdałów jest pod dostatkiem, ale za łyk wody oddaliby spragnieni kilka miesięcy życia. Ten i ów chwytą po kilka razy próżne bukłaki, przykładają je do ust pożądliwie i odkładają ze słowami, pełnymi żalu.

Modlitwy cichną, okrzyki stają się rzadsze, a przyschły do podniebienia język leży w ustach ciężki jak ołów; potrafi jeszcze z biedą odmówić tylko *surę jecin*, trzydziesty szósty rozdział Koranu, zwany przez muzułmanów „Sercem Koranu” i wygłaszany w niebezpieczeństwie śmierci.

Wtem daje się słyszeć głośny okrzyk radości.

Nad gęsto przysłoniętym widnokregiem wynurzają się upragnione od dawna zarysy oazy. Na wysmukłych kolumnach rozchylają się wspaniałe korony palm daktylowych, powiewające na wietrze, który się zrywa od zachodu. Między zielonymi gajami połyskuje coś, jakby zmarszczki fal ożywczego jeziora, a powietrze wilgotnieje, zda się, od wodnych oparów. Korony palm odbijają się w błyskotliwej powierzchni wody, wielbłądy brodzą w nurtach, pochylając swe długie szyje, aby zaczerpnąć orzeźwiającej wilgoci.

— *Hamdulillah*, dzięki Bogu! Jest oaza! Pan nas ocalił. Chwała Mu i dzięki! Uradowani, chcą zwierzęta wprawić w szybszy ruch, lecz one zwieść się nie dają, gdyż ostre ich węch byłyby im już dawno to powiedział, gdyby w pobliżu znajdowała się prawdziwa woda.

— *Hauehn aatejhu ia Allah*, dopomóż im Boże! — prosi doświadczony przewodnik karawany. — Z pragnienia i z gorąca postradali rozum i uważają za rzeczywistość niebezpieczną złudę, fatamorganę.

Słowa jego wywołują podwójne przygnębienie u zawiedzionych. Coraz to wolniej posuwa się korowód, może ku okropnemu losowi zatracenia w pustyni, jak woda z wadi, pochłonięta przez żar słoneczny. Wówczas dzellaba wchodzi do Mekki, ale zbudowanej wysoko, ponad gwiazdami, a nie na piaskach Arabii.

Takie złudzenie zdarza się rzadziej, niż się przypuszcza. Ja oglądałem je dwa razy i za pierwszym razem dałem się wprowadzić w błąd. Dzisiaj miałem doświadczyć, że w pewnych okolicznościach może się ono nawet przydać człowiekowi.

Wedle wskazówki *khabira* zachowałem wschodni kierunek. Cienie nasze wydłużały się coraz bardziej, aż w końcu przerosły naszą długość podwójnie. Wtem nad widnokregiem ukazało się osobliwe zjawisko.

Promienie słoneczne drżały nad ziemią, jak wysokie na kilka stóp morze mikroskopijnych rozżarzonych iskier. Mimo, że wieczór był bliski, panował żar prawie nie do zniesienia, a znużona *kaffila* wyglądała, jak gdyby miała utonąć w piasku. Zbliżaliśmy się do terytorium

walk pomiędzy Gnud i Serir, wydm piaszkowych i skał, jadąc na buchających parą zwierzętach przez nagie kamienne i ogromne pokłady piasku. Wtem zaczęły powoli przed nami wyrastać z powietrza potężne góry, których zarysy rozpląwały się w drżącej atmosferze, a u ich stóp ujrzeliśmy blask wielkiego jeziora, do którego uchodziło kilka rzek. Brzegi jego były nagie i puste, bez śladu roślinności.

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów! — rzekł Józef — A to dziwna historia! Góry stanęły na głowie i patrzą szczytami w dół. Jeśli tak dalej pójdzie, to Wielki Hassan będzie chodził do góry nogami.

Wtem podniosła się w odwróconej postawie jedna olbrzymia figura, a potem druga. Mimo, że kontury rozpląwały się, rozpoznaliśmy wielbłąda, leżącego na ziemi i stojącego obok Araba. Przedmioty tego obrazu musiały się znajdować za ciągnącymi się przed nami wydmami. Arab nie mógł być niczym innym, jak tylko posterunkiem wysuniętym przez Hedżan–beja dla obserwowania zbliżającej się *kaffili*. Fatamorgana zdradziła przed nami *gum*, gdy tymczasem naszego obrazu nie mógł on widzieć ponieważ znajdowaliśmy się pomiędzy nim a słońcem.

Był to szczególnie, podobny do widma obraz odwróconego, unoszącego się w powietrzu, olbrzymiego wartownika karawany zbójckiej.

— Rree, stać! — rozkazałem. — *Gum* jest przed nami. Zsiadajcie i rozbijcie obóz!

Podczas tego zajęcia słońce zapadało coraz niżej, a zjawisko wznosiło się w tym samym stosunku nad widnokretem, powiększając swe kształty. Wyglądało to tak, jak gdybyśmy się znajdowali przed olbrzymią ciemną optyczną, której soczewka zyskiwała z każdą chwilą na grubości i zdolności powiększania.

Wtem za unoszącym się w powietrzu obrazem Araba ukazała się nowa postać, jakby wyrosła z ziemi. Podniosła ręce i zwróciła jakiś długi cienki przedmiot ku głowie stojącego na straży, potem zachwiało się na chwilę powietrze i Arab runął na ziemię.

— *Allah kerim*, Bóg jest łaskaw i litościw! — zawołał Hassan. — Chwała prorokowi, że ten obraz nie przedstawia mego ciała, gdyż tam zastrzelił jeden człowiek drugiego!

Miał rację. Gdyby oddalenie nie było zbyt wielkie, usłyszeliśmy strzał.

Kto mógł być zabójcą? Jego powiększona postać pochyliła się nad poległym, a potem skierowała ów długi przedmiot, który mógł być tylko strzelbą, ku głowie wielbłąda; odbicie znów się zachwiało, zwierzę zerwało się i padło.

Ogarnęło mnie dziwne przecucie.

— Patrzcie ludzie, widzicie go? — zawołałem! — To Behluwan–bej, dusiciel zbójców, wysłał strażnika z *gum* w krainę śmierci. Zostańcie tutaj! Dalej Abu billa Beni, dalej Józefie, chodźmy do niego!

W chwilę później siedzieliśmy na wielbłądach i pędziliśmy w stronę obrazu. Im dalej posuwaliśmy się naprzód, tym bardziej opadały jego linie. Figura tego, którego uważałem za Behluwan–beja zniknęła wkrótce. Z powodu grząskiego piasku i konieczności objeżdżania wydm jechaliśmy bardzo powoli. Wreszcie odbicie zniknęło, co świadczyło o tym, że znaleźliśmy się w zasięgu widzenia z tego miejsca, na którym czyn popełniono.

Szukaliśmy długo, zanim natrafiliśmy na to miejsce, potwierdzające moje przypuszczenie. Na piasku leżał Tuareg z czołem przestrzelonym o cal nad nasadą nosa. Na kołnierzu burnusa i w rogu derki widniały litery A. L. Powinienem pojechać śladami Anglika. Kilka jednak kroków przekonało mnie, że z wielką przebiegłością wyszukiwał sobie takie miejsca, gdzie ślady nie zostawały, albo gdzie wysoki piasek zaraz je zasypywał.

Trudno było go więc dopędzić, a wobec nadchodzącej nocy, mógłbym zgubić drogę do *kaffili*. Ponadto należało się spodziewać, że Anglik zostanie w pobliżu *gum*, ja zaś zetknąwszy się z nią, spotkam się także i z nim. Zważywszy to wszystko, nie pojechałem za nim.

Teraz jednak co innego wpadło mi do głowy. Zabity strażnik miał przy sobie tylko kilka łyków wody, co wskazywało albo na rychły jego powrót, albo na zmianę straży. Niewątpliwie jeszcze inne posterunki znajdowały się w pobliżu. Czyż więc mogłem odejść stąd bez dalszych

środków ostrożności? Co należało zrobić? Czy zasypać zwierzę i człowieka piaskiem? Czy zostać? W tym ostatnim przypadku mogłem mieć szczęśliwy połów, lecz zarazem narazić się na niebezpieczeństwo, którego niepodobna było uniknąć.

Piasek był lotny, w kilka więc minut wydma pokryła Tuarega i wielbłąda. Następnie zacierając ile możności ślady za sobą, udaliśmy się do *kaffili*. Przyjęto nas pytaniami, czy widzieliśmy Behluwan–beja.

— Wielbłądzica dusiciela zbójców jest rącza jak ptak w powietrzu — odpowiedziałem. — Już zniknął. Ale ja znam myśli mojego brata. On nie ustąpi od *gum*, dopóki jej nie wymorduje. Wkrótce ujrzycie jego oblicze.

Słońce zapadło, a ziemia dyszała zdwojonym żarem. Przywiązawszy wielbłądy do kołków, zjedliśmy skromną wieczerzę. Sen, który mógł nam dodać sił, umykał z powiek. Wreszcie nadeszła północ. Emery popsuł swym strzałem moje plany. Gdyby Tuareg spostrzegł naszą karawanę i doniósł o tym, byłby Hedżan–bej już dawno się do nas zbliżył. Czy powinienem w tej sytuacji poszukać rozbójnika, a *kaffilę* zostawić samą?

Wydałem Jezefowi i Tebu, odpowiednie rozkazy, a sam wyszedłem w cichą noc na pustynię.

Od gwiazd było tak jasno, że mogłem dokładnie rozeznaczyć się w otoczeniu i pomimo podobieństwa wydm dostać się na miejsce, gdzie Emery zabił Tuarega. Teraz musiałem podwoić ostrożność. Położyłem się indiańskim sposobem na ziemi i zacząłem się czołgać bez szmeru.

W tym samym miejscu, gdzie czuwał zabity, stali nieruchomo dwaj ludzie nad słuchując. Przysunąłem się do nich i podniosłem w górę. Oni zlekli się i odskoczyli, chwytając za broń.

— Stój! Kim jesteś? — zapytał jeden, mierzając do mnie ze strzelby.

— Gdzie Hedżan–bej? — odpowiedziałem im na to.

— Czy znasz go? Należysz do jego ludzi? Wydobyłem *anaję*.

— Przypatrz się jego znakowi! Gdzie on? Obaj pochwycili *anaję*, by się jej przyjrzeć.

— Masz *murdżan* i jesteś nasz — rozstrzygnął ten, który pierwszy przemówił. — Czy znasz *kaffilę*, na którą czekamy?

— Znam, bo z nią przyszedłem.

— Gdzie *khabir*! Dlaczego nie przybywa? Czemu nie zatrzymał się na miejscu, wskazanym przez Hedżan–beja?

— Twój oddech długi, a pytań wiele? Zaprowadź mnie do beja, to usłyszysz moją odpowiedź!

— Noga twoja nie śmie przystąpić do *gum*, dopóki on nie pozwoli. Zawołam go i powiem mu twoje imię.

— Allah i mnie także dał usta; bej usłyszysz moje imię z moich ust.

— Usta twoje są jako studnia bez wody, a język twój nie lubi kropel mowy. Ale ona popłynie, ponieważ idę po beja.

Odszedł. Dokoła panowała taka cisza, że słyhać było dźwięk piasku, wędrującego z lekkim tchnieniem nocnego wiatru. Wtem doszedł do uszu moich odgłos, który mnie zmusił do nad słuchiwania.

Gdzieś padł strzał, daleko wprawdzie, lecz z odgłosem tak wyraźnym, że nie mogłem się mylić. Zabrział ze strony przeciwległej do *kaffili*. Wartownik zerwał się i przyjął wyczekującą postawę.

— Czy słyszałeś głos śmierci w pustyni? — zapytałem.

— Noc milczy dla oka, ale mówi do ucha. Słyszałem głos ten.

— Czy znasz go?

— Czyż nie znasz Behluwan–beja, dusiciela naszej *gum*. To przemówiła jego strzelba.

— Jak mam ją znać, skoro przybywam z daleka?

— To proś Allaha, żeby cię chronił przed nim, bo dusza twoja stanie się łupem śmierci, a ciało twoje pokarmem zwierząt. Wilk pustynny i sęp brodaty wypiją krew twą i wyjedzą ci

oczy, hiena skosztuje twojego mięsa, a lis połknie twe serce. Behluwan–bej jest ojcem stracenia, a śladem jego chodzi śmierć.

— Ja się go nie boję. Jeśli śmierć chodzi jego śladem, to i jego także doścignie.

— Behluwan–bej nie umrze; ciało jego nie jest z mięsa i nie zabije go kula, ni włócznia. Stoi przy tobie, a ty go nie widzisz, jedzie u twego boku, a ty go nie słyszysz. Przychodzi, kiedy o nim nie myślisz, i znika, zanim sobie przypominasz, że należało go zatrzymać. To nie jest człowiek, lecz największy z džinnów, któremu nie oprze się nikt ze śmiertelników, a rusznicę jego sporządził szejtan, który mieszka w piekle. Wysyła ona kule po całej Saharze i osiągnie cię, choćbyś się schował pod ziemię. Czy pustynia nie pokazała ci jeszcze ani jednego zabitego z raną nad nosem, w samym środku czoła?

— Widziałem kilku.

— Oni polegli z jego ręki. On wszechwiedzący, zna wszystkich z *gum* i nie zabija nikogo innego.

Gdyby ten strażnik wiedział, że ta wszechwiedza opiera się na nieszczęsnym znaku A. L., jego wyobrażenie o zacnym Emerym zmieniłoby się niechybnie.

— Co złego wyrządziła mu *gum*?

— Ja nie wiem i nikt ci tego nie powie. Sam go zapytaj!

— Uczynię to, skoro go tylko spotkam.

— Zakaż słów tych swojemu językowi! Czy nie wiesz, że duchy przychodzą, gdy sieje zawoła? Słuchaj! On się zbliża. Czy słyszałeś?

Drugi strzał padł bliżej. Teraz byłem już pewien, że strzelcem jest Emery Bothwell. Wprawne ucho zdoła całkiem dobrze odróżnić huk strzelby, ja zaś zbyt często słyszałem głos tej niezawodnej rusznicy, by go od razu nie rozpoznać. Było to jasne, że Anglik ze zwykłym, chłodnym zuchwalstwem krążył dokoła *gum*, szukając celu dla swojej strzelby. Jeśliby zachował dotychczasowy kierunek, musiał także przejść obok miejsca, na którym staliśmy teraz.

W tym wypadku trzeba było i mnie dobrze mieć się przed nim na baczności, podobnie jak Arabowi, gdyż łatwo mógł mnie wziąć za jego towarzysza.

Nagle usłyszeliśmy kroki i dwa białe burnusy wynurzyły się spomiędzy wydm. Strażnik wracał z jeszcze jednym Arabem, który natychmiast do mnie przystąpił, przypatrując mi się badawczo, o ile ciemność na to pozwoliła.

— *Sallam leilet*; szczęśliwej nocy — pozdrowił. — Chcesz widzieć się z Hedżan–bejem?

— Tak. Czy ty nim jesteś?

— ‘Nie. Bej nie opuści teraz *gum*, dopóki nie odejdzie dusiciel, który krąży dokoła.

Wódz rozbójników bał się zatem Behluwan–beja i pod pozorem obrony swoich ludzi został pod ich osłoną. Dobrze byłoby spotkać się z nim teraz, ale ponieważ w pobliżu znajdował się Bothwell, przeto wolałem najpierw z nim się połączyć.

— Mam pomówić tylko z nim, a nie z tobą. Czemu on się kryje? Czy strach przed dusicielem skrępował mu nogi?

— Skrępuj swój język! Hedżan–bej nie zna strachu, ani obawy; on ma władzę nad wszystkimi ludźmi pustyni, a ja jestem *mudirem* tej *gum*. Pokaż *anaję*!

— Masz ją! — krzyknąłem prawie, cofnąwszy się i wymierzyłem do niego ze strzelby. — Skoro jesteś *mudirem* tej *gum*, to idź pierwszy do piekła!

Chciałem wypalić, lecz ci trzej ludzie stali przede mną tacy osłupiali i bezbronni, że opuściłem strzelbę.

— Czyś zmysły postradał, człowiecze? — spytał dowódca tonem najwyższego zdumienia. — Masz *anaję* i grozisz mi śmiercią? Czy moja kula ma ci serce rozszarpać?

— Czy moja nie ugodziłaby ciebie pierwej, rozbójniku? Wiedz o tym, że zanim strzelbę podniesiesz, będziecie wszyscy trzej dziećmi śmierci! Bej boi się dusiciela, a ty dowiedz się, że ja jestem bratem Behluwan–beja, który zniszczy *gum* do ostatniego człowieka.

Wytrzeszczył na mnie oczy, jakby istotnie uważał mnie za obłąkanego.

— *Allah akbar*, może on dać rozum i odebrać go, jak mu się podoba. Ale prorok każe oszczędzać wariata. Chodź za nami!

— Drogi nasze są różne; moja prowadzi do zamku, wasza natomiast do śmierci.

— Duch twój ciemny jak noc, w której nie świecą gwiazdy. Czego szukasz w zamku?

— Duch mój jasny jak dzień, w którym wszystko widać. Nie jestem muzułmaninem, lecz chrześcijaninem i udaję się do zamku, aby uwolnić Franka, którego trzymacie tam w niewoli.

— Jesteś gjaur i masz *anaję*. Giń, zdrajco!

Podniósł strzelbę, lecz w tej chwili huknęła moja rusznica, a on padł na ziemię. Następny strzał ugodził jednego strażnika, a drugiego położyłem trupem kulą z rewolweru, zanim obydwaj zdążyli użyć broni.

Ledwie przebrzmiały moje strzały, doszedł mnie z niedaleka donośny głos:

— *Hallo–I–oh!*

Był to sygnał myśliwski, który zamienialiśmy zwykle z Emerym, ilekroć szliśmy rozdzieleni lasem lub prerią. Jak ja poznałem jego strzelbę, tak on poznał moją, a następujący po niej wystrzał z rewolweru upewnił go, że się nie myli.

— *Hallo–i–oh!* — odpowiedziałem, nie troszcząc się o Hedżan–beja i jego *gum*.

Idąc ku sobie, powtórzyliśmy jeszcze ten okrzyk, a po chwili dwaj ludzie, którzy w Stanach Zjednoczonych dali sobie słowo, że zobaczą się w Afryce, stali przed sobą w samym środku Sahary.

Anglik wziął mnie za ramiona, spojrzał mi w twarz i przycisnął do siebie w długim, mocnym uścisku.

— *Welcome in the Sahar!* — pozdrowił mnie w końcu.

— Nabić! — rzekł krótko swoim zwyczajem.

Z radości istotnie zapomniałem o tym, co nigdy mi się nie zdarzyło. Naprawiłem oczywiście to zaniedbanie natychmiast.

— Trzy strzały i trzech zbójów? — zapytał.

— Tak.

— Ja tylko dwóch. Gdzie stoisz?

— *Z kaffilą* o dziesięć strzałów stąd.

— Ilu ludzi?

— Siedemnastu bez mnie.

— Tchórzliwi Arabowie?

— Tak i dwaj służący, którym można zaufać, Tebu i Niemiec.

— *Khabir* należy do Hedżan–beja?

— Tak. On i szech el dżemali nie żyją.

— Za twoją sprawą?

— Za moją. Czy wiesz gdzie Renald?

— Nie.

— Czemu umówiłeś się ze mną do Bab–el–Ghud?

— Bo w pobliżu muszą gdzieś zbóje mieć swoje składy. Każda *gum* tam powraca.

— Ja znam kryjówkę; to zamek i tam zastaniemy Renalda.

Pomimo, że zawsze zachowywał zimną krew, wydał teraz Anglik okrzyk zdziwienia.

— Ty wiesz o tym, a ja nie, choć dopiero przybywasz, ja zaś długo już tu krążę?

— Wydobyłem to z *khabira*, który mi ufał, ponieważ mam *anaję* beja.

— Masz jego znak? Kto ci go dał?

— On sam. Zabiłem lwa, pod którym leżał.

— Ty lwa zabiłeś? Człowiecze, masz ogromne szczęście!

Krew wzburzyła się w poczciwym Angliku.

— Lwa i parę czarnych panter. Zobaczysz skóry.

— *Pshaw!* One przecież nie moje! A beja spotkałeś przy lwie? Gdzie?

— W górach Aures.

— To nie może być. On teraz w Ghud!

— Jest ich dwu braci.

— Ach! — zawołał zdumiony. — A gdzie teraz drugi?

— Nie żyje.

Opowiedziałem mu krótko przebieg dotychczasowych wydarzeń.

— Masz istotnie nieludzkie szczęście! — zawołał, kiedy skończyłem. — Naprzód, muszę znaleźć trzeciego, a co dalej, zobaczymy!

— Ilu ludzi ma *gum*?

— Dziś rano było czterdziestu trzech, teraz pięciu sprzątnięto, zostaje trzydziestu ośmiu.

— Gdzie twoi towarzysze?

— Całkiem blisko. Okrążę *gum*, a potem przyłączę się do nich. Każdy strażnik, którego spotkam, zginie.

— Czemu tylko strażnicy? Jeśli zechcesz, to możemy dostać dziś całą bandę.

— *Well*, w takim razie zechcę!

— Chodź!

Poszedłem niedaleko i stanąłem. Jeśli straż była w pobliżu, to na umówiony znak powinna była odpowiedzieć. Przyłożywszy więc ręce do ust, udałem głos hieny.

Nie pomyliłem się, gdyż nieopodal zabrzmiał ten sam głos.

— Zostań tu! — poleciłem Emery'emu i postąpiłem dalej. Naprzeciw mnie zjawił się Arab.

— Gdzie Hedżan-bej? — zapytałem.

— Czy jesteś *khabirem*? — odparł.

— Tak — potwierdziłem.

— Strzeż się Behluwan-beja! Czy nie słyszałeś jego strzałów?

— Słyszałem, widziałem jego samego; zamordował trzech ludzi z *gum*, przy których stałem.

Powiedz bejowi, że muszę z nim pomówić.

— Czemu zatrzymałeś *kaffilę* w niewłaściwym miejscu? — zaczął badanie.

— Czy mogę ją prowadzić tam, gdzie jest Behluwan-bej?

— Masz słuszność. Zaczekaj tutaj!

Odszedł, lecz wkrótce wrócił, czego się zresztą spodziewałem.

— Pokaż mi drogę do *kaffili*! Dusiciel więcej nie przyjdzie *gum*.

Na to wskazałem ręką kierunek, mówiąc:

— Stoimy tam, dwadzieścia razy tak daleko, jak doniesie twoja strzelba.

— Ilu ludzi jedzie z *kaffilą*?

— Siedemnastu, spragnionych i zmęczonych.

— Mówiłeś z *mudirem*?

— Tak. Kula dusiciela zabiła jego i tamtych dwu u mego boku.

— Dziękuj Allahowi i chwal go za to, że umknąłeś. Wracaj i czuwaj, żebyś słyszał, gdy nadejdziemy!

Ten strażnik był zapewne nowym członkiem bandy, skoro nie znał *khabira*. Wróciłem do Emeryego i poszedłem z nim między wydmy, gdzie stała jego wielbłądzica pod strażą służącego i przewodnika. Stamtąd zaprowadziłem ich do *kaffili*. Towarzysze moi słyszeli strzały i zaniepokoiли się o mnie.

— *Hamdullillah*, dzięki Bogu, sidi, że się zjawiasz! — rzekł wielki Hassan. — Słyszałem pięć wystrzałów i sądziłem, że Hedżan-bej zabił cię pięciokrotnie.

— Sidi Emir, Behluwan-bej! — zawołał Tebu, zobaczywszy Anglika. Na ten okrzyk wszyscy członkowie karawany spojrzeli z pełnym szacunku niepokojem na wysoką postać.

— Tak, ludzie, ten sidi, to Behluwan-bej, którego kule pożarły prawie całą *gum*. Ona nadejdzie, by na nas napaść, przygotujcie się więc na jej przyjęcie! — rozkazałem.

Wiadomość ta wywołała niemałe poruszenie. Arabowie uzbrojeni od stóp do głów zachowywali się, jak owce obawiające się wilka. Lecz znane a zabawne pośrednictwo kompasu dodało im cokolwiek odwagi. Nikt się tak bardzo na nich z tego powodu nie oburzył jak Hassan.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki! — huknął na nich. — On dodaje serca odważnym, a bohaterom siły. Wy zaś jesteście jako pchły, uciekające przed ruchem palca. Czyż nie powiedziałem wam, że nazywam się Hassan-el-Kebihir, a jestem Dżezzar-bejem? Dlaczego się trwożycie? Bójcie się mnie, a nie zbójów, których mięso zjem, a krew wypiję.

— Stul gębę! — upomniał go Korndorfer. — *Gum* cię pożre, nie pozostawiając z ciebie nic prócz wielkiej gęby, której nie przelknęłoby dziesięć tysięcy mężów. Zobaczę, gdzie będziesz siedział, gdy zaczniesz się strzelanina.

— Milcz! — wybuchnął zelżony. — Jam jest Kubaszi en Nurab, a ty tylko Jussef Koh-er-darb, zaś ojciec twój nazywał się tak samo jak ty. Czy wiesz, co to jest pielgrzym, który był w Mekce? Byłem dwa razy w Mekce, mieście proroka, a raz w Medynie, chwałą okrytej. Modliłem się w Dżiddzie, gdzie pochowana Ewa matka rodu ludzkiego, długa na pięćset stóp, a na dwadzieścia szeroka. A ty co uczyniłeś? Jesteś Frankiem, który jada świńskie mięso i musi udawać się do kraju wiernych, jeśli chce zobaczyć ziemię proroka. Powinieneś być raczej zostać w Koh-el-brun, a teraz zamknij usta i zamilknij!

— *Maszallah*, do tysiąca diabłów, a to zły, że nie może jeść wędliny. Za to pije *ma-el-cat*, czyli sok żabi i jaszczurczy, a rozpycha się jak hipopotam. W Mekce i Medynie nie byłem, to prawda, ale skoro ci się zdaje, że przez to jesteś lepszy ode mnie, to tak ci dam po gębie, że zrobi się trzy razy dłuższa i szersza od twojej pięćsetkrotnej matki rodu ludzkiego w Dżiddzie! Mężny Kubaszi wołał się teraz nie odzywać.

Po krótkiej wymianie zdań postanowiliśmy z Emerym wziąć zbójów w dwa ognie. W tym celu rozdzieliliśmy się. On, aby obecnością swą utrzymać ducha w członkach karawany, został przy niej, ja zaś z jego towarzyszami, z Tebu i Józefem, a więc w pięciu, wyszedłem pomiędzy wydmy, by tam zaczekać na *gum* i uderzyć na nią z tyłu.

Strzały nasze widocznie wystraszyły Hedżan-bej a, gdyż upłynęło sporo czasu, zanim usłyszeliśmy odgłosy zbliżających się zbójców.

Dwu z nich szło przodem na zwiady, a reszta w pewnym oddaleniu za nimi. Przemknęli obok, nie spostrzegłszy nas. Obaj przewodnicy wyprawy obeszlą obóz dokoła. Panował tam taki spokój, że zdawało się, jakoby wszystko zasnęło. Rozbójnicy zeszli się, by wysłuchać rozkazów wodza. Ściśnięta grupa ludzi przedstawiała nawet dla lichego strzelca pewny cel. Gdybyśmy ich puścili do obozu, byłoby zwycięstwo, o którym nie wątpiłem, połączone z większymi dla nas stratami. Emery musiał być tego samego zdania, gdyż zaledwie zdałem sobie sprawę z tej myśli, zabrzmiał między namiotami rozkazujący głos:

— Rrree, stać, mordercy! Zemsta Behluwan-beja wisi nad wami. Ognia! W następnej chwili huknęła skierowana na rozbójników z obu stron salwa. Trzy dwururki wysłały już po dwie kule, pochwyliłem więc za sztucer. Zaledwie jednak drugi raz wypaliłem, miejsce było oczyszczone. Emery, Tebu i Korndorfer rzucili się na zaskoczonych napastników, lecz nie mieli już nic do roboty, gdyż skoro tylko przemiął pierwszy strach, a Hedżan-bej zobaczył liczbę tych, którzy leżeli na ziemi ranni lub nieżywi zawołał:

— *Allah inha!*, niech Bóg ich zniszczy! Uciekajcie, uciekajcie stąd!

Rozbójnik pustynny napada na wędrowca dla łupu, a jeśli grożące mu przy tym niebezpieczeństwo jest większe niż wartość zdobyczy, porzuca swój zamiar. Brak mu tej odwagi, która działa sama z siebie, a nie dla zysku. Wobec nadzwyczajnego strachu, jakiego powszechnie *gum* napędzała, nie natrafiła ona jeszcze nigdy na prawdziwy opór, teraz więc wystarczyła minuta do jej rozproszenia. Straszni podwładni Hedżan-beja zniknęli między wydmami nie uszkodziwszy ani włoska na naszych głowach.

My nie myśleliśmy o pościgu, ponieważ byliśmy pewni, że niedobitki *gum* jeszcze spotkamy.



Karawana podniosła teraz naprawdę ogłuszający okrzyk, a Tebu w swojej milczącej zawziętości rzucił się na rannych, by na nich wyrzucić zemstę.

— Do tysiąca diabłów, a to była potyczka! — zrzędził Korndorfer. — Oni mają być zbójcami? Na zdrowie! To nicponie, którym należałoby podeszwy oćwiczyć! Człowiek cieszył się nadzieją porządnej bijatyki, a teraz stoi, oblizuje się jak kot, któremu ptaszek się wymknął. Ale, gdy spotkam *gum* raz jeszcze, nie wezmę strzelby, lecz będę od razu walił pięściami!

Wtem odchyliła się zasłona mego namiotu i wysunęła się stamtąd głowa, rozglądając się ostrożnie dokoła i badając jak rzeczy stoją. Potem ukazał się za nią długi korpus, który szybkim skokiem wpadł pomiędzy Arabów, wykrzykując z radości. Był to Hassan, który ukrył się przed nieprzyjaciółmi.

— *Hamdulillah*, dzięki Bogu, który nam dał moc przeciwko nieprzyjaciółom! — ryczał głośniejsz od wszystkich. — Przyjęliśmy ich, jak bohaterowie; oni zaś drapnęli jak tchórze. Przeraziły ich nasze oczy, a nogi ich uciekły przed naszym męstwem. Zobaczyli Hassana el Kebihr i przelękli się i zdjęło ich przerażenie, spostrzegli Dżezzar-beja i zawyli ze strachu. Jego kula weszła im w serce, a nóż jego poprzecinał ich gardła. Teraz leżą martwi na ziemi. Część i chwała Allahowi, dzięki i sława niechaj zabrzmi dla Hassana el Kubaszi z *ferkah en Nurab*!

— Czy będziesz cicho, ty tchórze! — odparł rozzłoszczony Józef. — — Kto dotąd siedział w namiocie? Widziałem dobrze jak tam wlałeś, ty beju strachu, ty dusicielu *ma-el-cat*!

— Co to za żaba skrzeczy? — spytał dumnie Kubaszi — Czy to Frank, który to uważa za prawdę, co mówi *el kitab el mukaddas*? Ja jestem muzułmanin, który modli się wedle Koranu. Czyż nie wiesz, że Adama Allah w piątek stworzył? Kobieta natomiast została powołana na świat w sobotę, który to dzień jest także dniem twoich narodzin, ty babo, ty synu baby i stryju babskiej córki. Czy słyszałeś już kiedy, żeby Kubabisz się kryli? Czy ja nie zabiłem dziesięciu zbójców, kiedy, ty giaurze, kryłeś się za moimi plecami?

Tego było już za wiele poczciwemu Józefowi. Rzucił się ku Hassanowi, by go za kłamstwo ukarać, Arab jednak odskoczył i pomknął za najbliższy namiot, dokąd podążył za nim rozgniewany „syn babskiej córki”. Widocznie pochwyił tam wielkiego Hassana, gdyż dały się słyszeć znane dobrze odgłosy, jakie silna dłoń wywołuje przez zetknięcie się z ludzkim policzkiem. Powrócił zadowolony, a Hassan wyszedł dopiero po pewnym czasie i skrobiąc się w brodę, przystąpił do mnie.

— Sidi, ty jesteś mądry i sprawiedliwy. Na co zasłużył niewierny, który zbił wiernego?

— Na tyle uderzeń, ile sam dał. Idź i oddaj mu!

— Każ mu więc stać cicho!

— A ty stałeś?

— Nie, broniłem się mężnie jak przystoi Arabowi.

— To i on może się bronić jak przystoi Frankowi.

— W takim razie poleć, żeby go bił ktoś inny! Ja tego nie uczynię, ponieważ nie jestem katem.

— Czy *dżezzar* nie znaczy: kat, a ty sam przecież nazywasz się Dżezzar-bejem, najwyższym z katów. Idź i obij go! Ja nie zmienię mego wyroku!

— Jesteś surowym sędzią, sidi, lecz ja jestem łaskawy i miłosierny i daruję mu karę, gdyż ręka moja spadłaby nań tak ciężko, że zmiażdżyłaby go doszczętnie! — to rzekłszy, odszedł.

Nie mogąc przez resztę nocy nic przedsięwziąć przeciw rozbójnikom, rozstawiliśmy strażę i udaliśmy się na spoczynek. Z Emerym, opowiedzieliśmy sobie, co przeżyliśmy od czasu rozstania się i ułożyliśmy plan postępowania na następną dzień.

Chciał natychmiast puścić się w pogoń za bandą, ja zaś radziłem, żeby podążyć do Bab-el-Ghud, a stamtąd do zamku, gdzie niewątpliwie się udali. Emery zgodził się, ponieważ jemu tak samo jak mnie zależało na tym, żeby Renaldowi przyjść jak najrychlej z pomocą.

Członków karawany, którzy natychmiast ograbili zabitych zbójców, opanowała dzięki zwycięstwu odwaga, toteż gotowi byli pójść z nami.

Czas do rana minął spokojnie, potem zaś ruszyliśmy w drogę.

Zdarza się nieraz, że wielbłąd stanie w miejscu i nie można go stamtąd ruszyć. Gdy wówczas jeździec zsiądzie, aby rzecz zbadać, znajdzie zawsze wilgotny piasek, tym wilgotniejszy, im dalej kopie, dopóki w głębi kilku stóp nie natrafi na wodę. Dziki Tuareg zataja takie studnie skrupulatnie. Nakrywa wodę skórą, zasypuje potem troskliwie piaskiem, wskutek czego miejsca takiego nie podobna odróżnić od otoczenia. Takie tajemne źródło umożliwia mu utrzymanie się w ukryciu przez dowolny czas wyprawy, z której zawsze do niego powraca.

My znaleźliśmy taką studnię. Zwierzęta orzeźwiły się, a ponieważ na zdobyte poprzedniego dnia wielbłądy przełożyliśmy część ciężarów, przeto jechaliśmy teraz o wiele szybciej i dostaliśmy się do Bab-el-Ghud wkrótce po nastaniu nocy.

Już od pewnego czasu wydmy zagęszczały się coraz bardziej, a wielbłądy musiały niemal do kolan brodzić w gorącym piasku, tu zaś pod Bab-el-Ghud natrafiliśmy na chaos skał i piasku. Od zachodu jego wysokie fale uderzały o skały Seriru. Tylko dzień mógł nam ukazać szczegóły tej walki piasku ze skałami. W tej dzicz, Tebu odkrył studnię i zaprowadził nas do niej, tam też rozbiliśmy namioty.

Nazajutrz udaliśmy się do Ba-el-Hadzar, czyli najokropniejszej części Bab-el-Ghud, która słusznie nosiła nazwę: „Wrót kamiennych”.

Czy to tytani czasów przedhistorycznych spiętrzyli tu, w tej części pustyni, skały, by stąd szturmować niebo? Może giganci zbudowali tu zamek, ze szczytami wśród gwiazd, gdzie się teraz zatrzymaliśmy, jak karły pod łukiem olbrzymiego tumu? Dwa słupy wysokości kilkuset stóp, ustawione z kilku głazów, wznosiły się ku niebu i nachylały w górze ku sobie, tworząc ostry łuk, jakiego ręka ludzka wznieść by nie zdołała. Poszczególne kamienie ponadgryzał w wielu miejscach żąb czasu, zdawało się, że jeden nie utrzyma drugiego, a mimo to całość zapewniała, że zachowa swą siłę jeszcze przez niejedno stulecie.

To była Bab-el-Hadzar, przez którą wedle wskazówki *khabira* musieliśmy się udać w drogę do zamku.

Jechaliśmy ostro na wschód. Pustynia piaszczysta kończyła się powoli, ustępując miejsca kamiennej równinie, którą Arab z powodu rozsianych na niej głazów nazywa *warr*. Tu nie powstrzymywała nas już głębia piasku, dlatego jechaliśmy szybciej, niż dnia poprzedniego. Teren podnosił się i wieczorem ujrzeliśmy przed sobą wynurzające się pasmo górskie, którego masy zbudowane z wapienia błyszczały ku nam w świetle zachodzącego słońca.

— To musi być Dżebel-Serir, o których mówił *khabir* — powiedziałem.

— *Well!* — potwierdził Emery. — Czas się zgadza.

Nie przerywając jazdy, zbliżyliśmy się do gór. Wydobyliśmy rewolwery.

— *El kasr* — rzekł Bothwel po chwili, wskazując ręką na środek pasma, rozciągającego się przed nami w kształcie podkowy.

Ja także rozpoznałem wznoszące się tam wysoko mury. Były to bezokienne ruiny budynku, podobnego do zamczyska, zbudowanego bardzo dawno, jakby na dowód, że niektóre części pustyni nie były ongiś tak bezludne jak dzisiaj.

— Czy mogę prosić o lunetę? — zapytał Józef, widząc, że ja prawie nie odrywam jej od oczu.

Gdy mu podałem, odezwał się pokornie Hassan:

— Sidi, ja także chciałbym zobaczyć, co jest tam, w środku?

Spełniłem z uśmiechem to życzenie i podtrzymałem mu lunetę przed okiem w odpowiednim kierunku.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki, sidi, lecz ty, jesteś największym z mędrców na ziemi, gdyż w twojej rurze siedzi *ksur*, forteca tak wielka, że może w niej stanąć tysiąc ludzi!

Luneta poszła z rąk do rąk. Jeden okrzyk zdumienia następował po drugim.

— *Z el kasr* zobaczą nas — zauważył Emery.

— Teraz nas jeszcze nie rozpoznają. Musimy zmienić kierunek.

— Jak? Wejście jest z pewnością po tej stronie.

— *Khabir* mówił o podziemnych schodach, prowadzących do szotu. Tymczasem ja stąd nie widzę ani szotu, ani w ogóle wody, musi się ona zatem znajdować po przeciwnej stronie góry.

— Słusznie. Objedźmy wzgórze!

Zwróciliśmy się na prawo. Dnia pozostawało już niewiele, a przed nocą należało koniecznie dość do celu. Wielbłądy, ze zdwojoną szybkością poniosły nas dokoła wzgórza, które się porozpadało w wielu miejscach. Dojechawszy do środka, spostrzegliśmy parów, którym mieliśmy pójść dalej. Skręciliśmy weń i dostaliśmy się do skalistej kotliny w samym środku gór. Większą część jej dna zajmował słony staw, zapewniający japo brzegi. Skały, tworzące kocioł, sterczały dokoła prostopadle ku niebu, a na nich naprzeciwko nas leżał zamek.

— Uciążliwy teren! — mruknął Emery.

— Wątpię, czy dostaniemy się na drugą stronę tak, żeby nas z góry nie spostrzegli.

— Mógłby tego dokazać co najwyżej jeden lub dwaj, umiejący podchodzić.

— Do nocy czekać tutaj nie możemy. Ja spróbuję.

— *Well*, ja także!

Zsiedliśmy z dromedarów i kazaliśmy naszym ludziom cofnąć się do parowu. Korndorfer obawiał się, że spotka mnie jakieś niebezpieczeństwo, i koniecznie chciał mi towarzyszyć. Z wielkim trudem skłoniłem go do zaniechania tego zamiaru. Natomiast poczciwy Hassan został bez wahania; ani mu przez myśl nie przyszło wpraszać się na mego towarzysza, chociaż uważał mnie za największego mędrca na świecie.

Skaliste mury kotliny miały dość wyskoków i szczelin, aby przy należytej ostrożności dać nam dobrą osłonę. Posuwaliśmy się powoli, aż dotarliśmy do wąskiej i głębokiej szczeliny, wcinającej się w skałę tuż pod samym zamkiem. Z niej to musiały prowadzić w górę ukryte schody. Innej możliwości nie było.

Wszedłszy w szczelinę, ujrzyliśmy niski, do drzwi podobny, otwór w skale, a w nim szereg schodów, wiodących w górę.

— Na górę! — rozkazał Emery.

— Jeszcze nie! — sprzeciwiłem się. — Musimy się najpierw przekonać, dokąd prowadzi ta szczelina.

— *Well*, to idźmy dalej!

Postapiliśmy znowu naprzód, lecz tylko kilkanaście kroków, gdyż rozpadlina skończyła się wkrótce, a w jej końcu przedstawił się nam niespodziewany widok. Oto na kilka stóp wysoko leżały czaszki i kości ludzkie. Podarte strzępy odzieży walały się pomiędzy kośćmi, a kilka takich strzępów, wiszących nad nami na ostrych krawędziach skały, pokazywało nas, w jaki sposób dostały się tu te kości. Znajdowaliśmy się na miejscu sądu Hedżan-beja, który przeznaczonych na śmierć, kazał ze skały strącać w rozpadlinę. Działo się to z pewnością dość często, gdyż naliczyliśmy ponad dwadzieścia czaszek.

— Oto los jego jeńców! — rzekł Emery.

— A może także tych z jego ludzi, którzy okazali się nieposłuszni. Sądzę, że to się już nie powtórzy!

— Słusznie, chyba że mu się uda strącić tam nas.

— To mu się nie uda, gdyż dziesięciu takich Hedżan-bejów nie dorówna jednemu wodzowi Siuksów.

Skierowaliśmy się znów do wejścia. W każdej chwili musieliśmy być przygotowani na to, że spotkamy rozbójnika, idącego po wodę, wchodziliśmy więc nadzwyczaj ostrożnie i bez szmeru. Szczelina była tak wąska, że szliśmy jeden za drugim, w razie zaś wrogiego spotkania nie moglibyśmy sobie nawzajem pomagać. Ale naprzeciwko nas też mogła stanąć tylko jedna

osoba. Spotkanie nie nastąpiło, a my po długim oraz uciążliwym wchodzeniu dotarliśmy wreszcie do końca schodów.

Drzwi z powodu braku drewna w tych stronach nie spodziewaliśmy się, mimo to zastaliśmy wejście zamknięte. Przed nim znajdował się głaz, zasuwany od wnętrza za pomocą jakiegoś niewidocznego dla nas przyrządu. Wszelkie wysiłki celem odsunięcia go były daremne.

— Co poczniemy? — zapytał Bothwell. — Wejść przecież musimy! — Albo zdobędziemy zamek od zewnątrz.

— Tylko w razie koniecznej potrzeby. Nie znamy siły załogi, a choć jechaliśmy prędko, mógł już bej przybyć razem z *gum*. Wolę podstęp, niż przemoc.

— Więc i tu poradzi *anaja*.

— Ach! A to jak?

— Nocy jeszcze nie ma, a mój hedżan jest rączy. Pojadę na zamek i otworzę go od środka.

— To zbyt niebezpieczne, *my dear!*

— Nie takie, jak się wydaje. A może sądzisz, że jest się czego bać?

— *Pshaw!* Czy jednak wiesz, na jakie natrafisz okoliczności i przeszkody?

— Mam koral i dobrą broń.

— *Well*, ale ja pójdę z tobą!

— Nie! Czy zostawiłbyś ludzi bez dowództwa?

— Słusznie! Tym Arabom trudno wprost zaufać.

— Korndorfer będzie mi towarzyszył.

— Dobrze, niech się tak stanie! Ale powiadam ci, że rozszarpie beja i jego łotrów na kawałki, jeśli cię tylko dotkna!

— Nie przypuszczam. Do północy rozpatrzę się w położeniu, potem was wpuszczę.

— A jeśli nie zdołasz?

— To resztę zostawiam tobie.

— Zaczekam do godziny pierwszej, jeśli nie otworzysz, to będziemy w godzinę potem przed zamkiem, a ja krzyknę jak sowa, aby ci dać znak. Jeśli nie wyjdiesz, to znaczy, że znajdujesz się w niebezpieczeństwie, a wtedy wtargnę do środka. Chodź!

Wróciliśmy na dół. Kiedy Tebu usłyszał, że udaję się z Korndorferem na zamek, prosił żeby mi mógł towarzyszyć. Musiałem jednak odmówić jego życzeniu, gdyż on ścigał *gum*, kilku z jej ludzi widziało go i mogli go poznać.

Wsiadłem na mego biszarina, a Józef wziął od Emery'ego meharę i ruszyliśmy czym prędzej ku celowi wyprawy. Przybywszy na odnogę podkowy, okrążyliśmy ją i pojechaliśmy prosto na zamek.

Słońce zapadało właśnie za widnokrzem, kiedy dotarliśmy do wysokiego, otwartego wejścia. Aż dotychczas nie zauważyliśmy ani jednej ludzkiej istoty, z czego wnosilem, że nie spostrzeżono naszego przybycia. Mieliśmy właśnie przekroczyć wejście, kiedy zza kolumn wystąpili czterej ludzie i wyciągnęli ku nam swoje długie strzelby.

— Rrrre, stój! Czego tu chcecie, cudzoziemcy?

— Jesteśmy w podróży, nie mamy jadła ani wody, chcemy na tę noc zostać u was i kupić od was to, czego nam potrzeba.

— Jak weszliście tutaj i kto wam powiedział, że tu mieszkają ludzie?

— Widzieliśmy na równinie ślady waszych zwierząt. Wpuśćcie nas!

Spojrzeli pytająco po sobie, po czym jeden z nich, mężczyzna z mało obiecującą twarzą, odpowiedział:

— Wejdźcie!

— Czy przyjmiecie nas w imię Koranu i proroka?

— Chodź!

Odkryliśmy ich siedzibę, żywi więc nie mogliśmy opuścić *el kasr*. To wyczytałem im z twarzy. Mimo to, nie tracąc pewności siebie, pytałem dalej, by go wypróbować.

— Czemu nie odpowiadasz na moje pytanie?

— Powiedziałem ci, że masz wejść!

— Czy Koran osłoni mnie u was?

— Czy uważasz nas za zbójców, którzy zabijają swoich gości?

— Bądźcie sobie, czym chcecie! Nie pozdrowiliście nas, dlatego żegnamy was!

Skierowałem wielbłąda ku pustyni, a w tej chwili zwróciły się do nas strzelby.

— Stój, musicie zostać! Tu mieszka Hedżan–bej. Nie zobaczycie już nigdy Sahary!

Ja nie dobyteł broni, lecz tylko zauważyłem:

— Czy oślepieś, że śmiesz mi grozić? Czy nie widzisz strzelb, które z sobą mamy? A może sądzisz, że się nimi tylko bawimy? Czyż nie znasz zwierzęcia, na którym siedzę? Allah dał ci oczy, lecz one nie patrzą!

Teraz dopiero spojrzeli na mego dromedara.

— To biszarin beja. Kto ci go dał?

— On sam. Ocaliłem go z pazurów lwa, kiedy z dala stąd na północy czekał na Mahmuda Ben Mustafę Abd Ibrahim Jakub Ibn Baszar, którego posłał do miasta Franków. Patrzcie, oto jego *anaja!*

To długie, dobrze im znane imię i koral przekonały ich, lecz oblicza ich zostały nadal pochmurne.

— Do jakiego szczepu należysz?

— Jestem Frankiem.

— Niewierny? Co robisz na pustyni?

— Przybywam w gościnę do beja, z którym mam o czymś pomówić.

— To zatrzymaj się tutaj. Nie stanie ci się nic złego, dopóki on nie powróci.

Kazałem wielbłądowi uklęknąć i zsiadłem, Józef poszedł za moim przykładem. Nad *el kasr* sęp zakreślał swoje koła. Czyżby przeczuwał, że znajdzie nas jako żer w rozpadlinie? Chwyciwszy strzelbę, wystrzeliłem i ściągnąłem go trupem na ziemię. Rozbójnicy nie dokazaliby tego ze swoich strzelb, przeto zdumieli się, a ja właśnie tego chciałem.

— Wargi wasze nie pozdrowiły nas! Strzeżcie się mego oka i kuli!

— Masz odznakę i grozisz nam? Tyją ukradłeś! Giń, giaurze!

Złożył się, lecz ja szybciej wypaliłem z rewolweru tylko dwa razy, Korndorfer przeszył kulą trzeciego, a czwartego powalił kolbą.

Nabiwszy je zaraz na nowo, zaczęliśmy czy nie pokaże się nowy nieprzyjaciel, ale na dziedzińcu nic się nie poruszyło. Czyżby Hedżan–bej zostawił tylko czterech ludzi w zamku. Wobec odosobnienia i pewności położenia zamku było to bardzo możliwe, ale należało to zbadać.

Wnętrze ruin było lepiej zachowane, niż wydawało się to z zewnątrz. Przed nami wznosiła się wsparta na kolumnach komnata, a do niej przytykały prawdopodobnie inne sale. Sala, jak i owe boczne pokoje, były puste, nadto te ostatnie nie miały drzwi. Tylnym wejściem udaliśmy się na drugi dziedziniec. Gmach musiał powstać w ósmym wieku, kiedy potężni Uelad Mussa zalali Serir. Chciałem już wstąpić na dziedziniec, kiedy Korndorfer pochwycił mnie za ramię:

— Stójcie, panie! Czy nie widzicie tam za kolumną jakiegoś draba? Odwrócony do nas plecami i nie zauważył nas jeszcze.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, rozbójnik odwrócił się i huknął strzał. Kula trafiła Józefa w ramię.

— *Maszallah*, co za nieostrożność z jego strony, mógł mnie zastrzelić!

Z tym okrzykiem na ustach rzucił się Józef w wielkich skokach przez dziedziniec i porwał Araba za gardło. Ja pospieszyłem za nim i zdążyłem zapobiec nieszczęściu.

— Puść! Może nam będzie potrzebny.

Józef odjął rękę od gardła, ale trzymał go mocno.

— Czemu strzelasz do gościa Hedżan–beja? — zapytałem.

Byłem już pewien, że oprócz niego nie ma w zamku nikogo. Zanim się odezwał, zaczerpnął głęboko powietrza.

— Gościa? Gdzie są ci, którzy was oczekiwali? Słyszałem strzały. Kto wy?

— Masz tu *anaję*! Ilu ludzi jest na zamku?

— Pięciu, dopóki bej nie powróci.

— Mylisz się! Jesteś tutaj sam, tamci zginęli.

— Macie koral, a zabijacie ludzi beja! Coście za jedni?

— Jestem bratem Behluwan–beja i przychodzę po Franka, którego tu trzymacie w niewoli. Gdzie on?

— Mówisz nieprawdę! Czy człowiek może być bratem ducha?

— Spytaj samego dusiciela. Przyjdzie tu, skoro go tylko zawołam! Gdzie jest Frank?

— Tego nie wyjawię.

— To sam go znajduję, ale ty zginiesz!

— Bej mnie pomści!

— On nie może cię pomścić. Behluwan–bej pobił go i uśmiercił szesnastu z jego ludzi. Brat jego zaś, *mudir, khabiriszech–el–dżemali* padli od tej rusznicy. Ciebie także pochłonie piekło jeśli nie będziesz posłuszny.

— Udowodnij, że mówisz prawdę, a uczynię, czego żądasz.

— To chodź! Pokażę ci dusiciela.

Przeleżałem przez wyłom w murze wprost naprzeciwko parowu, gdzie czekał Emery. Rozbójnik poszedł za mną z wahaniem.

— *Hallo–i–oh!* — zawołałem z góry i natychmiast ukazał się Emery. — Chodźcie na górę!

— Wszystko bezpieczne?

— *Kasr* jest w mojej mocy!

Na to wystąpili także ludzie z *kaffili* i podnieśli okrzyk radości. Emery zostawił zwierzęta pod nadzorem trzech ludzi i Hassana, a reszta udała się do wejścia, w którym były schody.

— Widzisz, że mówię prawdę? Czy będziesz więc posłuszny?

— Tak, *sidi*.

— To odsuń kamień od schodów!

Odebrałem mu broń, on wszedł do pokoju, z którego przyniósł pochodnię z łyka daktylowego i zapalił ją. Następnie udał się do ciemnej bramy, pod którą stał, kiedy go zaskoczyliśmy. Schody wiodły w dół do podziemnej komnaty, zapełnionej aż pod powałę rozmaitymi towarami. Tu składał Hedżan–bej swoją zdobycz. W najdalszym rogu leżał głaz na dwóch walcach, przymocowany sznurami do ściany.

— Oto schody, *sidi!* — oświadczył jeniec.

Z powodu tych sznurów nie mogliśmy z Emerym ruszyć kamienia. Dopiero, gdy je zdjąłem, odsunęliśmy głaz. W kilka minut cała *kaffila* znalazła się w *el kasr*. Pouczyłem Bothwella, o co mi chodzi i zwróciłem się do jeńca.

— Gdzie jest Frank?

— Czy muszę to powiedzieć? Myśmy przysięgli, że będziemy milczeć

— Musisz! Tu stoi Behluwan–bej, który zażąda od ciebie duszy, jeśli się będziesz ociągał.

— To chodźcie!

W drugim rogu sklepionej komnaty wykuta była niska nisza, zamknięta kilkoma tobołami towarów, zamiast drzwiami. W niej leżała na gołej ziemi, skrzepowana sznurami, jakaś ludzka postać.

— Renaldzie!

Światło pochodni padło na wysoką postać Anglika.

— Emery! — wykrzyknął więzień radośnie.

— Wychodź prędzej, chłopcze!

Kilku szybkimi cięciami uwolniliśmy go z więzów. Wpół godziny później przeszukaliśmy cały zamek przy świetle pochodni. Wysłano posłańca, żeby sprowadził zwierzęta, ponieważ dowiedzieliśmy się od jeńca, że *gum* zaprowadzi swoje wielbłądy do wąwozu, a potem wejście na zamek schodami.

Radość ocalonego młodzieńca, który uważał się już za zgubionego, była nadzwyczajna. Wdzięczność jego nie mogła znaleźć słów. Do późnej nocy siedzieliśmy, opowiadając o radościach i bólach, jakie przeszliśmy wszyscy. Potem udaliśmy się na spoczynek. Ustawione stráže zabezpieczały nas przed niespodziewanym zaskoczeniem.

Kiedy wstawszy nazajutrz, wyszedłem na dziedziniec, spotkałem Tebu przy okropnej robocie. Oto zamordował on w nocy rabusia i stał teraz na krawędzi muru, aby zakrwawionego trupa strącić w rozpadlinę. Gdy rozgniewany tym, zażądałem wyjaśnień, odpowiedział mi tylko to jedno:

— Życie za życie, krew za krew, *sidi*. Przysiągłem i dotrzymuję przysięgi!

Nasze zwierzęta nadeszły, a Hassan przystąpił do mnie:

— *Hamdulillah*, dzięki Bogu, *sidi*, że znowu jesteśmy razem, bo beze mnie nie byłbyś... *Allah inha! el bej*, niech Bóg zniszczy beja! — przerwał nagle sam sobie. — Widzisz go? Oto nadchodzi!

Rzeczywiście na dole zdążył przez równinę szereg Arabów. Szli pieszo, musieli więc posłać już wielbłądy do wodopoju. Czekala ich niespodzianka. Hassana, który w walce był nieprzydatny wysłałem na mur, żeby obserwował wodopój. My zaś stanęliśmy z gotowymi do strzału strzelbami. Kto raz wszedł do *el kasr*, ten wyjść już nie mógł.

Nie czekaliśmy długo. Chociaż nieobecność pięciu strażników powinna przybywających Arabów zastanowić, mimo to wstąpili bez obawy na dziedziniec. Przeszli go już prawie w połowie, kiedy naprzeciwko nich ukazał się nagle Emery. Przybysze osłupieli.

— Rree, stać! Jam jest Behluwan-bej ; *gum* niechaj idzie do piekła! Ognia!

Huknęło ze wszystkich strzelb.

— Ja nie strzelam więcej; idę z pięścią! — zawołał Józef, odrzucił strzelbę i znalazł się z Emerym i z Tebu wśród nieprzyjaciół. Mój sztucer nie wpuszczał nikogo przez bramę, w dziesięć minut byliśmy panami placu.

Wtem zabrzmiał grzmiący głos Hassana:

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki, *sidi*; oni nadchodzą ze zwierzętami, a bej jest z nimi. Poznałem go po pancerzu!

Rzeczywiście wielbłądy stały na swych długich nogach w wodzie, a przy nich trzech ludzi. Jeden z nich zdjął burnus, a jego kolczuga migotała z dołu jak czyste złoto. Umył się, zarzucił na powrót burnus i skinął na ludzi, żeby szli za nim. Wszyscy skierowali się ku wejściu, z którego prowadziły na górę schody.

— Ten już do mnie należy, tego muszę dostać żywcem! — zawołał Bothwell. — Cofnijcie się do budynku!

Ja zbiegłem na dół, aby otworzyć wejście i wróciłem na górę.

Renald jeszcze wczoraj poprosił o rewolwer. Szukałem go teraz, ale nie mogłem znaleźć. Wtem dał się słyszeć odgłos kroków. Z bramy na dziedziniec wszedł bej z dwoma towarzyszami. Podobny był zupełnie do tamtego, którego spotkałem w górach Aures, a potem zastrzeliłem. Bystre jego oko błędziło dokoła badawczo. Naraz podskoczył ku niemu z krążanku Renald z rewolwerem w ręku. Domyśliłem się, co miało nastąpić i podniosłem dwururkę.

— Stój, zostaw go mnie! — zawołał Emery, przebiegając obok.

— Jestem wolny! Rozbójniku, giń! — krzyknął Renald i wypalił do beja. Kula odbiła się od pancerza, a bej pochwycił lewą ręką niskiego i szczupłego Francuza, zamierzyszy się prawą do śmiertelnego ciosu. Ale nie zdołał go zadać, gdyż w tej chwili pochwycił go Emery.

Towarzysze beja, widząc, jak rzeczy stoją, zwrócili się do bramy, lecz nie dostali się do niej. Dwoma kulami położyłem ich trupem.

Emery trzymał beja w żelaznym uścisku.

— Czy znasz mnie, zbójcu? Jam jest Behluwan-bej. Idź za swoimi ofiarami!

Straszne uderzenie pięścią w czoło ogłuszyło beja, po czym Anglik poniosł go i zrzucił w szczelinę, gdzie leżały kości przez niego pomordowanych. *Gum* była wytępią do ostatniego człowieka...

\* \* \*

W czternaście dni później przeszliśmy Serir, a przed nami roztoczył się cudowny obraz. Kilka tysięcy palm powiewało ciemnozielonymi koronami na smukłych pniach, lśniących złotawo od słońca. Pnie stały w ogrodzie bladorożowych kwiatów brzoskwini, białego kwiecia migdałów i jasnej zieleni liści figowych, w których słowik odzywał się zachwycającym głosem. Była to oaza Safilah, do której szczęśliwie doprowadziliśmy karawanę.

Tu rozstał się z nami także Tebu po kilkudniowym pobycie.

— Niech Allah będzie z tobą sidi — rzekł przy pożegnaniu. — Wzbogaciłeś ludzi z karawany łupem z zamku, ale sam nic sobie nie wzięłeś. Nie mam już synów, lecz mam błogosławieństwo. Zabierz je z sobą do kraju Franków. *Baid el bela alik*, wszelkie zło niechaj będzie z dala od ciebie!

W kilka tygodni później wróciliśmy do Algieru, gdzie z nieskończoną radością przyjęła nas rodzina Latréaumont. Hassan towarzyszył nam aż tutaj, a Korndorfer nie chciał mnie już opuścić i ze mną oraz z Emerym, który dla mnie zmienił swój plan podróży, powrócił do ojczyzny.

Dla Latréaumonta i jego rodziny rozstanie się z nami było dość bolesne, a walecznemu Kubaszemu en Nurab potężnie drgała broda.

— Sidi, ty odchodzisz i może nie zobaczymy się już nigdy. Spodziewam się jednak, że i we Frankistanie przypomnisz sobie z radością Hassana-Ben-Abulieda-Ibn-Haukal al Wardi-Jussui-Ibn-Abul-Foslan-Ben-Ishak al Duli i zawsze będziesz go zwał Hassanem-el-Kebihir i Dżezzar-bejem, dusicielem ludzi, który razem z Behluwan-bejem dopomógł ci zabić Assad-beja i Hedżan-beja.

— Ja także nie zapomnę o tobie, Hassanie, — zapewnił go Korndorfer — lecz opowiem moim rodakom o *ma-el-cat-beju*, dusicielu spirytusu!



# KRUMIR

## SAADIS EL CHABIR

Była wprawdzie dopiero godzina dziewiąta przed południem, lecz promienie afrykańskiego słońca paliły już z intensywnym żarem i położoną przed nami dolinę. Schroniliśmy się dobrze przed spiekotą. Nad naszymi głowami roztaczał się olbrzymi mastyks, w którego pierzastym listowiu szemrał lekki północny wietrzyk, a korzenie jego kapały się w chłodnej wodzie strumyka, śpieszącego szybkim biegiem ku rzece.

Przybyliśmy z prowincji Konstantyny, a przekroczywszy granicę Tunisu pomiędzy Dżebel Drima a Dżebel el Maalega, poszliśmy na przełaj przez Wadi Melis. Wśród stromych zachodnich zboczy Dżebel Gwibub rozłożyliśmy się na nocleg pod figami i granatami, a dziś ruszyliśmy we wschodnim kierunku przez wzgórza i zatrzymaliśmy się właśnie na krótki, poranny odpoczynek.

Chcieliśmy przed wieczorem dostać się do Seraia bent i w tym celu musieliśmy przeciąć Wadi Mellel, pokryte cyprysami i krzakami migdałów.

— Jak daleko jeszcze do Kef? — zapytałem służącego.

— Według miary Franków może być dwadzieścia pięć kilometrów, sidi — odpowiedział.

Był on przez długi czas w Algierze i dlatego znał się na miarach francuskich.

— A do Seraia bent?

— Osiem kilometrów w prostym kierunku. Jak słyszałem, znajdują się tam na pastwiskach Arabowie Uelad Sebira. Panie, zobaczę nareszcie moich ukochanych, ojca, matkę i...

Ostatniej osoby nie wymienił.

— Kogo jeszcze — zapytałem.

— Sidi, nie pytałeś mnie dotąd nigdy, czy mam *bent elamm*, żonę. Wiem, dlaczego tego nie uczyniłeś, powiadam ci jednak, że Beduini nie uważają za grzech mówić o kobietach i pokazywać ich oblicza. Żony i córki Uelad Sebira mają serce gołębia, lecz oczy ich nie są jak u tancerek, nie potrzebują więc zasłaniać twarzy.

— Jest więc dwoje gołębic oczu, których spojrzenie duszę twoją rozjaśnia?

— Nie mam jeszcze żony, lecz szejk Ali en Nurabi ma córkę. Nazywa się Mochallah, pachnąca. Nogi jej są jako nogi gazeli, włosy podobne do splotów Dżeherazady, oczy jako gwiazdy na niebie, głos jej przyjemny jako śpiew piasku o północy, a chód jej jak krok królowej, kiedy stąpa pośród swoich niewolnic. Allah il Allah, Bóg jest jeden, ale jedna jest także Mochallah. Zobaczysz ją, sidi, a język twój wysławiać będzie szczęście moje, szczęście wyższe od nieba, głębsze od nurtów morza i szersze od pustyni es Sahar i wszystkich krajów na ziemi.

Podniósł się w siodle. Oczy mu się świeciły, brunatne policzki pociemniały, a ręce towarzyszyły słowom w żywej gestykulacji.

— Czy Mochallah, woniejąca, będzie twoją żoną? — zapytałem.

— Będzie moją żoną. Ona jest słońcem dni moich, snem moich nocy, chlubą mych czynów i celem wszystkich myśli moich. Sidi, byłem ubogi, lecz żeby ją pozyskać odszedłem od namiotów dzieci es Sebira. *Hamdullilah*, dzięki Bogu, że pobłogosławił moją rękę i nogę! Zarobiłem sobie dużo franków i piastrow, ale najdobroczynniej przyświecała mi twoja łaska, efendi, mogę więc teraz zapłacić szejkowi to, czego żądał ode mnie za swoją córkę. Jestem Achmed es Sallah i będę najszczęśliwszym ze śmiertelnych, jeśli się Bogu spodoba!

— *Allah kerihm*. Bóg jest łaskaw, ale przeznaczenie człowieka zapisane jest w księdze. Oby drzewo twego żywota pachniało jak kwiat el Mochallah, która oczarowała ci duszę.

— Efendi, drzewo mego żywota będzie jako drzewo raj, pokryte zawsze kwieciami i owocem, a z jego korzeni wypłyną tysiące chłodnych źródeł. Tam wznosi się długie pasmo Dżebel hemormta wergra; aż do jego podnóża pasą moi bracia i woje trzody. Ruszajmy, żebyśmy nie utracił ani kropli z morza szczęśliwości, którego szum już mię dolatuje!

— Czy nie powinniśmy dać jeszcze koniom wypocząć, Achmedzie?

— Koniom, sidi? Czyż twój kary ogier nie był najlepszym koniem Arabów el Haddediń, między rzekami Eufrat i Tygrys? Czyż nie nazywa się Rih, ponieważ jest szybszy i bardziej wytrzymały niż wicher, lecący z gór Aures? Moja zaś kasztanka czy nie urodziła się w Wadi Serrat słynnym ze swoich niezawodnych zwierząt? Możemy dzisiaj jeszcze dostać się do Kef pomimo gór i rzek, leżących na naszej drodze.

— Dobrze, wsiadajmy.

Miał słuszość. Co do mego konia, to nie zamieniłbym go za żadnego innego na świecie, a jego należał do najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem. On sam był także człowiekiem, którym można się było cieszyć. Średniego wzrostu, lecz silnej i pięknej budowy ciała, wyglądał w swoim białym haiku, z powiewającą chustą turbanową i z obitą mosiądzem bronią jak postać z czasów Saladyna Wielkiego. Był przy tym wierny, uczciwy, prawdomówny, otwarty, i nieustraszony, nawet rzekłbym, zuchwały w każdym niebezpieczeństwie. Oprócz tego mówił nie tylko wszystkimi narzeczami krajowymi, lecz także, będąc przed wyjazdem do Algieru w Stambule, poznał tam dostatecznie język turecki. Z tych powodów był dla mnie bardzo cennym towarzyszem, z którym obchodziłem się raczej jak z przyjacielem, niż ze sługą. Żał mi było serdecznie, że już niebawem miałem go utracić.

Zjechaliśmy wzdłuż potoku po krótkim zboczu aż na dół, by ruszyć doliną prosto ku rzece. Woda Wadi Mellel nie rozlewała się szeroko; łatwością przeto dostaliśmy się na drugi brzeg, a tam na niewielką, równą polanę, otoczoną dokoła dzikimi zaroślami oliwnymi.

— *Maszallah*, cud boski, co to jest, sidi? — zapytał nagle Achmed, wskazując na lewo.

Spojrzałem w oznaczonym kierunku, czyli powyżej naszego stanowiska, i zobaczyłem trzódkę gazeli, wypadającą z zarośli. W tej chwili obudziła się we mnie żyłka myśliwska.

— Idą wprost na nas, Achmedzie. Uciekają!

— Tak jest, sidi. Czy widzisz *fahada*, lamparta, który teraz wyskakuje za nimi z zarośli? Cóż teraz zrobimy?

— Zapolujemy także i zastąpimy antylopom drogę. Mój koń szybszy od twego. Ty zatrzymaj się tu, przy rzece, a ja pojedę na prawo.

— Ależ, sidi, czy możemy sobie na to pozwolić? Ten *fahad* należy pewnie do jakiegoś szejka, a może nawet do emira z Kasr el Bordż!

— Bądź spokojny. Jazda!

Jak wyrzucony cięciwą przebiegł mój koń przez równinę. Gazele były zapewne bardzo wystraszone, bo nie dostrzegły nas. Rogi ich były dwa razy zgięte w kształcie liry, grzbiety jasno-brunatne, brzuchy białe, ogony i pasy na bokach ciemno-brunatne. Mieliśmy więc przed sobą *antilope dorcas L.* Naliczyłem czternaście sztuk i wobec tego zostawiłem dwururkę na plecach, a pochwyciłem za sztucer Henryego, z którego mogłem dłużej strzelać bez nabijania za każdym razem. Strzelba ta oddała mi wielkie usługi w Ameryce, Australii i Azji i wywołała podziw u dzielnego Achmeda.

Lampart dopadł właśnie ostatnią gazelę, rzucił się na nią i powalił. Zatrzymałem konia i pokazałem mu strzelbę, a on stanął nieruchomo jak odlany ze spiżu. Teraz mogłem nawet godzinę siedzieć na nim i strzelać, a on nawet głową nie poruszał: tak znakomitą tresurę arabską przeszedł w swej dalekiej ojczyźnie. Mój pierwszy wystrzał huknął, a równocześnie zajaśniał błysk ze strzelby Achmeda: dwie antylopy padły na ziemię. Wtem rozwarły się znowu zarośla, wyrzucając z siebie sześciu jeźdźców, pięciu w strojach arabskich, a szóstego w kapiącym od złota mundurze wysokiego oficera tunezyjskiego. Na lewej jego dłoni siedział *szahihul*, sokół. Na nasz widok oficer zatrzymał się na chwilę, potem zdjął ptakowi z głową kapturek i podrzucił go w górę. Sokół uderzył natychmiast na jedną z gazeli, ale nieszczęśliwym trafem na tę, którą ja właśnie wziąłem na cel. Nie zdołałem już odjąć palca, wypaliłem, a oba zwierzęta zaczęły tarzać się po ziemi. Nie troszcząc się o nie, zwróciłem się za pomykającymi gazelami i

wystrzeliłem jeszcze dwa razy. Wtem usłyszałem za sobą tętent konia, a jakaś ręka pochwyciła moją.

— *Chammar el kelb*, ty psie pijaka, jak śmiesz tutaj polować i strzelać do mojego szahihu? — huknął na mnie.

Odwróciwszy się, zobaczyłem przed sobą oficera. Oczy iskrzyły mu się gniewem, końce wąsów drgały gwałtownie, a jego dobroduszna z pewnością zazwyczaj twarz poczerwieniała. Nie miałem bynajmniej ochoty pozwolić, żeby do mnie w ten sposób przemawiał, strząsnąłem więc jego rękę z mojej, mówiąc do niego głośno i z naciskiem:

— Daj mi spokój! Powiedz jeszcze jedno takie słowo, a zwałę cię z konia tą pięścią!

— *Allah ajenak*, Boże dopomóż! — odparł, chwytając za rękojęść dzambijeha, krzywego sztyletu. — Człowiecze, czyś zwariował? Czy wiesz, kim jestem?

— Właścicielem niezręcznego sokoła i niczym więcej!

— Ten człowiek gani mego sokoła — zawołał oficer. — *Allah istaffer*, niech mu Bóg przebaczy! Czy zsiądziesz natychmiast z konia, by mnie przeprosić?

— *Allah kerihm*, Bóg jest łaskaw. Oby pokierował twymi myślami tak, żebyś się nie ośmieszał! Czyś ty może Mohammedes Sadak bej, władca Tunisu lub nawet sułtan ze Stambułu, że wymagasz, żebym cię prosił o przebaczenie?

— Nie jestem ani sułtanem, ani bejem Tunisu, któremu oby Allah błogosławił, ale jestem jego *apha el harass*, dowódcą gwardii przybocznej. Dalej z konia, jeśli nie chcesz skosztować chłosty!

W najwyższym zdumieniu cofnąłem konia.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki! Czy rzeczywiście jesteś bej el memluk władcy Tunisu?

— Tak powiedziałem! — odparł wyniośle.

Co za spotkanie! Ten człowiek to Krgüer-bej, oryginalny dowódca gwardii tunezyjskiej. Słyszałem o nim często. Pochodził z Europy, a był synem piwowara. Rzucony przez swój *kismet* w trzydziestych latach do Tunisu, przeszedł na islam, czym zdobył sobie łaskę proroka i wszystkich świętych kalifów w tym stopniu, że posuwał się coraz to wyżej, aż w końcu otrzymał zaszczytne zadanie bronienia na czele przybocznych mameluków życia Mohammeda es Sadak baszy. Lecz ze strony ojczyzny, której się wyparł, spotkała go jednak sroga kara. Oto w Afryce zapomniał dużo z języka ojczystego i ilekroć chciał się nim posłużyć, musiał się dobrze napocić.

— Do stu kaduków, panie pułkowniku, gdybym wiedział, że z panem mam zaszczyt mówić, byłaby nasza rozmowa wypadła trochę przystojniej — wyraziłem swe zdumienie po niemiecku.

Otworzył oczy i usta, usłyszawszy swój język ojczysty.

— *Maszallah*, do pioruna! Jest więc pan... ach tak omal się nie przemówiłem! Pan chyba nawet Niemiec?

— Właśnie.

— *Allah, wallah, billah, tillah*, nie pojmuję tego, to całkiem niemożliwe?

— Dlaczego?

— Dlatego... bo... o ile no, Allah jest wielki i wyprowadza wspaniale swoich i waszych. Czegóż pan chce w Tunisie?

— Odświeżyć dawne wspomnienia, a przy tym poznać kraj i ludzi lepiej, aniżeli to przedtem było możliwe.

— Dawne wspomnienia, kraj i ludzi? Czy pan był już kiedyś tutaj?

— Tak.

— Gdzie?

— Dalej na południu, nad szotami. Jechałem wówczas do Tripolisu, Barki i Egiptu.

— Tripolisu, Barki, Egiptu? *Wallahi, tallahi*, do kroćset batalionów, to większa przechadzka, aniżeli z Berlina do Koepenicku. A skąd pan dziś przybył?

— Przybywam przez Dżebel...

Dalszy ciąg uwiązał mi na języku, gdy rzuciłem okiem na twarz człowieka, który zsiadłszy z konia, zajął się zabitym sokołem, a teraz zwrócił się do nas i podszedł bliżej. Gdzie ja już widziałem tego człowieka, nieskończenie długiego i tak cienkiego, że omal się nie złamał? Czyżby to był rzeczywiście lord Dawid Percy, osobliwy oryginał, syn Earla Forfaksa? On zatrzymał się i spojrział na mnie z wielkim zdumieniem.

— *Good luck!* To wy, czy nie wy, Old Rifleman? — zapytał.

— Lord Percy, czy to być może?

— *Egad* — potwierdził. — *Welcome amidst this tedious part of the world*, powitać w tej nudnej części świata!

Podał mi rękę, którą ja uściśnałem serdecznie.

— Nudnej? — zapytałem. — Dlaczego?

— Hm! Przyjechałem tutaj, aby strzelać do lwów, tygrysów, nosorożców, słoni i hipopotamów. Dotychczas nie widziałem nic prócz pcheł pustynnych, jaszczurek i tych oto skór. Nudny kraj, hm!

— Ja tak nie uważam.

— Tak, sir, z wami co innego. Wy sięgniecie ręką, gdzie wam się tylko podoba i macie przygodę. Mnie tak szczęście nie sprzyja. *Well*. Muszę się znowu do was przyłączyć, jak w Indiach Wschodnich.

— Byłoby mi bardzo miło, sir. Może przedstawić mnie łaskawie temu gentlemanowi? Nie wymieniłem mu jeszcze mego nazwiska.

— *Yes*, niech tak będzie!

Wykonał jeden ze swych olbrzymich ruchów ręką i przedstawił mnie dowódcy gwardzistów, a następnie dodał:

— To był dobry strzał, sir. Nie jesteście temu winni, że trafiliście ptaka. Miał to być sokół, ale był chyba *thistle-finch* szczygieł, albo *goose* gęś. Był źle wytresowany, niezręczny i wziął gazelę za gardło, zamiast powyżej oczu. Wasza kula musiała go dosięgnąć. *Well*.

— Panowie znacie się z sobą? — zapytał Krüger-bej.

— Tak. Zwiedziliśmy obaj dobry kawał Indii — odpowiedziałem.

— *Maszallah*, niech mnie kaczka kopnie, to zdumiewające! Znali się w Indiach i spotykają się w Tunisie! Jestem dobrym muzułmaninem, ale to już coś więcej niż *kismet*; to przypadek, który mnie nieco zastanawia. Szkoda, że pański przyjaciel umie tylko po angielsku i niewiele po arabsku. Trudno z nim się rozmówić.

— Gdzie pan się z nim spotkał?

— Przedstawił mi się w Tunisie i poszedł potem ze mną do el Bordż, małej czworokątnej twierdzy, która leży niedaleko stąd. Musiałem się tam udać z achordarem, masztalerzem, aby zakupić konie. Dzisiaj chcemy polować i połączyć pożyteczne z przyjemnym. Teraz pojedziemy jeszcze do Seraia bent, które czasem nazywa się Mozole.

— Do Seraia bent? — spytałem ucieszony.

— Tak, tam rozłożył się obozem szejek en Nurabi, który podobno ma kilka pysznych koni i musi mi je pokazać.

— To dobrze, bo i ja udaję się po Mozole.

— Wspaniale! Jedziemy razem. Ale jak tam z gazelami, he?

— Należą oczywiście do pana. Ale z powodu sokoła proszę się nie gniewać. Był źle wytresowany i uderzył w niewłaściwej chwili. Gdyby zwierzynę chwycił w odpowiednim miejscu, nic by mu się nie stało.

— To nie szkodzi. W Egipcie łowią ich więcej. Bej otrzymuje je często od wicekróla. Ale gazy, które pan zastrzelił, są pańskie; nie chcę inaczej. Widzi pan, oto nadchodzi jeszcze dwóch moich *sais*, a każdy ma po jednym sokole i jednej gazeli, które ja zabiłem. Mam więc wystarczająco dziczyzny.

— Dobrze, dziękuję serdecznie i daruję te zwierzęta szejkowi en Nurabi.

— Słusznie! Całkiem praktycznie! Co się tyczy mnie, to odeślę zbytecznych ludzi.

Tymczasem założono kaptur lampartowi, a jeden z ludzi wziął go przed siebie na konia i odjechał z pachołkami do el Bordż. Reszta towarzyszy pułkownika zabrała pozostawioną mi zdobycz myśliwską, po czym zwróciliśmy się ku wznoszącej się na wschodzie bocznej ścianie doliny. Nie była ona zbyt stroma i łatwo się było na nią wydostać, ponieważ na górę prowadziło coś na kształt drogi. Na górze znaleźliśmy małą bezdrzewną równinę, poza którą teren znowu się wznosił. Tam rosły, krzaki i las, a ponieważ słońce stanęło właśnie w zenicie, przeto postanowiliśmy krótki czas odpocząć.

Rozmowa, która od chwili wyruszenia utknęła trochę, ożywiła się teraz znowu. Lord Percy był z natury milczący, ale za to Krüger-bej chciał wszystko wiedzieć.

Musiałem mu opowiadać o ojczyźnie, o moich podróżach i o rozmaitych innych rzeczach, a gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

— Rzadko kiedy bywało mi tak dobrze jak teraz. Na Allaha, niech mnie kaczka kopnie! Powiadam panu, że nie prędko pana od siebie puszcę. Nie biorę panu za złe, że pan kocha ojczyznę, ale powiadam, że byłoby dobrze dla pana zostać w Tunisie. Wprawdzie nie każdy awansuje tak wysoko, ale dla człowieka z pańskimi zdolnościami nie będzie trudno dojść do dobrego stanowiska. Podaj mi pan rękę! Wystarczy mi słówko powiedzieć, a zrobiłbym z pana kogoś lepszego, niż pan w swoim kraju może zostać.

— Serdeczne dzięki, panie pułkowniku! Rozważę pańską ofertę.

— Słusznie! Człowiek nie powinien nigdy deptać swego szczęścia, deptać nogami. Mam zaszczyt uważać pana już za obywatela Tunisu. O Mahomecie i jego kalifach możemy sobie kiedyś później pomówić. Mimo to nie nawrócę pana na islam, ponieważ chrześcijanin może do czegoś dojść już wtedy, jeśli wierzy, że prorok i kalifowie byli rzeczywiście na świecie. Ale teraz chciałbym wiedzieć, gdzie musimy jechać — w prawo zwrot, czy na lewo?

— Mój służący zna dobrze te strony.

— Czy był już tutaj?

— Pochodzi z Uelad Sebira do których się udajemy.

— Przywołaj go pan. Czy to zacny chłop?

— Uważam go raczej za przyjaciela, aniżeli za podwładnego.

— To proszę mi go przedstawić!

Przywołałem Achmeda skinieniem. Krüger-bej przypatrywał mu się z miną łaskawcy i zapytał go po arabsku:

— Czy na imię ci Achmed?

Zapytany zrobił dumny ruch ręką i odpowiedział:

— Nazywam się Achmed es Sallah Ibn Mohammed er Raham Ben Szafei el Farabi Abu Muwajid Khulani.

— Pięknie! — rzekł bej mameluków. — Imię twoje jest dobre, a pan twój jest z ciebie zadowolony. Będę cię więc...

— Mój pan? — wpadł mu Achmed w słowo z roziskrzonymi oczyma. — Ty możesz mieć władzę, ale ja jestem wolny syn Beni Rakba z ferkah Uelad Sebira. Ja nie mam pana, kocham tego sidi, ponieważ nie tylko jest mądrzejszy i waleczniejszy od wszystkich innych, lecz także dobry. Czego sobie życzysz ode mnie, efendi?

— Jak dostaniemy się do Uelad Sebira, na prawo, czy na lewo?

— Jedź na prawo! Skoro tylko zdołasz objąć okiem dolinę, zobaczysz ich namioty.

Zawrócił, a my poszliśmy za jego wskazówką. Krüger-bej przyjął spokojnie tę małą nauzkę Araba.

— Dumni hultaje ci Beduini — rzekł. — Żaden inny książę nie ma takich poddanych!

— Poddanych? — zapytałem z uśmiechem. — Czy są rzeczywiście posłuszni baszy Mohammedowi es Sadak?

Zapytany przybrał minę wysoce dyplomatyczną i odpowiedział:

— Oczywiście, że uważają go za swego władcę, to rozumie się samo przez się. A może jest kto inny, na czyje panowanie byłby pan skłonny dla nich się zgodzić?

— Nie znam istotnie nikogo.

— A widzi pan! Bej Mohammed es Sadak nie panuje ani za pomocą różg, ani za pomocą skorpionów jako ów król Rehabraham, czy Jerobraham z Israhel, jak mówi Koran. A może to jest w Biblii? On jest rozumny i dzięki temu Beduini wcale nie czują, że mają zaszczyt być jego poddanymi.

— Ale jeśli w bardo, gdzie zwykł w sądzie zasiadać każdej sobory, dostają plagi lub idą na strycek, wtedy to poznają: nieprawdaż?

— Mahlesz, to nic nie znaczy! Chłosta i szubienica są także zapisane w księdze żywota i nikt nie może im ująć, komu je raz przeznaczono. Kto nie chce słuchać, ten musi czuć! To stara prawda; zrozumiano?

— A co będzie z chłostą, którą ja dopiero co miałem otrzymać?

— To skończone i przedawnione. *Allah kerihm*, Allah jest miłościwy, a moja dusza lubi łaskę. Jesteśmy przyjaciółmi i nie potrzebujemy obijać sobie podeszew. Ale tam w dole stoją namioty. Zdaje mi się, że wnet dojdziemy do celu.

Anglik, który obok nas jechał w milczeniu, także zobaczył namioty, rozsypane po równinie.

— Czy to Uelad Sebira, sir? — *zapytał* mnie.

— Przynajmniej jakiś ich oddział. Należą do wielkiego szczepu Rakba, który może w pewnych okolicznościach wystawić ponad dziesięć tysięcy wojowników.

— Waleczne zuchy?

— Tak słyszałem.

— Rozbójnicy?

— Hm! Beduini są i byli nimi wszędzie i po wszystkie czasy.

— *Well*. Czy będzie wobec tego jakaś przygoda?

— Poczekajmy trochę.

— Chcę mieć przygodę, sir, rozumiecie? Z wami przeżywa się nieco inne rzeczy, aniżeli z rym kolonелеm gwardii przybocznej, z którym nawet mówić niepodobna. Nie odejdę już od was.

— Chętnie was widzę.

— Jaką marszrutę obraliście?

— Chcę udać się przez Kef na równinę słynnych Uelad Ayar, a stamtąd przez góry Melbili i Margeli do wielkich *duarów* Feriany, a potem przez Gaffa, Seddada, Tozer i Nefta nad szot Dżerid. Na tym szocie omal życia nie straciłem przed laty, pragnę teraz przypatrzeć się temu miejscu.

— *Zounds*. Przygoda? Opowiedzcie ją!

— Nie ma na to czasu. Patrzcie! Już nas zauważono i wychodzą naprzeciw.

Pomiędzy namiotami pasło się wiele owiec, koni i wielbłądów, przed każdym zaś z białych mieszkań letnich wbita była w ziemię włócznia, a do niej przywiązany wierzchowiec właściciela. Na nasz widok wyjęto włócznie z ziemi, około osiemdziesięciu wojowników dosiadło koni i utworzyło oddział, który ruszył pędem naprzeciw nas. Ludzie ci wydali głośny, wyzywający okrzyk, wymachiwali włóczniami i zaczęli strzelać do nas z długich flint. Sir Dawid Percy sięgnął po rusznicę i rozluźnił pistolety za pasem.

— *Thunder stonn!* Oni zachowują się wrogo. Nareszcie raz będzie walka, przygoda!

— Nie ciescie się zbyt wcześnie! Widzą przecież, że jest nas tylko siedmiu i nie mogą żywić względem nich wrogich zamiarów. Przyjmą nas arabskim zwyczajem wojenną zabawą, lecz o walce nie ma mowy.

— *Dull, extremely dull* to głupie, nadzwyczajnie głupie! — mruknął. Zwróciłem się do Krüger-beja:

— Czy pan w swoim mundurze jest pewny gościnnego przyjęcia?

— Tak. Rakba są naszymi przyjaciółmi. Ich zadaniem jest pilnować drogi karawan, idącej z Tunisu przez Testur, Nebor i Kef do Konstantyny i otrzymują za to podarunki. Nie grozi nam nic z ich strony. Zresztą zna mnie dobrze szejk Ali en Nurabi, ponieważ był już raz ze mną w Tunisie. Ucieszy się, gdy mnie zdrowym zobaczy. Może mi pan wierzyć. A jeśli mu pana przedstawię jako swego ziomka, to przyjmie to bardzo przyjemnie. O tam nadjeżdża na czele swego szwadronu. Poznał mnie. Proszę, najedźmy na nich cwałem, gdyż jest to zwyczaj arabski.

Pędziliśmy ku sobie wyciągniętym cwałem, przy czym obie strony krzykiem i strzelaniem narobiły ogromnego zgiełku. Wyglądało to tak, jak gdybyśmy chcieli na siebie najechać, lecz w ostatniej chwili przed zderzeniem zawracał każdy swojego konia i igraszka zaczynała się na nowo. Wygląda to wprawdzie wspaniale, ale nadwiera bardzo koniom nogi, czasem zwierzęta nawet przy tym padają. Pędziliśmy w tej pozornej bitwie przez obóz, ożywiony przez kobiety, starców i dzieci, i zeskoczyliśmy przed namiotem, którego rozmiary i ozdoby wskazywały na właściciela. Mężczyźni otoczyli nas półkolem. Aż dotąd nie padło jeszcze ani jedno słowo pozdrowienia, teraz dopiero przystąpił Ali en Nurabi do dowódcy przybocznych Mameluków i podał mu rękę.

— Pustynia cieszy się deszczem, zaś Ibn es Sahar swoim przyjacielem. *Marhaba*, bądź pozdrowiony. Wejź do namiotu swego brata i zobacz, jak cię miłuje!

Szejk był prawdziwym Beduinem, o słabym zarostie w dojrzałym wieku męskim. Miał na szyi zawieszony *hamail* co wskazywało na to, że był w Mekce i Medynie. Krüger-bej zachował się z wielką godnością i odpowiedział:

— Księżyc otrzymuje światło od słońca, a dla mnie nie ma radości bez przyjaciela mej duszy. Lnie twoje wielkie jest w górach, a klacz twoja słynie na dolinach. Ojciec twój był najmężniejszym z bohaterów, a dziad twój najmędrszym z mędrców. Oby synowie twoi byli mocni jak Chalid, a synowie synów twoich waleczni jako ogier, broniący swoich żon i dzieci! Przyprawdzam ci dwu mężów z Zachodu. Są oni wielkimi emirami u swoich i przychodzą do ciebie, by poznać twoją potęgę i uprzejmość, a potem wysławiać ją w krajach, kędy słońce zachodzi.

— Ty będziesz moim *rafik*, przyjacielem, a ty moim *aszab*, towarzyszem — rzekł szejk, podając najpierw rękę Anglikowi, a potem mnie. — Jesteście w moim namiocie tak bezpieczni, jak gdyby chronił was *dsulfekar*, połyskujący pałasz proroka. Wejźcie i podzielcie się ze mną chlebem!

Weszliśmy do namiotu. Towarzysze Krüger-beja zostali na dworze, a z nimi Achmed, którego szejk ani słowem, ani nawet skinieniem głowy nie powitał. Czy stało się to dlatego, że szejk musiał najpierw uczcić swoich gości? A może miało to inne, mniej przychylne dla Achmeda, powody!

W głębi namiotu stało niskie drewniane rusztowanie, pokryte matami, na którym wszyscy usiedliśmy. Osobnego przedziału dla kobiet nie było prawdopodobnie w namiocie. Żeńscy członkowie rodziny szejka mieścili się zapewne w namiocie mniejszym, położonym obok wielkiego. Ze szczytu namiotu zwisało na zielonym jedwabnym sznurze szklane naczynie, które szejk zdjął, by je nam podać. Zawierało drobno tłuczoną sól ze słonych jezior południa, a obok leżała porcelanowa łyżeczka. Zarówno czara, jak łyżka były tu zbytekiem, z którego szejk był widocznie nadzwyczaj dumny. Zjedliśmy po kilka grudek soli. Ali en Nurobi zaś uczynił to samo i rzekł uroczyście: — *Nami malahin*, zjedliśmy sól z sobą. Jesteśmy braćmi i żadna nieprzyjaźń nie zdoła nas rozłączyć.

Następnie zdjął ze ściany trzy fajki, napchał je własnoręcznie, podał nam i zapalił. Potem oddalił się na krótki czas. Kiedy powrócił, weszła za nim starsza kobieta i młoda dziewczyna. Pierwsza niosła *senieh*, słoik z płynną miedzią, który postawiła przed nami. Drugą można było nazwać skończoną pięknnością. Miała czarne włosy, splecione w długie, grube warkocze,





Opuściwszy namiot, dosiedliśmy koni i w towarzystwie wszystkich Arabów rodzaju męskiego udaliśmy się na miejsce, gdzie się stado pasło. Widok koni wprawił w szybszy obieg krew Anglika, znawcę i namiętnego miłośnika tego najszlachetniejszego ze zwierząt domowych.

— *Behold* — zawołał. — Jakie wspaniałe okazy! Przypatrzcie się tej białej klaczy. Zapłaciłbym za nią tysiąc funtów. *Well!*

— Nie dostaniecie jej i za dwa tysiące, sir — odpowiedziałem. — A jednak znajduje się tutaj zwierzę, może jeszcze cenniejsze, chociaż nie takie drogie.

— Które?

— Popielaty hedżin z tamtej strony. Ma tę samą barwę, która nawet włosom kobiet *użycza* piękności. Przypatrzcie się jego głowie, oczom, piersiom i nogom! To biszarin hedżin i na pewno znakomity biegun.

— *Heigh-ho!* Dajcie mi spokój ze swoimi wielbłędami! Czy siedzieliście już kiedyś na takiej bestii, sir?

— Hm! Nawet często. Wszak wiecie, że już przedtem byłem na Saharze kilka razy.

— Słusznie! Jakże wam było, kiedyście pod swoimi biednymi zwłokami mieli taki garb?

— Bardzo dobrze.

— Naprawdę? No, to się zgadza z waszą naturą! Wiem, że wasze nerwy są ze skóry hipopotama. Kiedy j a po raz pierwszy wsiadłem na takie stworzenie, spadłem najpierw z tyłu, a potem z przodu. Później trzymałem się trochę lepiej, lecz nie zapomnę tej jazdy przez całe życie. Opanowało mnie potem coś gorszego, niż morska choroba. Zdawało mi się, że połknąłem tysiąc diabłów, które chciały polecieć ze mną na cztery wiatry. Nigdy już nie dosiędę takiej nędznej kreatury!

Podczas tego zaklęcia rozczapierzył odpychająco wszystkie dziesięć palców i rozstawił swoje nieskończone długie nogi, jakby miał jeszcze pod sobą wielbłąda, o którym mówił.

Przed nami przeprowadzano jedno po drugim najlepsze ze znajdujących się tam zwierząt. Krüger-bej był także ową klaczą zachwycony. Dobroduszna twarz jego promieniała rozkoszą.

— Czy widział pan już kiedy takiego konia? — zapytał — Niech mnie kaczka kopnie, jeśli to nie jest prawdziwa rawuan! Takiej nie ma nawet następcy tronu, sidi Ali-bej, w swojej stajni w el Marfa, sławnych kąpielach morskich w Tunisie.

— Słyszałem, że za dużo wydaje na konie.

— Bardzo dużo, ogromnie dużo, na konie, powozy i kobiety. Ma trzysta kobiet, ale takiego siwka jeszcze nie miał.

— Czy uważa pan tego konia rzeczywiście za niezrównanego?

— Wolę jego, aniżeli wszystkie trzysta kobiet sidi Ali-beja, między którymi nigdy nie znajdował się taki siwek.

— To przypatrz się pan łaskawie mojemu karemu ogierowi!

— To nie tak łatwo. Zawinąłeś go pan tak derką, że widać mu tylko nogi i nos.

— To przypatrz mu się pan potem.

— Jego chód i postawa już wpadły mi w oko. Niewątpliwie ma dużo ducha i ognia. A dlaczego go pan tak nakrywa?

— W ostatnich czasach musiał jadać *durrha*, a to mu trochę zaszkodziło. Ale, uważaj pan!

Szejk dosiadł siwki, by ją przeciwżyć. Zwierzę okazało się znakomite, chętnie bym je puścił w szranki z moim karym, gdybym nie był gościem właściciela siwki, a wiadomo, że dla Beduina nie ma większego strapienia nad to, gdy jego ulubiony koń musi ustąpić pierwszeństwa.

Wśród wyciągniętego cwału zatrzymał Ali en Nurabi klacz tuż przed nami i zapytał Krüger-beja z błyszczącymi oczyma:

— Ta klacz nazywa się Utheif, „Jaskółka”. Jak ci się podoba?

— Może nosić proroka do raju. Czy mi ją sprzedasz?

— Czy chcesz mnie obrazić, pułkowniku? Czy nie wiesz, że syn Sahary prędzej zabije siebie, swoją żonę i dziecko, aniżeli odda klacz swą za pieniądze?

— Wiem o tym szejku. Czy znasz konia, który dorównywałby Utheif?

— Nie ma do niej podobnych.

— Może byś się przypatrzył ogierowi tego efendiego?

— Żaden efendi z Frankistanu nie może mieć konia, którego oczy mogłyby spocząć na Utheif. Mimo to, będzie zapewne ten ogier niezłym koniem, skoro pan owinął go tak troskliwie. Jak się nazywa?

— Jego poprzedni pan nazwał go „Rih” — odrzekłem. To zafrapowało trochę pytającego.

— Rih, to słowo arabskie — rzekł. — Czy pan tego konia był Beduinem?

— Był to Mohammed Emin, szejek Haddedinów ze szczepu Szammar.

— W takim razie twój ogier jest zwyczajnym zwierzęciem, gdyż nikt z Szammarów nie sprzeda dobrego konia.

— On go nie sprzedał, lecz ofiarował mi. Czy to koń lichy, zaraz zobaczysz.

Zsiadłem z konia i skinąłem na Achmeda, który przysłuchiwał się dotąd naszej rozmowie, a teraz pospieszył z radością, by zdjąć z karego osłonę, już naprzód dumny ze zwycięstwa, którego się po moim ogierze spodziewał.

— *Wallahi, billahi!* — zawołał szejek, kiedy koc opadł na ziemię. — Ten koń ma czerwone jak krew nozdrza, a zbudowany jest, jak es Saleh, ulubiony koń Haruna el Raszyda. To radzi pak, najczystszej krwi. Żaden Beduin nie darowałby nikomu takiego skarbu. Ten koń poszedł za tobą bez wiedzy swego pana!

To znaczyło, że go ukradłem. Te słowa mogło wywołać na usta szejka tylko uczucie niezwykłego podziwu. Usłyszawszy to, ściągnąłem brwi i położyłem rękę na sztylcie.

— Czy wiesz, co mówisz, szejku Ali en Nurabi? — zapytałem. — Czy tu, na Dżebel Gwibub jest zaszczytem zaliczać się do koniokradów? Tam, gdzie ja się urodziłem, jest to hańbą. Gdybym był nie zjadł z tobą soli, to żelazo tkwiłoby już w twoim sercu. Bądź na przyszłość ostrożniejszy!

Oczy szejka zajaśniały także. Gdybym nie był jego gościem, doszłoby pewnie do sprawy na noże. Opanował się jednak i zapytał:

— Czy twój ogier ma tajemnicę?

— Ma ją, jak każdy koń czystej krwi.

— Czy znasz tę tajemnicę?

— Znam.

— W takim razie przebac mi! Nikt nie zdradzi tajemnicy swojego konia; dopiero na łożu śmierci przekazuje ją każdy swemu spadkobiercy. Kto zna tajemnicę swojego konia, ten musiał otrzymać go w sposób rzetelny. Jeśli jednak szejek Haddedinów darował ci tego ogiera z własnej woli, to i ty musisz być wielkim szejkiem lub emirem!

— Szejek Haddedinów był moim przyjacielem i to niech ci na razie wystarczy. Może wieczorem ci opowiem, w jaki sposób otrzymałem tego konia.

— Sądzisz, że on dorówna mojej klaczy?

— Sądzę.

— To dosiądź go i udowodnij, że tak jest!

— Nie wolno mi zmartwić klaczy człowieka, w którego namiocie mam spocząć.

— Wolno ci, efendi. Żądam tego od ciebie, by ci pokazać, że moja „Jaskółka” szybsza jest, niż twój „Wiatr”.

Wahałem się jeszcze, gdy Krüger-bej zauważył:

— Wszak sam tego chce! Do pioruna, ja także jestem ciekaw tych wyścigów! Gdy pańskiego ogiera zobaczył, zdumiałem się nad swoją ślepotą, że tego przedtem nie spostrzegłem. Szejek nie powinien się gniewać, jeśli zwyciężycie, gdyż sam was o to prosi. Puść

pan diabła w taniec. Powiadam panu, że ucieszę się, jeśli pańskiemu „Wiatrowi” nie zabraknie wiatru i jeżeli go całkiem nie straci.

Sir Dawid Percy niezupełnie zrozumiał naszą rozmowę, lecz na widok mojego konia kilka razy wydał głośny okrzyk podziwu; przeczuł, o co chodziło, i rzekł do mnie:

— *Sdeath*, a to koń! Będziecie się ścigali z szejkiem? — Zgadliście.

— Zróbcie to! Przypuszczam, że kary może pójść w zawody z siwka!

— Pod względem chyżości i wytrwałości przewyższają nawet, ale obawiam się, że obrażę szejka jeśli zawstydzę jego klacz.

— Ale co za gadanie! Sława takiego konia więcej warta, aniżeli ten brunatny chmyz!

„Tajemnica” konia, to rzecz całkiem szczególna. Każdy Arab przyzwyczajają swego konia do pewnego znaku, na który zwierzę ze spotęgowaną chy — żością pędzi, dopóki nie padnie. O tym znaku nie mówi Arab nikomu, nawet synowi, ani najlepszemu przyjacielowi, a używa go tylko wtedy, kiedy życie jego jest w niebezpieczeństwie lub kiedy chodzi o zdobycie nagrody cenniejszej dlań, niż zwierzę. Mój znak polegał na tym, że głośno wymawiałem słowo „rih” i lewą dłoń kładłem ogierowi pomiędzy uszama. Doświadczyłem już nieraz, że wtedy trudno było jakimkolwiek jeźdźcowi mnie doścignąć. Nie bałem się też klaczy szejka, ale nie chciałem zranić jego dumy. Ucieszyłem się przeto przerwą, jaka na razie odwróciła naszą uwagę od próby. Oto jeden z Arabów krzyknął głośno i wskazał ręką na północ, gdzie ujrzelśmy kilkanaście punktów, zwiększających się szybko w miarę zbliżania się. Byli to jeźdźcy szczepu, u którego bawiliśmy w gościnie. Za ledwie szejka to rozpoznał, dał znak, by jechać za nim i popędził z zawrotną niemal chyżością.

— Za nim! — zawołał do mnie Krüger-bej. — Doścignij go pan! To najpiękniejsza sposobność od pokazania przewagi ogiera nad klaczą!

Zrobiłem ręką ruch odmowny i zachowałem to samo tempo co drudzy. Zbliżających się do nas jeźdźców było około dwudziestu. Prowadzili w środku Araba, przywiązanego do konia sznurami z łyka palmowego. Dwu z nich podjechało szybciej do szejka i zatrzymali przed nim konie. Byli to jego synowie.

— *Hamdullillah!* — zawołał jeden z nich. — Dzięki Allahowi, który oddał nam w ręce największego rozbójnika i mordercę!

— Kto jest jeńcem? — zapytał szejka.

— To Krumir Saadis. *Allah inha! el kelb*, niech Bóg zniszczy tego psa, jego i cały ferkah ed Dedmaka! On zastrzelił Abu Ramzę, walecznego wojownika i kilku z nas pokaleczył. Krew jego niechaj zapłaci za winę, która go zawiedzie do piekła!

Tym jeńcem był więc słynny Krumir, o którym rozmawialiśmy. Ręce jego przywiązane były do tylnej części arabskiego siodła, a obie nogi skrępowane sznurami, przechodzącymi pod brzuchem konia. Mimo to siedział na siodle prosto, dumnie i chłodno, zwróciwszy na szejka ostre, kolące oczy. Niskie czoło z cienkimi szczecinowatymi brwiami, ostre kości policzkowe, cienki jastrzębi nos, obrzękłe wargi i silnie rozwinięta dolna szczęka nadawały mu wyrazu nieczułości i okrucieństwa.

— Abu Ramza nie żyje? Gdzie on? — zapytał szejka.

— Tam go wiozą.

Mówiący to wskazał na dwóch jeźdźców, prowadzących między sobą konia, do którego przywiązany był trup zastrzelonego.

— A kto zraniony? — zapytał szejka znowu.

Dwaj jeźdźcy wskazali w milczeniu na krwawe plamy, widoczne na białych płaszczach.

— Opowiedz, jak spotkaliście się z nim! — rozkazał Ali en Nurabi.

Syn zaczął opowiadać:

— Jechaliśmy w dół Wadi Milleg i zatrzymaliśmy się nad Fum el Hadzart. Wtem nadjechał ten potomek psa parszywego. Siedział na koniu, oczy jego szukały czegoś, jak oczy szpiega, a jazda jego była jako chód zdrajcy. Naraz ujrzał nas i zwrócił, my jednak dopędziliśmy go

wkrótce. Zanim zdołaliśmy go pojmać, zastrzelił nam towarzysza, a tych dwu zranił. *Ed dem b'ed dem — en nefš b'en nefš*, oko za oko — ząb za ząb! On podlega krwawej zemście!

— *Ed dem b'ed dem — en nefš b'en nefš!* — zawołały głosy dokoła. Szejk nakazał milczenie.

— Zebranie naradzi się nad nim — rzekł. — Czy powiedział, gdzie jego ludzie?

— Nie. Nie powiedział ani słowa. Usta jego ją jak wargi śmierci, która milczy na wieki.

— Ostrza naszych włóczni i nożów nauczą go słów, których zażądamy od niego. Zaprowadźcie go do obozu!

Podczas tej niedługiej rozmowy nie drgnął Krumir nawet powieką i przypatrywał się z nietajonym podziwem koniom mojemu i szejka. Twarz jego została nieruchomą, a kiedy przejeżdżaliśmy obok trzody, zatrzymał konia lekkim naciskiem kolan, aby okiem znawcy przypatrzeć się popielatemu wielbładowi. Zdawało się, że o los swój zupełnie sienie troszczy.

Kilku Arabów pośpieszyło do obozu, aby zanieść wiadomość, że najgorszy z nieprzyjaciół dostał się do ich niewoli. To też cała ludność powitała nasz orszak głośnymi objawami radości. Jeźdźcy przebiegali obok siebie w śmiałych galopadach, a reszta klaskała radośnie w ręce, okazując co chwila jeńcowi pogardę obelżywymi wyzwiskami i spluwaniem. On nie drgnął nawet wówczas, gdy przed namiotem szejka zabrano się do odwiązywania go od konia. Zaledwie jednak rozwikłano węzły, szybko zeskoczył, odrzucił na bok otaczających go ludzi i znalazł się w jednej chwili przy bocznym namiocie, przy którym stała córka szejka. W mgnieniu oka pochwycił ją i postawił przed sobą, jak tarczę.

— *Dakila ia shejk*, jestem wybawiony! — zawołał.

Natychmiast opadły wszystkie ręce, które wyciągnęły się za nim.

Stało się to tak szybko, że niepodobna było temu przeszkodzić. Nikt nie odważył się podnieść ręki na tego, który wymówił uświęcone słowo, chroniące nawet najgorszego złoczyńcę przed zemstą nieprzyjaciół.

— Daj mi się napić, ozdobo dziewcząt! — rzekł do Mochallah, którą ten wypadek przestraszył.

Ona spojrzała pytająco na ojca. Dokoła odezwał się lekki pomruk, shejk jednak nie zważał na to i rozkazał córce:

— Daj mu wody, lecz ani chleba, ani soli! Starszyzna osądzi, co się z nim stanie.

Dziewczyna zniknęła wewnątrz namiotu dla kobiet, a zaraz potem wyszła z czarką wody, która podała Krumirowi.

— Weź i pij, wrogu mojego szczepu! — rzekła.

— Piję! — odpowiedział dumnie. — Oby moi nieprzyjaciele zniknęli, jako krople tej wody, a napój ten niechaj będzie mą *eljurkan*, wodę zbawienia, dla Saadisa el Chabir, syna Beni Dedmaka!

— *Allah jenahrl el Dedmaka*, Allah niech potępi Dedmaka! — odezwał się jakiś głos, pełen gniewu.

Słowa te wymówił mój służący Achmed es Sallah. Szejk zmarszczył groźnie czoło i odpowiedział:

— *Allah iharkilik*, oby Bóg spalił ciebie, ciebie i twój język! Czyż nie widziałeś, że ten człowiek wypił nuktha al karam, z córką twojego szczepu? Ale ja wiem, że udałeś się na obczyznę, aby zapomnieć o zwyczajach i prawach twojego narodu, a teraz nie wiesz już o tym, że Beduin powinien słuchać, kiedy *mul el duar*, głos swój podniesie. Przekleństwo proroka spotyka człowieka, który hańbi swojego gościa, a ja powiadam wam, że zabiję każdego, kto się ośmieli strącić włos z głowy tego Dedmaka, zanim *dżemma* naradzi się, co z nim zrobić!

Z tych słów poznałem, że shejk nie jest zbyt dobrze usposobiony dla biednego Achmeda. Co więc mogło się stać z miłością obojga młodych ludzi? Oczy Achmeda zaiskrzyły się. Słowa, wyrzucone przeciw Krumirowi, niewątpliwie podyktowała mu zazdrość. On nie dostąpił jeszcze tego szczęścia, żeby zamienić słowo z ukochaną, a ten zbój i morderca bezkarnie ją

dotykał i pił z jej rąk. To go z pewnością dręczyło, ale był na tyle rozsądnym, że nie poddał się wpływowi uczuć, lecz cofnął się z gniewem od namiotu.

Na skinienie szejka wzięli dwaj wojownicy Krumira między siebie i zaprowadzili do namiotu szejka. Krüger–bej położył mi dłoń na ramieniu, mówiąc:

— No, teraz rozpocznie się narada, czyli jesteście tu zbyt liczni. Może mi pan towarzyszyć?

— Dokąd?

— Trochę na przechadzkę, aby nogi rozruszać. Będzie to rodzaj uprzejmości wobec szejka, ponieważ potrzeba mu teraz namiotu na naradę. Za kwadrans skończy się wszystko, będziemy więc mogli powrócić.

— Zabierzmy z sobą Anglika!

— To oczywiste. Któż miałby go wezwać, żeby z nami poszedł, jeśli nie my?

Skinąłem na sir Dawida Percy. Powierzyliśmy Achmedowi nadzór nad końmi i zwróciliśmy się ku grupce palm, których korony obiecywały w pewnym oddaleniu trochę chłodnego cienia.

— Co to za drab, którego pochwycił Uelad Sabira, sir? — zapytał mnie Percy. — Widziałem wprawdzie wszystko, ale nic nie rozumiałem.

— To Krumir z ferkah ed Dedmaka, wysoce niebezpieczny rozbójnik. Do jego ręki przylepiła się niejedna kropla krwi ludzkiej.

— Hm! Jak się nazywa ten człowiek?

— Saadis el Chabir.

— Co to znaczy?

— Saadis jest właściwym jego imieniem i znaczy: „szósty”. Ten człowiek zna dzięki wyprawom po Algierze i Tunezji każdą górę i każde *wadi*. To najpewniejszy przewodnik w całym kraju, od wybrzeża Morza Śródziemnego aż po Belad el Dżerid ma licznych sprzymierzeńców. Podobno nawet na niebezpiecznych, słonych jeziorach południowych czuje się tak pewnym jak jeździec w siodle. Dlatego wynajmują go często rozbójnicze plemiona Beduinów na przewodnika.

— Hm! Słyszałem już raz to imię, lecz nie wiedziałem, że ten Saadis i ów opryszek, to jeden i ten sam lajdak.

— Więc widzieliście go już, sir? — zapytałem.

— *Yes!* — potwierdził Anglik.

— Gdzie?

— W Tunisie, albo raczej koło Tunisu. *Well!*

— Kiedy?

— Przed trzema tygodniami. Spotkałem się z nim na końcu Manubyl. Siedział na przepysznym srokaczu i cwałował ku górcom Saghoan. Przybywszy do Bardo, dowiedziałem się, że bejowi skradziono konia, sześciolatniego srokacza. Zeznałem, co widziałem i przyłączyłem się do pogoni za łotrem, ale kiedy dojechaliśmy do końca Manuby, on dostał się już na Dżebel Saghoan. Niepodobna już go było dopędzić.

— I poznaliście go teraz na pewno? Nie mylicie się?

— To stanowczo jest on. Tej twarzy nie można zapomnieć i założę się o wszystko przeciw niczemu, że się nie mylę. *Yes.*

— Czy Krüger–bej wie o kradzieży?

— Oczywiście. On był w tym czasie w Bardo.

— A wy nie powiedzieliście mu teraz jeszcze, że ten Saadis jest owym łotrem, którego spotkaliście wówczas?

— Nie.

— To niechaj zaraz się dowie!

Powiedziałem pułkownikowi o tym, co dopiero od Anglika usłyszałem. To zaskoczyło go tak niespodzianie, że aż usta otworzył ze zdumienia.

— Co? — zawołał w końcu. — Ten Saadis el Chabir, ten arcyłotr, to byłby on? Czy lord się nie pomylił?

— Nie myli się na pewno!

— Do stu piorunów! To dobrze! To będzie połów, za który mi Sadak-bej ofiaruje największą wdzięczność. Ale gdzie srokacz?

— Pewnie sprzedany, skoro Krumir nie jechał dzisiaj na nim.

— Niech diabeł porwie tego draba! On dopóty będzie brał kije w podeszwy, dopóki się nie przyzna, gdzie schował srokacza. Proszę pana, zawróćmy czym prędzej, abyśmy zdążyli nim starszyzna ulaskawi tego łotra i weźmie go przez to w swoją opiekę!

— Czy pozwolą nam stanąć przed zebraniem?

Krüger-bej zatrzymał się i zamyślił.

— Nie — odrzekł — i to jest przykre. Mimo to wracajmy, ponieważ nigdy się nie wie, co w takiej sprawie może znaczyć jedna chwila i jaki skutek może pociągnąć za sobą zaniedbanie czegoś. Cały batalion w tył zwrot i marsz!

Udaliśmy się szybko do *duaru*. Przed nim pilnował Achmed pasących się koni. Ja stanąłem przy nim, a tamci dwaj poszli dalej. Widocznie Achmed otrzymał jakąś przyjemną wiadomość, gdyż twarz jego błyszczała z zachwyty.

— O sidi — rzekł — słońce weszło nad twoim przyjacielem i sługą, a Allah wylał nań pełnię szczęścia!

— Czy wolno wiedzieć, jakiego posła użył Allah, by cię obdarzyć tym szczęściem?

— Tobie wolno, lecz tylko tobie. :Mochallah, najpiękniejsza z huryszek, przechodziła tędy, by zobaczyć, co się dzieje z wielbładami szejka. Musiała być bardzo ostrożną, ale powiedziała mi, że o północy będzie na mnie czekała pod palmami. Szejk gniewa się na mnie, ponieważ jako człowiek wolny poszedłem do wielkich miast i zostałem nawet sługą niewiernego. Pomówimy o tym, jakby ułagodzić jego gniew.

— Gniewa się na ciebie z mego powodu? To obraza, za którą się zemszczę!

— O sidi, oszczędzaj go! Ramię twoje jest silne, a nóż twój nigdy celu nie chybił, ale szejk jest ojcem Mochallah, którą ja miłuję. Ty nie zasmuczysz mojego serca!

— Ja go przecież nie chcę zabić! Wszak wiesz, że jestem chrześcijaninem i że moja *kitab el mukaddas*, Biblia, zabrania przelewać krwi bez potrzeby.

— Cóż więc uczynisz, efendi?

— Wstawię się za tobą. Poproszę go, żeby oddał ci za żonę twą „pachnącą”

— Czy to prawda? O sidi, czy zrobisz to rzeczywiście? — pytał uradowany.

— Tak. I ciekaw jestem, czy każe licom moim spłonąć ze wstydu. Wiem przecież, że prorok zabrania zawstydzać gościa.

— Panie, jeśli to zrobisz, to będziesz gotów spełnić jeszcze jedną prośbę, a ja wielbić będę twą dobroć z dzieci na wnuki!

Pocziwy Achmed mówił już o swoich potomkach w drugim pokoleniu, zanim jeszcze mógł się rozmówić z babką swoich wnuków. Miłość to rzecz szczególna, zarówno w Laponii jak w Tunisie, nad Missisipi i u Papuasów; najlepiej pozostawić jej własną wolę.

— Jakie masz jeszcze życzenie? — zapytałem.

— Czy nie sądzisz, że mogliby mnie z Mochallah zaskoczyć?

— To bardzo możliwe.

— Sidi, ja nie mam nikogo innego. Niechaj twoje oko nas strzeże, abyśmy byli bezpieczni.

— Mój pocziwy Achmed ufał widocznie memu dobremu sercu. Ale czemu nie miałem mu wyświadczyć tej drobnej przysługi? Gdyby na mnie taka Mochallah czekała pod palmami, on byłby także z radością czuwał nad bezpieczeństwem naszego *rendez-vous*.

— Achmedzie es Sallah — odpowiedziałem na to — idź śmiało pod daktylę. Ja potrafię przytrzymać każdego ciekawskiego.

— O sidi, łaska twoja tak wielka, jako drzewo *esz szwab*, na którym spoczywa ziemia, a litość twoja sięga tak daleko, jak *czuur el dżinne*, rajskie ptaki, latają. Oddam ci życie moje, jeżeli zechcesz!

— Zachowaj je dla Mochallah „pachnącej”! Powiedz jej, że jestem twym przyjacielem, który przemówi za wami u jej ojca!

Po tej rozmowie poszedłem do namiotu szejka, gdzie Percy i Krüger–bej już stali. Ledwie się zatrzymałem przed namiotem, otworzyło się wejście i ukazał się szejek razem z Krumirem i starszymi.

— Co postanowiliście o tym człowieku? — zapytał pułkownik gwardii.

— Zgromadzenie było dla niego łaskawe — rzekł Ali en Nurabi: — On wypił wodę pozdrowienia, lecz nie jadł chleba ni soli gościnności. Przez trzy dni będzie bezpieczny w naszych namiotach i na naszych pastwiskach; po upływie jednak tego czasu, a nawet przedtem, skoro tylko przekroczy nasze granice, narazi się na krwawą zemstę.

— On ucieknie!

— Konia jego strzegą nasi ludzie.

— On mimo to ucieknie. Czy wiesz, szejku, że on należy nie tylko do was lecz także i do mnie?

— Dlaczego?

— Zaraz się dowiesz!

Krumir pozornie nie słyszał ani słowa z tej rozmowy. Oko jego spoczywało na przywiązanej w pobliżu siwce en Nurabiego, następnie prześliznęło się po namiocie kobiet, przed którym Mochallah zajęta była mieleniem *durrhy* na kamieniu. W spojrzeniu jego malował się wyraz pożądliwości i szyderstwa, a ja wyczytałem z jego twarzy, że zarówno koń, jak i piękna dziewczyna były dla niego czymś, o co warto było się pokusić. Po ostatnich słowach Krüger–beja zwrócił się do niego z dumnym wyrazem twarzy.

— Byłeś przed trzema tygodniami w Tunisie? — rzekł doń pułkownik.

— Co ciebie moje drogi obchodzi? — odparł.

— Więcej niż przypuszczasz! Czy zaprzeczysz temu?

— Nie chcę ani zaprzeczać, ani odpowiadać na cokolwiek. Jestem wolnym synem Dekmaka, ty zaś niewolnikiem baszy. Zaczekaj, aż zechcę z tobą pomówić!

— To zechciej, ty wolny ed Dekmaka, który jesteś jeńcem walecznych Uelad es Sebira. Ten obcy emir z Inglistanu widział cię w Tunisie.

— Niech sobie widzi kogo chce! Co mnie to obchodzi?

— Jechałeś na srokaczu.

Coś, jakby wyraz niepokoju, przemknęło po żelaznym obliczu Krumira, zapanował jednak nad sobą i odpowiedział:

— Czy ten obcy emir przybył z Inglistanu, tylko po to żeby oglądać srokacze?

— Skradziono go baszy, a ty jechałeś na nim z Bardo przez Manubę do gór Saghoan. Nie mogliśmy cię doścignąć.

Krumir zaśmiał się złośliwie.

— W takim razie ten srokacz był bardzo dobrym koniem! — rzekł. — Ten, kto go ukradł, jest widocznie lepszym jeźdźcem od tych, którzy go ścigali.

— A jednak dopędzili go, jak teraz widzisz. Saadies el Chabir, gdzie ukryłeś skradzionego konia?

— Ja?... Czy samum, zły wiatr pustylny, mózg ci wysuszył, że ośmieliłeś wypowiedzieć to pytanie?

Na te słowa pułkownik Mameluków położył dłoń na rękojeści jataganu i zawołał:

— *Kelb, ibn el kelb*, psie i psi synu, czy ty mnie znasz?

— Znam, ponieważ widziałem cię w el Marfa na ulicy sidi Morgiani i przed dar el bejz na czele niewolników. Pochodzisz z krajów północnych, gdzie mieszkają niewierni, których oby



Allah potępił! Czy jesteś jeszcze na tyle *rhassihm*, żółtodziobem, w krainie wiernych, że odważasz się nazywać psem Krumira z ferkah ed Dedmaka? Czy wiesz, że tylko z tym możesz się obchodzić jak ze złodziejem, kogo bezpośrednio po kradzieży zastaniesz na skradzionym koniu? Gdybyś był nawet dzisiaj zobaczył u mnie tego srokacza, nie byłby on skradziony, bo mogłem go otrzymać w podarunku, zamienić, albo kupić. Gdybyś nie był gościem tych ludzi, u których piłem wodę, ugodziłbym cię nożem. Ale powiedz jeszcze jedną obelgę, a dusza twoja pójdzie do ojców. Syn Krumirów nie pozwala obrażać się. Zapamiętaj to sobie!

Ta groźba nie wywarła żadnego wrażenia na czcigodnym Krüger-beju, bo przystąpił o krok bliżej i zapytał:

— Śmiesz kłamać, że nie ukradłeś tego konia?

— Nie mam potrzeby kłamać, ani przyznawać się do niczego. Mów, z kim chcesz, tylko nie ze mną!

— No, to dobrze, niech się spełni twoje życzenie, ale nie sądz, że umkniesz! — rzekł Krüger-bej, po czym zwrócił się do Alego en Nurabi. — A więc ten Saadis el Chabir jest rzeczywiście pod waszą opieką?

— Tak; przez trzy dni może wolno i bez przeszkody chodzić wśród nas. Czwartego dnia w porze *feczuru* otrzyma na powrót swego konia i będzie mógł się oddalić. Ale wraz z zorzą poranną popędzimy za nim, a jeśli go doścignemy, zabierzemy krew jego! Tak postanowiła rada starszych.

— Lecz on przedtem ucieknie!

— Przysiągł, że tego nie zrobi.

— Jaką złożył przysięgę?

— Na Allaha, na proroka i na wszystkich świętych kalifów.

— W takim razie dochowa przysięgi. Ja jednak nie przyłączam się do waszego postanowienia, gdyż nie przyrzekałem mu pozwolić na ucieczkę między mrokiem nocy a zorzą poranną. Zaczekam nań na granicy waszych pastwisk, by go tam pojmać i zabrać do Tunisu.

— Na to musimy się zgodzić. — odrzekł szejk — Ale zanim ty go zabierzesz do Tunisu, padnie od naszych kul. Teraz wejdźcie do namiotu! Dolatuje mnie już woń owcy, zabitej dla was.

Krumir odszedł z podniesioną głową, my zaś udaliśmy się do namiotu, gdzie nas obsługiwały Mochallah i jej matka. Ani szejk, ani nikt z jego ludzi nie wziął udziału w ucztce. Zwyczaj zakazywał im jeść przed pochowaniem zabitego towarzysza.

— Nad czym naradzał się ten gwardzista z szejkiem? — zapytał mnie sir Percy podczas jedzenia?

Gdy wytłumaczyłem całą sprawę, odpowiedział:

— To nędzny drab, ten Krumir! Taki łotr nie powinien nam umknąć! *Yes!* Ja także pomogę zabrać go do Tunisu.

— Zdaje mi się, że chcieliście przyłączyć się do mnie?

— Słusznie! Wy udajecie się na południe, a ja z wami, ale przedtem możemy przyczynić się do pojmania tego ptaszka.

— Zobaczymy! Janie wierzę ani jemu, ani jego przysiędze. Może jeszcze przed upływem umówionych trzech dni zajdzie coś nadzwyczajnego.

Zanim jeszcze przestaliśmy jeść, dały się na dworze słyszeć żałobne wycia, zabierano się do grzebania zabitego. Jako goście mieliśmy obowiązek przyłączenia się do żałobnej uroczystości, opuściwszy więc namiot, wyszliśmy przed obóz, gdzie wszyscy zgromadzili się dokoła zwłok, leżących w białym całunie obok płytkiego dołu. Tuż przy zwłokach stali krewni, a reszta grupowała się dokoła wielkim kręgiem. Kobiety i dziewczęta lamentowały przeraźliwymi głosami, mężczyźni zaś stali w milczeniu z posepnym, żądnym zemsty spojrzeniem. Krumira nie było widać; miał na tyle rozsądku, że się nie pokazał.

Ponieważ kapłana nie było we wsi, przeto zastępował go przy obrzędzie szejk. Podniósł rękę i natychmiast zapanowała zupełna cisza. Teraz zwrócił twarz w stronę Mekki i zaczął:

— W imię Boga wszechmiłosiernego. Na mądry kuran, tyś jest jednym z posłańców Boga, który ma nauczyć drogi prawdziwej. To objawienie wszechmocnego i wszechmiłosiernego Boga, iżbyś ostrzegł naród, którego ojcowie nie byli ostrzeżeni i dlatego żyli bez troski i lekkomyślnie. Wyrok na nich już zapadł, dlatego nie mogę wierzyć...

To był początek trzydziestej szóstej *sury*, którą Mahomet nazwał *kwelb el kuran*, czyli sercem Koranu. Odmawia się ją w godzinie śmierci lub na pogrzebie. Podczas słów: „Znakiem zmartwychwstania niechaj mu będzie martwa ziemia, którą deszcz ożywia na nowo”, położono trupa w grobie twarzą ku Mekce i zaczęto rzucać ziemię na umarłego. Podczas tego odmówił szejk *sura* do końca. Obok leżały już przygotowane kamienie, z których ułożono nad grobem mogiłę. W końcu odmówił szejk jeszcze *surę* siedemdziesiątą piątą i zakończył pogrzeb mahometańskim wyznaniem wiary: „Bóg jest jeden, a Mahomet jego prorokiem”. Kobiety zaczęły chodzić dokoła grobu, a mężczyźni szli szeregiem jeden po drugim i wbijali noże w ziemię na znak, że śmierć towarzysza broni ma być pomszczoną.

Gdyby Krumir był obecny przy tej osobliwej przysiędze, może nie potrafiłby zachować dumnej i pewnej siebie postawy. Gdyśmy weszli do namiotu szejka, zastaliśmy go na derce. Sądził, że tam jest najbezpieczniejszy. Pomimo swego niezbyt miłego położenia nie okazywał nam żadnych względów. Leżał wyciągnięty i obojętny, jak gdyby nie widział nas wcale. Ja i Krüger nie zważaliśmy na to, gdyż wystarczyło nam miejsca, żeby przykucnąć na sposób turecki, lecz sir Dawid Percy nie był przyzwyczajony do tej pozycji, którą na wschodzie nazywają *rahat olturmak*, spokojem członków.

— Zabierz nogi, łajdaku! — rzekł po angielsku, ale z takim ruchem ręki, że Krumir bezwarunkowo musiał zrozumieć.

Mimo to nie ruszył się.

— *Well!* Skoro nie chcesz, to się posuń!

Wziąwszy przy tych słowach Krumira za nogi, zrzucił go szybkim ruchem *zseriru* aż pod wejście, do namiotu. W tej chwili napadnięty zerwał się napadnięty z ziemi i skoczył ku Anglikowi. Sir Percy, jako zręczny bokser, uderzył go tak mocno pięścią w twarz, że ten stracił przytomność, a w następnej chwili wyleciał z namiotu.

Spotkanie przeciwników odbyło się tak szybko, że niepodobna było im przeszkodzić. Percy usiadł na posłaniu, ja zaś dobyłem noża, by mu dopomóc, gdyż spodziewałem się, że Saadis el Chabir poszuka sobie jakiejś broni i wtargnie znów do namiotu. Uderzenie jest dla Beduina największą obelgą, a zmyć ją można tylko krwią.

— Coście zrobili, sir? — zapytałem. — Teraz życie wasze jest w wielkim niebezpieczeństwie!

Anglik wyciągnął spokojnie jeden z pistoletów, odwiódł kurki i odrzekł chłodno:

— Życie moje w niebezpieczeństwie? W takim razie najpierw go zabiję. Nie mogę pozwolić koniokradowi na to, żeby się ze mną brutalnie obchodził.

— Na miłość Boga, nie strzelajcie! On pozostaje teraz pod osłoną całego szczepu i śmierć jego sprowadziłaby na was zemstę krwi.

— *Pshaw!* Czy może sądzicie, że Anglik zna strach lub obawę? Ten człowiek obraził mnie wedle zwyczajów mego kraju, za to ja obraziłem go wedle zwyczajów jego kraju. Tym samym sprawa między nami załatwiona. Jeśli mu to nie wystarczy, to już będzie jego rzecz. *Yes!*

Obawy moje co do wtargnięcia Krumira do namiotu nie spełniły się na szczęście. Krüger—bej potrząsnął głową, mówiąc:

— Ten ed Dedmaka stracił chyba poczucie własnej godności, inaczej bowiem życie naraziłby, byle pomścić tę obelgę, którą można chyba nazwać największą. Czy Anglik by go zastrzelił?

— Boję się o to.

— W takim razie musimy się zastanowić, jak temu zapobiec. Gdyby ten drab odważył się wejść do namiotu, przytrzymamy go, aby nie mógł się ruszyć. Potem zawołamy szejka i oddamy mu jeńca.

Do wykonania tego planu nie doszło, ponieważ Krumir się nie zjawił. Dopiero, gdy nadszedł szejka, dowiedzieliśmy się, że Saadis skarżył się przed nim na nas i zagroził nam ciężką zemstą. Na czas pobytu we wsi dano mu inny namiot.

Tymczasem upłynęło całe popołudnie, a z daleka zabrzmiały słowa: *Hai aal el sailah*, tak, gotuj się do modlitwy, kiedy słońce zanurza się w morzu piasku!

To nadszedł mogreb, czyli pora modlitwy o zachodzie słońca. Zanurziliśmy więc ręce w wodzie, wyszliśmy przed namiot, z wyjątkiem lorda, który został w namiocie, i upadliśmy na ziemię.

Po modlitwie szejka dosiadł konia, by postarać się o zabezpieczenie trzód. Przyłączyłem się doń, ponieważ zależało mi na tym, żeby pomówić z nim w cztery oczy o moim służącym, który był właśnie w *duarze* przy moim koniu.

— Achmedzie es Sailah — zawołałem nań — nie odstępisz od konia ani na chwilę i przywiążesz go na noc podczas snu do siebie!

— Rozumie cię, *sidi* — odpowiedział. — Nie tylko przywiążę go, lecz głowa moja spoczywać będzie na nim, kiedy się do snu ułoży.

— Na co ta ostrożność? — spytał szejka, jadąc dalej. — Czyż nie jesteś moim gościem, którego mienie, dopóki znajduje się u mnie jest bezpieczne?

— Czy oddasz mi mego ogiera, jeśli go jutro rano nie znajdziemy?

— Któżby go mógł uprowadzić?

— Saadis el Chabir.

— Mylisz się, on nas nie okradnie. Zresztą przysięga zatrzyma go u nas przez trzy dni.

— Ty możesz mu ufać, ale ja ani słowa mu nie wierzę. Czy wiesz, że on sam był w Wadi Milleg?

— Gdyby nawet miał towarzyszy, mimo to nie ośmieliłby się napaść na obóz Alego en Nurabi. Oni mnie znają. Jutro pojedziemy do Wadi Milleg, aby ich poszukać, jeśli się tam znajdują. Czy pojedziesz z nami, efendi?

— Nie.

— Dlaczego? Koń twój wypocznie do tego czasu.

— Wypoczynku ani ja nie potrzebuję, ani mój koń, jakkolwiek teraz jadę na jednym z twoich. Zostanę u ciebie jutro dlatego, że nie chcę, żebyś popełnił wielki błąd.

— O jakim mówisz błędzie?

— Czyż nie uważałeś za wielki błąd, że Achmed jeździł ze mną? A teraz sam chcesz, żebym ja był z tobą! O szejku, od kiedy to w kraju Uelad es Sebira panuje zwyczaj zasmucania gości? Przejechałem Saharę od Dżebel Abiad na zachodzie do Wah el Dakel na wschodzie, od Dżebel Aldeda w kraju Krumirów na pomocy do straszliwej pustyni Tintuma na południu. Byłem w Mafr, w świętym kraju el Arab, potem dalej na wschodzie aż u Kurdów i Persów, byłem w takich krajach i pośród takich ludów, których nazw ty nigdy nawet nie słyszałeś, ale nigdzie nie spotkałem szejka, który by pozwolił policzkom gościa spłonąć ze wstydu. Ja wiem, że mój kary zwyciężyłby twoją siwkę, zaniechałem jednak zakładu, gdyż mieszkam pod twoim dachem. A ty? Udam się stąd do krajów Kramemssa, Segrelma, Meszeer i Neszaima, pójdę nawet przez wielki szot, by odwiedzić jeszcze raz dzieci Merasiw. Cóż im wszystkim powiem, gdy mnie zapytają o szejka Alego en Nurabi z ferkah Uelad es Sebira? Będę musiał im powiedzieć, że obrażasz swoich gości, że nazywasz mnie *giaurem*, chociaż odmówiłem już dzisiaj z tobą *el azr* i *el mogreb*. Zowiesz mnie *giaurem*, ponieważ modłę się do Iza Ben Marryam. Ale co mówi o Nim twój prorok? Czyż święci i nauczyciele islamu nie uczą sami, że Iza Ben Marryam zejdzie w dzień sądu ostatecznego na meczet Ommajadów w Damaszku, aby sądzić żywych i umarłych? Dlaczego tedy nazywasz mnie niewiernym? Odpowiedz, szejku Ali en Nurabi!

Wyczytałem z jego twarzy, że słowa te wprawiły go w zakłopotanie.

— Kto ci powiedział, że nazwałem cię giaurem — zapytał po chwili. — Dlaczego pytasz, skoro wiesz dobrze, że tak zrobiłeś? Patrz, tu na mojej szyi wisi święta księga; jestem *hafizem*, czyli człowiekiem, umiejącym Koran na pamięć. Przyznaj, czy zasługuję na nazwę giaura? — Nie. Nie jesteś kafrem, ani giaurem!

— Dlaczegoż więc z powodu mnie gniewasz się na Achmeda es Sallah?

— Nie ze względu na ciebie gniewam się, lecz za to, że opuścił *duar*, aby pójść do miast.

— Wszak sam go wypędziłeś. On zaś poszedł, żeby zapracować sobie na cenę, której żądasz za Mochallah. A może uważasz za grzech, jeśli ktoś opuści ojczyznę? Czyż sam prorok nie mówi: „Widzisz wędrowca, idącego przez kraje i Allah jest z nim. Widzisz statki prujące wodę, abyście z dóbr Boga dostąpili bogactw i byli mu za to wdzięczni!” Czyż więc Achmed, opuszczając *duar*, działał przeciwko woli proroka?

— Nie.

— Dlaczegoż tedy gniewasz się na niego?

— Nie gniewam się na niego.

— A czemu odmawiasz mu Mochallah, duszy jego życia?

Szejk poczuł, że zapędziłem go w kąt, dlatego odpowiedział z wahaniem:

— Ja jestem szejkiem, a on tylko wojownikiem.

— Niech Allah kieruje twymi myślami! Czyż Achmed ciebie chce za żonę? On pragnie córki twej Mochallah, a ona nie jest szejkiem! Bóg tylko może wywyższać i poniżać. Achmed to człowiek mężny, wierny, prawdomówny, nabożny i rozumny. Pomyśl nad tym, o szejku, a uznasz, że jest godzien posiadać kwiat Uelad es Sebira.

Na tym urwała się rozmowa. Objechaliśmy obóz wielkim łukiem i powróciliśmy w porze aszii. Po skromnej wieczerzy rozniecono na środku *duaru* wspaniałe ognisko, dokoła którego zgromadzili się mężczyźni, aby przy dymie fajek usłyszeć po raz setny starodawne *hikkajah*, bajki lub przysłuchiwać się *aghani*, śpiewanym przy dźwiękach *rababah*. W godzinę potem udali się wszyscy na spoczynek.

W namiocie szejka porozkładano koce, które nas miały uchronić przed chłodem nocnym.

— Śpijcie spokojnie i bezpiecznie pod moim dachem — rzekł Ali en Nurabi. — Allah będzie z wami. *Leilkum zaaide*, życzę wam błogosławionej nocy!

W kilka chwil potem chrapał szejk na wszystkie tony gamy chromatycznej. Krüger-bej poszedł za jego przykładem, Anglik też wkrótce zasnął, ja zaś zabrałem rewolwery i wysunąłem się z namiotu.

W obozie panowała cisza. Z dała dolatywały głębokie, pośpieszne „ommu, ommu” hieny, na które odpowiadał szakał swoim jasnym „i-a-u”, a gdzieś bliżej odzywało się krótkie szczekanie fenneka. Achmeda zastałem na tym miejscu, na którym wedle mego zlecenia miał się znajdować. Leżał pomiędzy moim koniem, a swoim, owinawszy sobie dokoła ciała sznur, który łączył oba zwierzęta.

— *Hamdullillah*, dzięki Bogu, że przybywasz! — powitał mnie — Czekałem na ciebie jak noc na rosę.

— Dlaczego? Czy ci tak pilno? Pomoc jeszcze nie nadeszła.

— Nie, ale Mochallah, korona cór, już nadeszła i czeka tam pod palmami. Przechodziła o minutę przed tobą.

— Minutę? Całą minutę? To okropne! Teraz nie dziwię się, że czekałeś na mnie jak noc na rosę.

— Sidi, czy mówiłeś już z szejkiem?

— Tak.

— Cóż on na to?

— Nic. O tym możemy później pomówić. Spiesz się teraz, ażeby „korona cór” nie pognewała się na ciebie!

— Efendi, muszę ci przedtem coś powiedzieć.

— Co?

— Gdy nadszedł wieczór, usłyszałem na dole w krzakach szemt i lozl śpiewającego bulbula — słowika, a ponieważ lubię go słuchać, podszedłem bliżej. Stałem z końmi w zaroślach i zobaczyłem umykającego człowieka: nie był to kto inny, jak tylko Saadis el Chabir.

— Czy poznałeś go dobrze?

— Całkiem dokładnie.

— A on ciebie widział?

— Nie.

— Czy zdaje ci się, że uciekł?

— Nie; wszak przysiągł, że pozostanie.

— W takim razie wyjście jego nie jest podejrzone. W *duarze* nikt nie chce o nim wiedzieć, nuda więc wypędza go na pole.

— Panie, ja w to nie wierzę. Ten Krumir jest niebezpieczniejszy od *assaleh*, zmiji przynoszącej śmierć.

— Zgadnam się z tobą. Czy wrócił potem do *duaru*?

— Nie wiem, *sidi*, musiałem wrócić tutaj, abyś mógł mnie odszukać.

— Idź już. Gdybym coś zauważył, co mogłoby wam przeszkodzić, wydam cichy głos hedży, zbudzonej ze snu.

— Jak długo będziesz miał dla nas cierpliwość, *sidi*?

— Dopóki Mochallah nie otrzyma od ciebie ostatniego pocałunku. *Allah kerihm*, Bóg jest łaskaw, ale nie dla mnie, gdyż nie obdarzył mnie ani jedną Mochallah.

— Efendi, ty znajdziesz jeszcze bardzo wiele, gdyż ja rozniosę sławę twoją po wszystkich krajach ziemi. Możesz mi wierzyć!

Pocziwy Arab poszedł do swej „pachnącej”, ja zaś, jego pan musiałem zostać przy koniach. O losie, czyż to było słuszne i sprawiedliwe? Owinąłem się haikiem i przytuliłem do ciepłego ciała mojego konia i szeptałem mu do ucha *sury* Koranu. Przejąłem od jego poprzedniego właściciela ten zwyczaj, który okazał się bardzo pożyteczny, gdyż rączy jak ptak karosz nie uznawał nikogo za swego pana, kto wieczorem nie szeptał mu w ten sposób do ucha. To było także częścią „tajemnicy” tego konia.

Pod palmami pewnie *sur* nie szeptano, nie zazdrościłem jednak dzielnemu Achmedowi es Sallah. Nade mną rozpięto się sklepienie, głęboko granatowego nieba południowego.

Czekałem pół godziny, potem całą i znowu pół, a w końcu jeszcze pół... Mochallah, gdzież ten ostatni pocałunek, do którego przyrzekłem zaczekać? Aby się pozbyć urzędu strażnika, chciałem właśnie dać umówiony znak, kiedy na prawo ode mnie dał się słyszeć lekki szmer. Przyłożyłem ucho do ziemi i usłyszałem odgłos kroków, zbliżających się od strony palm i zmierzających ku namiotom. Zdjąłem z siebie czyn, prędzej biały burnus i równie jasną mahrameh tak, że mój ciemnoniebieski turecki strój trudno było odróżnić od otoczenia, położyłem się płasko na ziemi i podczołgałem się indiańskim sposobem tam, skąd doszedł mnie odgłos kroków.

Jakiś mężczyzna przesuwiał się ostrożnie pomiędzy namiotami. Ruszyłem za nim, korzystając z każdej osłony i starając się ciągle mieć namiot pomiędzy nim a sobą. Przed namiotem, szejka przywiązane były jego ulubione zwierzęta, a za namiotem kobiet leżała *atusza*, oraz kilka siodeł, którym się ten człowiek przypatrywał. Był to Krumir Saadis el Chabir.

Wracał tak późno z przechadzki. Dlaczego nie udał się zaraz do przeznaczonego sobie namiotu? Czemu szpiegował tutaj? W jakim celu wykradł się znowu z obozu? Postanowiłem dowiedzieć się o tym i dlatego udałem się za nim, jak mogłem, najostrożniej. Skierował się ku krzakom akacji i migdałów, o których Achmed przedtem wspominał. Zaledwie zmiarkowałem, że tam dąży, popędziłem w bok, ażeby przed nim się tam dostać. Zatoczyłem łuk dość wielki, ażeby nie mógł mnie poznać i popędziłem wielkimi skokami, ku zaroślom.

Stałem tam, wyprzedziwszy go o trzydzieści kroków, i położyłem się na ziemi. On zatrzymał się zaledwie o trzy kroki ode mnie i cicho klasnął w dłonie. Na ten znak usłyszałem szelest. Cofnąć się już nie mogłem, skoczyć w bok lub naprzód także nie, byłem więc bez wyjścia.

Wtem wysunęło się z zarośli kilka osób, a jedna z nich utknęła na mnie. Zerwałem się natychmiast z rewolwerami w rękach, aby ich uprzędzić, ale wypróbowane moje szczęście zawiodło mnie tym razem, Beduini natomiast zachowali całą przytomność umysłu. Zanim jeszcze zdołałem wymówić: „Kto tu?”, uderzono mnie w głowę, rewolwery wypadły z rąk, a ja runąłem nieprzytomny na ziemię...

## ABU' L AFRID

Nie był to pierwszy cios, który mi owej nocy podstępnie zadano. Dobroczyzna natura osłoniła mój mózg dość odporną warstwą kości i dzięki temu pokonywałem zazwyczaj rychło skutki takiego uderzenia. Tak stało się i tym razem. Przytomność wróciła mi niebawem, choć nie tak prędko, jak sobie tego życzyłem. Kiedy bowiem przyszedłem do siebie, klęczało na mnie cztery czy pięć postaci, które wsunęły mi właśnie knebel w usta, a teraz wiązały ręce i nogi tak mocno, że ruszyć się nie mogłem. Saadis el Chabir stał i kierował tą czynnością.

Dlaczego ci ludzie nie zabili mnie natychmiast? Skoro się tak nie stało, to najlepiej było udać omdlenie, w nadziei, że może usłyszę jakieś słowo, dotyczące mego przyszłego losu. To postanowienie okazało się już po kilku chwilach słuszne, gdyż usłyszałem pytanie Krumira:

— Rusza się?

— Nie — odpowiedział jeden z ludzi. — Jest sztywny jak włócznia. Dobrze go ugodziłem. Pewnie już nie żyje, ale wolę go jeszcze pchnąć nożem w serce.

— Nie czyn tego! Słyszałem z rozmów Uelad Sebira, których oby Allah potępił, że ten człowiek jest bogatym emirem z Zachodu. Jeśli się obudzi, zabierzemy go z sobą i zażądamy potem wielkiego okupu. Na razie wpadł w nasze ręce i szkodzić nam nie będzie.

— Czego on tu mógł chcieć?

— Nie wiem. Może to poeta, który chciał mówić z *el kamarem*, księzcym, bo ci synowie książąt z obcych krajów są podobno wszyscy poetami. Zostawcie go tak; zagładniemy tu później.

— Co teraz rozkażesz? Czy rzeczywiście zabierzemy białą klacz?

— Nie tylko ją. Jeszcze karego ogiera, o wiele cenniejszego od tej klaczy. Należy do tego cudzoziemca.

— Hm, wszyscy bracia będą nam zazdrościli zdobyczy!

— I jeszcze coś. Mamy bent es Sebira, piękniejszą nad wszystko, co widziałem dotychczas. Posłuchałem, że znajduje się pod palmami.

— Sama?

— Nie; jest przy niej jeden z młodzieńców...

— Którego zabijemy.

— Nie. Najmniejszy szmer mógłby nas zdradzić. On nie wróci z nią do *duaru*, ponieważ ma pilnować ogiera. To córka szejka Alego en Nurabi. Zaczaimy się na nią, kiedy będzie wracała do domu i nie pozwolimy jej wydać głosu z siebie. Jeden z was ją uprowadzi. My zabierzemy klacz i hedżina, przywiązane przed namiotem szejka. Obok leży lektyka.

— Posłysz nas. Szejk trzyma niewątpliwie dobre psy.

— One mnie już znają, gdyż leżałem przy nich w namiocie. Jeden uprowadzi dziewczynę, jeden zabierze klacz, jeden wielbłąda, a jeden *atuszę*. Potem pójdziemy za *duar* po ogiera, będziemy musieli zabić dozorcę.

— Gdzie się zbierzemy?

— Wprost na południu przed obozem u wejścia do pierwszego parowu, schodzącego na dół do rzeki.

— A jeśli nas posłyszają i odkryją?

— Wstydź się, chłopcze! Czy kogoś z nas kiedy odkryto? Czy oczy nasze nie są jako oczy pantery, a stopy nasze nie są jako stopy fenneka, albo kota. Czy nie ma dość koni do ucieczki, zanim jeden Sebira zdoła podnieść strzelbą do strzału? A może sądzisz, że należy postępować jeszcze ostrożniej? W takim razie dobrze. Porwiemy najpierw córkę szejka, Mochallah, i odeślemy w bezpieczne miejsce. Potem zakradniemy się we trzech przed namiot szejka. Wreszcie na dany przeze mnie znak każdy z nas spełni zleczone mu zadanie. Ostatni pośpieszy po tego Franka, którego jednak porzucimy na wypadek niebezpieczeństwa.

— A potem nie wrócimy do Bah el Halua?

— Nie. Udamy się natychmiast na południe, przejdziemy przez Bah Abi—da i skierujemy się w poprzek przez pustynię er Ramada do Dżebel Tibuasza, za którymi leżą *duary* Beduinów Meszeer, a ci uchronią nas, gdyby es Sebira chcieli nas ścigać. No, czas na nas, abyśmy się nie spóźnili na powrót dziewczyny!

W następnej chwili zniknęli wszyscy, nie wydawszy głosu z siebie, ja zaś leżałem skrepowany i zakneblowany, bezsilny jak dziecko.

Znajdowałem się rzeczywiście w okropnym położeniu. Znałem cały nikczemny plan tych ludzi, a nie mogłem mu przeszkodzić! Dobrze osądziłem Krumira! Miał zamiar złamać przysięgę, a oprócz tego uprowadzić trzy najlepsze zwierzęta z obozu, oraz córkę szejka i mnie. W dodatku miano zabić poczciwego Achmeda. Znając chytrą i przezorność, z jaką syn pustyni dokonuje takich zuchwałych przedsięwzięć, nie wątpiłem ani na chwilę, że zamach się uda.

Wyteżyłem wszystkie ścięgna i mięśnie i podniosłem się w pętach tak, że mi się wciąły głęboko w ciało, ale nie puściły. Próbowałem językiem wytrącić z ust knebel, ale na próżno, gdyż przymocowany był chustą, którą obwiązano mi nos i usta. Musiałem wyrzec się wszelkich wysiłków, gdyż groziły mi uduszeniem. Jedno tylko mogłem uczynić: ukryć się tak, ażeby mnie Krumir nie znalazł. Gdyby mi się to udało, wówczas można było naprowadzić Uelad es Sebira na ślad zbójów i nie tylko pomścić śmierć Achmeda, lecz także odebrać Mochallah i zwierzęta. Spróbowałem więc potoczyć się na inne miejsce. To mi się powiodło i niebawem znalazłem się tak daleko od pierwotnego miejsca, że czułem się dość bezpieczny. Najważniejsze zaś to, że tocząc się, nacisnąłem ciałem na rewolwery, które były mi przedtem wypadły. Ponieważ miałem ręce związane tylko w przegubach, przeto po pewnym wysiłku zdołałem jakoś rewolwery pochwycić palcami i utrzymać w garści. Jeśliby nie powróciło do mnie więcej rozbójników tylko jeden i gdyby ten znalazł mnie nawet na nowym miejscu, spróbowałbym pomimo niekorzystnego położenia rąk strzelić do niego... Strzelić? Czyż miałem czekać, dopóki mnie nie znajdą tutaj? Czy nie mogłem zapobiec całemu napadowi?

Ledwie mi to na myśl przyszło, już wprowadziłem postanowienie w czyn. Nadawszy lufie rewolweru położenie, wykluczające wszelkie dla mnie niebezpieczeństwo, wypaliłem wszystkich sześć naboń. Strzały zahuczały w cichą noc tak ostro i jasno, że musiały obudzić najgorszego śpiocha. Zaledwie przebrzmiał ostatni wystrzał, doleciał mnie krzyk sępa brodacza. Czyżby to był „znak Beni Hamemów”, o którym Krumir wspominał? Jeszcze przez pół minuty panowała cisza, a potem usłyszałem dwa wystrzały z pistoletów, po czym podniesiono w obozie głośne wołania. Rozpoczął się zgiełk, wzmagając się z każdą chwilą.

Kto mógł dać te ostatnie strzały? Krumir? Mogłem się założyć, że poznałem dobrze głos pistoletu, z którego padły te strzały. Był to pistolet Achmeda. Wrzaski zmieniły się wkrótce w wycie wściekłości, a po chwili zagłuszył wszystko głos szejka, wołającego o Mochallah, o klacz i o wielbłąda. Potem doleciał mnie głośny krzyk Achmeda, pytającego, czy mnie kto gdzieś nie widział.

Na to wypaliłem z rewolweru. Nastąpiła chwila ciszy, a potem zawołał Achmed:

— Sidi! O, to mój efendi, gdyż żaden z nieprzyjaciół nie ma takiego rewolweru, jak on. Sidi, Sidi!

Strzeliłem po raz wtóry.

— Czemu nie odpowiada ustami? — wołał wiemy sługa — *Allah kehrim*, Bóg jest łaskaw! Mój efendi nie może przemówić; jest widocznie w niebezpieczeństwie! Trzymajcie jego konia, ja muszę śpieszyć do niego!

Podziękowałem Bogu za ocalenie Achmeda i konia, a usłyszawszy z zarośli odgłos zbliżających się kroków, wypaliłem po raz trzeci.

— Tutaj! — krzyczał Achmed. — Chodźcie na pomoc!



Z gotową do walki bronią wtargnęli Arabowie do zarośli. Zdawało im się, że walczą z jakimś nieprzyjacielem, lecz zatrzymali się, przypuszczając podstęp, ponieważ nie dostrzegli nikogo. Tylko dzielny Achmed parł naprzód. Czwartry strzał wskazał mu jeszcze raz właściwy kierunek, a niebawem wierny sługa stanął przede mną.

— *Maszallah*, skrepowany! — zawołał, schyliwszy się i obmacawszy mnie. — Sidi, efendi, czy to ty jesteś? To ty strzelałeś? *Wallahi, billahi, tallahi*, oni mu usta zatkali!

W jednej chwili usunął knebel, a poznawszy mnie po głosie, krzyknął z radości i poprzecinał szybko więzy.

— To on! Chodź tutaj, szejku! On nam wyjaśni wszystko! Wybiegłem z zarośli wprost na Ali en Nurabi.

— Efendi — spytał gwałtownie — gdzie jest Mochallah, dziecko duszy mojej? Gdzie moja klacz i gdzie mój biszarin hedzin?

— Powiedz ty najpierw, gdzie jest Saadis el Krumir! — odpowiedziałem.

— Nie ma go!

— Jak to? Uciekł?

— Tak.

— Mimo przysięgi?

— Złamał ją. Oby go Allah potępił!

— Widzisz więc, szejku, że miałem słusność. Krumira oko było okiem zdrajcy. Giaur dotrzymuje słowa, a ten muzułmanin składa przysięgę na brodę proroka i na wszystkich świętych kalifów, a potem ją łamie. *Aaib aaleihu, hańba mu!* Lecz on nie tylko złamał dane słowo; porwał także twoją córkę i dwa najlepsze zwierzęta.

— Więc to prawda, efendi?

— Tak.

— Niechaj niebo zapadnie się nad tym kłamcą i zbójcem, niechaj się ziemia otworzy i niech go pochłonie razem z jego ojcem i ojcem ojca i wszystkich jego przodków aż do Adama, którego są potomkami.

— Zapominasz, że ty także jesteś potomkiem Adama.

— Wszystko mi jedno. Mnie porwano klacz, wielbłąda i córkę. Co mnie obchodzą wszyscy przodkowie i potomkowie całego świata! Efendi, dopomóż! Ty jeden wiesz, gdzie on umknął!

— Namyślmy się najpierw spokojnie nad wszystkim! Sądzę, że...

Przerwał mi gwałtownie:

— Namyslać się? Efendi, zanim się namyślimy, zbój nam ucieknie! Dalej, mężowie, bohaterowie, w pogoń!

— Gońcie! — odparłem na to spokojnie. — Ale mnie pozwólcie położyć się i wypocząć. Ani kropli snu nie miałem dzisiaj na oczach.

— Panie, czy nie żartujesz przypadkiem?

— Nie żartuję wcale.

— Chcesz jako mój gość spać, kiedy ja krzyczę za moim dzieckiem, klaczą i wielbłądem? Czy nie wiesz, że spotkałaby cię za to pogarda wszystkich Bedawi?

— Nie boję się o to, gdy prześpię się, sprowadzę ci córkę i zwierzęta. Ty natomiast przewrócisz świat, lecz nic nie odzyskasz.

— To powiedz, co mam począć! Będę ci posłuszny.

— Większa część twych wojowników jest w obozie. Zobaczmy, czy nie brak człowieka, zwierzęcia lub jakiejś rzeczy! Potem niechaj się zejda wszyscy mężowie, by wysłuchać dalszego planu działania. Tymczasem zbierze się *dżemma*. Weźmie w niej udział jeszcze czterech ludzi, a mianowicie bej mameluków, emir z Inglistanu, ja i Achmed es Sallah.

— Achmed es Sallah? On, na co?

— Ali en Nurabi, powiadam ci, że tylko wtenczas odzyskasz córkę i zwierzęta, jeśli wyświadczysz Achmedowi ten sam zaszczyt, jaki spotyka innych wojowników. Czyń, co chcesz!

— Niech się stanie, jak rzekłeś. Chodźcie wszyscy!

Popędził przodem, a jego ludzie za nim. Po drodze przyłączył się do mnie Achmed. Słyszał każde moje słowo i domyślił się, że zamierzałem coś, co jemu miało wyjść na korzyść.

— Achmedzie, czy mój koń bezpieczny — zapytałem. — Słyszałem głos twój, że oddałeś go jednemu z ludzi.

— Tak, sidi. Możesz być spokojny. Tam między namiotami stoi twój ogier!

— Dziękuję! Opowiedz, co się stało! Gdy czuwałem przy koniach, zobaczyłem Krumira, idącego od palm, gdzie was podsłuchiwał i udałem się za nim aż do zarośli, gdzie jego ludzie powalili mnie i związali.

— Powalili i związali? Ciebie, sidi? To pierwszy raz cię zwyciężono!

— Zaskoczyli mnie tylko, a nie zwyciężyli. Opowiadaj!

— Kazałem Mochallah odejść do namiotów i zczekałem jeszcze trochę. Kiedy potem wróciłem do koni, leżały jak przedtem, ale ciebie nie było. To zaniepokoiło mnie bardzo. Wiedząc, że nie dowierzałem Krumirowi, doszedłem do przekonania, że zostałeś przy koniach, gdyby cię coś ważnego nie odciągnęło. Wziąłem do rąk pistolety i patrzyłem w ciemność. Wtem usłyszałem sześć szybkich strzałów z twego rewolweru, a zaraz potem okrzyk el bidża, wielkiego sępa brodacza. Musiał to być znak, gdyż el bidż nie gada tak po nocy. Równocześnie wypadli z obozu trzej ludzie i podbiegli ku mnie. Pomyślałem sobie, że to zbóje i zastrzeliłem jednego, a drugiego zraniłem. Kiedy podniosłem drugi pistolet, zniknął raniony razem z trzecim.

— Czy ten człowiek rzeczywiście nie żyje?

— Tak.

— Czy przypatrzyłeś mu się dobrze?

— Całkiem dokładnie. Kula mu przeszła przez złe serce.

— Czy to Krumir?

— Nie. Uelad Hamema.

— Zapamiętaj więc sobie, że krzyk el bidża, to znak ataku Beni Hamemów. To się nam może przydać. Teraz chodź na zgromadzenie!

— Sidi, wyświadczyłeś mi tym największą łaskę, zmuszając szejka do wezwania mnie między starszyzną!

— Ciesz się! Odbierzemy Mochallah, a potem zostanie twoją żoną.

— Czy to możliwe, o panie?

— Spodziewam się, jeśli zostaniesz nadal wiernym i walecznym.

— Efendi, ja przewrócę góry el Hanenni i Aures, jeśli przez to zdołam odzyskać królową córek, Mochallah!

Nakazałem Beduinowi, trzymającemu mego konia, nie spuszczać go z oka. Następnie poszedłem przed namiot szejka, gdzie właśnie wzięto się do rozniecenia ogniska i ułożenia tapczanów dla *dżemmy*. Szejk, targany niepokojem, całą mocą charakteru nie poddawał się rozpacz. Przyniesiono nawet starym zwyczajem fajki. Ja usiadłem na honorowym miejscu, obok szejka, a koło nas sir Percy i Krüger-bej. Achmed es Sallah zajął miejsce na samym końcu. Ali en Nurabi nie mógł już dłużej wytrzymać. Narada była bardzo ważna, musiano więc odmówić *fathę*, pierwszą *surę*. Ali rozpoczął:

— W imię Boga wszechmiłosiernego! Chwała i dzięki Bogu, panu światów i wszechlitościowemu, który panować będzie w dzień sądu. Tobie pragniemy służyć, ciebie błagać, abyś nas prowadził drogą prawą, drogą tych, którzy cieszą się twoją łaską, a nie tych, na których się gniewasz, nie drogą błędzących!

Potem usiadł znów na piętach i zwrócił się do mnie: — A teraz mów, efendi! Dusza moja pić będzie każde twoje słowo, a serce moje pragnie każdego dźwięku ust twoich!

— Gdzie widziano dziś Krumira? — zapytałem szejka.

— Nad Bah el Halua.

— Tam ukryli się synowie Hamemów, aby napaść na *kaffilę*. Jak ją obronisz?

— Ależ, teraz mamy mówić nie o *kaffili*, lecz o pogoni za Krumirem. Radź prędko, jeśli nie chcesz, żeby mnie niecierpliwość zabiła!

— Ali en Nurabi, szejkowi przystoi niewzruszone oblicze i mowa spokojna, nawet jeśliby samum szalał w jego duszy. Nie zawsze najszybszy biegun przybywa pierwszy. Pozwól, że opowiem pewną historię.

— Efendi, chcesz opowiadać historie, a tymczasem mnie zabija niepokój!

— Wiem, że nie umrzesz! Po drugiej stronie wielkiego morza jest kraj szeroki, a zamieszkują go ludzie dzicy i zwierzęta dzikie. Walczyłem z tymi ludźmi, przeżyłem z nimi wiele przygód i zabijałem te zwierzęta. W owym kraju rośnie złoto pod ziemią, a wielu udaje się tam, aby je zbierać. Jechałem raz z trzema myśliwymi przez puszcę i przybyłem wieczorem na miejsce, gdzie mieszkało wielu ludzi, wykopujących złoto z ziemi, którzy zaprosili nas, żebyśmy byli ich gośćmi. Jedliśmy więc z nimi, piliśmy, paliliśmy i spaliśmy u nich. Postawiony przez nich na straży człowiek zasnął, a kiedy przyszedł drugi, by go zastąpić, złoto już było skradzione. Wszyscy mężowie pochwycili za broń, aby ścigać złodzieja. Radziłem, żeby poczekali do rana, kiedy będzie widać ślady. Lecz oni nie posłuchali mnie i pospieszili za złodziejem. Zostali tylko dwaj dla pilnowania obozu. Nazajutrz wyruszyłem ja, z trzema myśliwymi, aby szukać złota skradzionego ludziom, z których gościnności korzystaliśmy. Znaleźliśmy złoto, walczyliśmy ze złodziejami, a zabiwszy kilku, odebraliśmy im zdobycz. Już trzeciego dnia przynieśliśmy złoto do obozu. Natomiast ci, którym było tak pilno, wrócili dopiero za tydzień. Byli zmęczeni i głodni, lecz złota nie odszukali. Czy domyślasz się szejku, dlaczego opowiadam ci tę historię?

On skinął niecierpliwie głową i zapytał:

— Sądzisz więc, że powinniśmy pójść za Saadisem el Chabir dopiero z brzaskiem dnia?

— Tak, dopiero o świcie, a może nawet później.

— Panie, w takim razie umknie nam! — wybuchnął.

— Czy wiesz, dokąd się zwrócił w ucieczce?

— Nie. Kiedy wyszedłem z namiotu, nie było już kłaczy, ani wielbłąda, a potem zauważyłem także brak mej córki mego serca, Mochallah. Nie widziałem żadnego z rozbójników.

— Czy zatem wiesz, gdzie się masz skierować, żeby ich znaleźć?

— Nie, ale ty to wiesz.

— Wiem, ale musisz poczekać, dopóki nie przeszukają obozu. Teraz odpowiedz mi, jak zamierzasz bronić *kaffili*.

— Co mnie dzisiaj *kaffila* obchodzi? Na to Krüger-bej podniósł rękę i rzekł:

— Co cię obchodzi *kaffila*? Bardzo powinna cię obchodzić, Ali en Nurabi. Ja siedzę tu w imieniu mojego władcy. Mohammed es sadak-bej, pan na Tunisie, powierzył wojownikom es Sebira obronę karawan. Czy chcesz gniew jego sprowadzić na głowę swoją i swoich ludzi?

— Ja nie jestem szejkiem wszystkich Sebira!

— Ale na twoim gruncie ma napad nastąpić! A może Bah el Halua leży na terytorium innego szejka?

— Leży na moim. Allah jednak oświeci twoją duszę, abyś poznał, że potrzebuję dziś wojowników do ścigania Krumira.

— Wszystkich?

— Wszystkich!

— On ma przy sobie tylko pięciu ludzi! — wtrąciłem.

— Mimo to potrzeba mi wszystkich ludzi. Chcąc go dopędzić, musimy się rozdzielić, aby mu odciąć wszelkie drogi. Przy trzodach musi także zostać pewna liczba.

— Nie będziemy się rozdzielać — odrzekłem. — Pomówimy o tym później. Oto nadchodzą ludzie, którzy powiedzą coś o poszukiwaniach.

Miałem słuszną. Nadeszło kilku ludzi, którzy oświadczyli, że oprócz córki i zwierząt szejka, brak kilku bezwartościowych dywanów, które wieczorem rozwieszono.

— A gdzie atusza? — spytałem szejka.

— Jaka atusza?

— Twoja, która była za namiotem.

— Co się z nią stało?

— Czy jest, czyjej nie ma?

Szejk wstał, aby sprawdzić i powrócił ze złą wiadomością.

— Krumir zabrał ją z sobą — wyjaśniłem. — A ponieważ potrzebował koców do przymocowania lektyki na wielbłądzie, przeto wziął także dywany. Pozwólcie, że opowiem teraz, co przeżyłem, gdy spaliście!

— Opowiedz, opowiedz! — zawołano dokoła.

— Saadis el Chabir w moich oczach nie znalazł wiary. Nie wierzyłem jego przysiędze, a widziałem spojrzenia podziwu, jakie rzucał na mego konia. Mój wierny Achmed czuwał wprawdzie przy koniu, ale ja mimo to wstałem, gdy wyście spali, aby się przejść po *duarze*. Wtem spostrzegłem Krumira, idącego przez obóz do krzaków, w których potem mnie znaleźliście. Poszedłem za nim. Nie wiedziałem jednak, że on wezwał sześciu swoich Uelad Hamemów, którzy napadli na mnie z tyłu i powalili na ziemię. Nie myśleli, że jestem przytomny i dzięki temu udało mi się podsłuchać cały plan, o którym rozmawiali.

— Co mówili? — pytał szejk.

— Chcieli porwać Mochallah, twoją klacz, hedżina i mego karego, a ponieważ wiedzieli, że Achmed es Sallah dobrze strzegł mojego konia, przeto postanowili go zabić. Nie udało im się to, a Achmed zmusił ich do ucieczki.

— Czy więcej nic nie słyszałeś, efendi? — zapytał Ali en Nurabi.

— Pomyślę jeszcze o tym. Hamemowie związali mi ręce i nogi, a potem wsadzili w usta knebel. Ułożyli sobie, że mnie potem zabiorą, abym zapłacił wysoki okup. Skoro tylko się oddalili, pochwyliłem związanymi rękami rewolwery, które mi wypadły, podczas uderzenia wystrzałem i obudziłem was. Teraz wiecie już wszystko.

— Ale ty wiesz, dokąd udał się Krumir?

— Pomyślę nad tym. Szejku, podziękuj Achmedowi es Sallah, że nie zasnął, lecz czuwał! Jego oba wystrzały huknęły silniej niż moje. Jemu masz dużo do zawdzięczenia.

— Czy ocalił mi córkę, klacz i hedżina?

— Tego nie mógł uczynić, ale może ci dopomóc w ich odzyskaniu.

— On?

— Tak, on!

— Dowiedz tego, efendi!

— Nikt z was nie wie, dokąd zwrócił się Krumir, na północ, czy na południe, na wschód, czy też na zachód, dlatego musicie poczekać do rana, aby odczytać jego *daib* i *ethar* — trop i ślad. Czy jest w waszym szczepie człowiek, któryby się nigdy nie pomylił w rozpoznaniu tropu?

— Wszyscy umiemy odczytywać ślady ludzi i zwierząt — odrzekł szejk, a po minach innych poznałem, że byli tego samego zdania.

Gdyby ci Beduini zobaczyli Apacza lub Komańcza „na tropie”, nabraliby nieco pokorniejszego wyobrażenia o sobie. Ja jednak nie dałem nic po sobie poznać i rzekłem:

— W takim razie nie obawiaj się, szejku. Możemy spokojnie położyć się spać, gdyż rano wszyscy twoi wojownicy poznają trop, a ty rychło odzyskasz swoją własność.

— Nie wierz w to, panie! — zawołał. — Rosa i wiatr nocy zatrą ślady. Czyż nie wiesz, że trop można tylko przez godzinę dokładnie odczytać?

— Ja znam takiego, który każdy darb i ethar jeszcze po tygodniu potrafi odczytać. Kogo on ściga, ten mu nie ujdzie, choćby uciekał przez całą pustynię Saharę.

— Kogo masz na myśli, efendi? Ten człowiek ma chyba oczy jak Dżebrail, widzący przez skały.

— Jest nim siedzący tu mój przyjaciel i towarzysz, Achmed es Sallah. Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem na poczciwego Achmeda, on zaś rzucił na mnie pełne zdumienia spojrzenie. Wszak o prawdziwym śledzeniu tropu nie miał on większego pojęcia niż każdy inny Beduin. — Prawda to? — zapytał szejek z podziwem.

— Wątpisz może? W owej dzikiej krainie, o której wam opowiadałem, szedłem nieraz miesiącami za tropem, dopóki nieprzyjaciel nie wpadł mi w ręce. Ścigałem go przez pustynie i bagna, przez bory i łąki, przez skały i góry, przez doliny i parowy, przez potoki, wsie i miasta. Nieraz dzieliła mnie od niego przestrzeń całych tygodni, a często ledwie godzina. Pytałem o niego liście drzew, źdźbła trawy, woń ognia, wodę potoków, mech po jaskiniach, rumowiska na zboczach i śnieg na górach. Wszędzie otrzymywałem dokładną odpowiedź i dostawałem w końcu w swe ręce tego, którego szukałem. Czy sądzicie, że Achmed es Sallah, który jeździł ze mną długo, nic się nie nauczył? Achmedzie, odpowiedz sam: czy spodziewasz się odnaleźć Krumira? Pytanie to dławilo go chwilę, lecz odpowiedział pewnym tonem.

— Na brodę proroka, znajdę go! Na to zwrócił się szejek do niego:

— Czy znajdziesz także moją klacz, wielbłąda i córkę moją? Poczciwy Achmed rzucił najpierw na mnie pytające spojrzenie. Zaczynał rozumieć moje postępowanie, a kiedy w mych oczach dostrzegł zachętę, odrzekł bardzo stanowczo:

— Znajdę wszystko!

— Achmedzie es Sallah, jeśli sprowadzisz na powrót moją córkę i zwierzęta, zabijesz rozbójnika, otrzymasz za to ode mnie dwa konie, trzy wielbłądy i pięć owiec — przyrzekł szejek. — Czy będziesz z tego zadowolony?

A ty stary; skąpy potomku Hagary i Izmaela! Czekaj, bratku zaraz ja ci inny rachunek zaśpiewam! Przybrawszy wyraz wielkiego zdumienia, zapytałem:

— Ali en Nurabi, ile wynosi diszal za dorosłego wojownika? Słyszałem, że u czterech plemion Krumirów, do których należy Saadis el Chabir i u dziewięciu szczepów beni Rabka, do których wy się zaliczacie, płaci się pięćdziesiąt wielbłądów albo trzysta owiec.

— Tak jest.

— To dobrze! Saadis el Chabir zabił jednego z waszych ludzi, zawisła więc nad nim *thar*, cena krwi. A zatem już samo pochwycenie jego osoby przedstawia dla was wartość pięćdziesięciu wielbłądów albo trzystu owiec. Powiedz teraz, szejku, jak wysoko cenisz swoją córkę, klacz i biszarina? Jeżeli Achmed es Sallah pokona Krumira i odbierze mu łup, ty nie zdołasz mu tego wynagrodzić nawet wielu trzodami. A tymczasem obiecujesz mu tylko dwa konie, trzy wielbłądy i pięć owiec! W Koranie możemy przeczytać: „Kto tu na ziemi daje bratu swemu mniej, aniżeli powinien, temu odbiorą przy zmartwychwstaniu sto razy tyle; albowiem Allah jest sprawiedliwy i jeden wart w obliczu Jego tyle, co drugi, a wszystko co posiadacie, On wam pożyczył”. Tak głosi wasz prorok. Jesteś niewiernym, skoro nie postępujesz wedle jego przykazań. Czyż nie odmawiałeś przedtem świętej el fatcha, czy nie powiedziałeś przy tym: „Nie prowadź nas drogą tych, na których się gniewasz, ani drogą błądzących!” Czy chcesz, wbrew własnym modłom, pójść drogą błądzących?

Arab spojrział przed siebie ponuro, lecz zauważył wrażenie, jakie słowa moje wywarły na innych.

— Panie — odezwał się po chwili — wiem, że jesteś *hafiz*, że umiesz Koran na pamięć i że znasz wszystkie słowa proroka i jego następców, wiadomo ci jednak, że Allah jest łaskawy i

miłosierny. Czy chcesz być okrutnym względem tego, który ci swój namiot otworzył? Czy Achmed es Sallah nie może mówić sam za siebie?

— Słowa twoje brzmią mądrze, a mowa jest mową męża, któremu Allah dał łaskę myślenia. Aleja nie jestem na drodze niesprawiedliwości, a noga moja kroczy ścieżką pokoju. Achmed es Sallah, to mąż i wojownik, który potrafi mówić za siebie, teraz jednak ja biorę słowa z ust jego i kładę je na wargach innego. Gniewałeś się dziś na niego, a mnie nazwałeś niewiernym, usta więc moje będą zamknięte. Kto inny przemówi za nami; tego będziesz musiał wysłuchać i odpowiedzieć. Myślę o walecznym beju gwardii przybocznej, który siedzi między nami.

Krüger–bej zwrócił się szybko do mnie i zapytał:

— Do pioruna, co to jest? Pan wygłosił tu mowę, która zrobiła potężne wrażenie, lecz ja jej nie zrozumiałem niestety. Ja mam przemawiać? O czym to?

— Posłuchaj pan, pułkowniku! — odrzekłem. — Jak powiedziałem, służący mój kocha córkę szejka...

— Wiem o tym. Ja także pokochałbym ją, gdyby miłość nie miała czasem zwyczaju, nie doznawać wzajemności. Spóźniony wiek i inne przymioty, czasem nie całkiem tak bywają kochane, jakby się chciało, żeby były kochane. Zrozumiano?

Omam nie parsknąłem śmiechem. Ten bej gwardii przybocznej wyrażał się z klasyczną prawie dokładnością o właściwościach miłości. Zapanowałem jednak nad sobą i mówiłem w dalszym ciągu:

— Szejek zrobił mu niegdyś nadzieję i wyznaczył cenę, za którą miał dziewczynę otrzymać.

— Czy zdoła zapłacić tę cenę?

— Tak. Był w Konstantynopolu i w Algierze, aby sobie na nią zarobić. Teraz zaś, kiedy powrócił, może nie dostać dziewczyny za to właśnie, że był na obczyźnie i jest moim sługą.

— Pańskim? Czemu właśnie dlatego?

— Ali en Nurabi nazwał mnie niewiernym.

— Do pioruna! Niech go kaczka kopnie! Niewiernym można nazwać tylko tego, kto albo prawdziwej wiary nie ma, albo ma własną bez kościoła i bez meczetu.

— Całkiem słusznie, panie pułkowniku! Teraz ja i dzielny Achmed mamy do pana prośbę, żebyś był u szejka jego swatem. I to zaraz. Wiem, jaką wagę będą miały słowa pańskie, oraz jak pan potrafi przemówić do serca, a w końcu przypuszczam, że i panu się to przyda.

— Mnie? Wytłumacz mi pan to!

— Bez Achmeda es Sallah niepodobna pochwycić Krumira, ujęcie zaś tego łotra leży także w pańskim interesie, ponieważ on ukradł konia baszy Mohammeda es Sadak.

— To słuszne, a także słowa wasze o serdeczności i głębi serca nie są pozbawione racji. Z tego też powodu przyjmuję z radością pańskie polecenie. Ponieważ zaś nie cierpi ono zwłoki, przeto pozwoli pan łaskawie, że zaraz zacznę przemowę. Proszę uważać, jaki szacunek sobie tym zdobędę!

Był już ostatni czas, żeby pułkownik zabrał głos, gdyż szejek nie mógł już zapanować nad zniecierpliwieniem. Kiedy Krüger–bej stanął przed nami i szczególnym ruchem ręki nakazał milczenie, byłem głęboko przekonany, że dokona czegoś większego, niż to, co poprzednio w ojczyznym języku skleił w rozmowie ze mną.

— Posłuchajcie mnie — rozpoczął wreszcie — najstarsi z ferkah Uelad es Sebira, a ty Ali en Nurabi użycz mi swojego ucha! Stoję tu jako wierny sługa proroka oraz osłona i tarcza mojego władcy, który się zowie Mohammed es Sadak–basza. Ty siedzisz tutaj, o szejku; setki wojowników słuchają słów twych, a tysiące dusz należą do ciebie. Słowo twoje jest jako przysięga, a do końców twjej brody nie przywarło niespełnione przyrzeczenie. Tu siedzi młody, dzielny wojownik twójgo szczepu. Słyszałem dziś jego imię, które brzmi Achmed es Sallah Ibn Mohamed er Raham Ben Szafei el Farabi abu Muwajid Khulani. Sztylet jego ostry jak promień słońca, a kula pewna, jak sprawiedliwość sądu ostatecznego. On przywiózł wielkie dobra z obcych krajów, posiada szacunek przyjaciela, słynnego emira i zabił dziś

nieprzyjaciela, który chciał was ograbić. Ali en Nurabi, ten dzielny wojownik twojego szczepu darował serce swoje najpiękniejszej z pięknych, Mochallah. Chce teraz zapłacić cenę, której odeń żądałeś, i uszanuje córę twoją w starości jako Abraham czcił żonę swoją Sarah. Słyszę, że mu odmówiłeś, lecz dusza moja nie wierzy w to, gdyż słowo es Sabira jest potężne i pewne jak tron Boga, wsparty na ośmiu tysiącach kolumn i trzykroć stu tysiącach stopni, wysokich na cały dzień drogi. Stoję tu zamiast niego i w jego imieniu proszę o rękę twojej córki. Jego honor jest moim honorem, a jego hańba moją! Serce twoje pograżyło się dzisiaj w smutku, lecz Achmed es Sallah jest człowiekiem zdolnym rozświecić twą duszę. On to zwróci tobie wszystko, co utraciłeś, jeśli mu oddasz za żonę tę, którą musi sobie najpierw wywalczyć. Namyśl się nad tym, o szejku! Zważ także, iż każde słowo, które powiesz do niego, we mnie także ugodzi! Ty jesteś moim przyjacielem, a ja twoim. Oby Allah dał, abyśmy nimi nadal zostali! Słyszałeś mowę moją, a ja jestem teraz gotów wysłuchać twojej!

Gdy skończył i siadł, musiałem mu rękę uściśnąć z wdzięczności, bo istotnie lepiej nie mógł przemówić. Sprawę Achmeda zrobił swoją i odmowa była teraz prawie niemożliwą. Szejk czuł to dobrze. Powinien był właściwie powstać natychmiast i odpowiedzieć, lecz on przedtem jeszcze zwrócił się do mnie:

- Sidi, czy rzeczywiście on tylko może ścigać rozbójnika?
- Przynależ to — odpowiedziałem. — Czy masz kogoś, kto to potrafi?
- Tak.
- Kto?
- Ty, gdyż on nauczył się tego od ciebie.

— Masz rację, szejku. Lecz ja stawiam także pewien warunek. Chciałeś widzieć, czy mój ogier jest taki rączy, jak twoja klacz, a ja wyrzekłem się zakładu, aby nie zasmucić twej duszy. Ale teraz dowiedz się, że ja nie miałem powodów do obawy. O świcie będzie klacz twoja o kilka godzin drogi przed nami, a ja mimo to doścignę ją. Jeśli sobie życzyacie, żebym trop dla was czytał, domagam się także w nagrodę Mochallah, ale nie dla siebie, tylko dla Achmeda es Sallah. Decyduj się szybko, gdyż nie mamy już czasu do stracenia!

Na to podniósł się szejk, położył ręce na brodzie i oświadczył:

— Przysięgam na Koran, na brodę proroka, na brody wszystkich kalifów i moich ojców, że Achmed es Sallah dostanie Moch Allah za żonę, skoro tylko sprowadzi ją razem z klaczą i wielbłądem. Jeśli jednak tego nie zrobi, nie będzie jej mężem. Wszyscy słyszeliście moje słowa!

Tak odzyskał Achmed łaskę szejka. Wszyscy podaliśmy mu rękę, a Krüger-bej rzekł do mnie:

— Mogę się pochwalić, że dotrzymałem słowa i nie darmo obiecywałem pośrednictwo. Moja mowa poruszyła głęboko wszystkich słuchaczy, a te trudne konkury nie byłyby się nigdy beze mnie udały!

— Dokazałeś, pan, pułkowniku, rzeczy prawie niemożliwej. Dziękuję panu z całego serca!

— No, pańskie słowo także wywarło wrażenie, po którym można się było spodziewać dobrego skutku.

W końcu zabrał także głos Anglik, który dotychczas zachowywał milczenie:

— Ależ, sir, wytłumaczcie mi te ściskania rąk. Siedzę tu jak na tureckim kazaniu. Przemówcie wreszcie do mnie choć parę słów!

Wyjaśniłem mu wszystko, on zaś roześmiał się, wyciągnął swoje nieskończenie długie nogi i rzekł:

— *Well*, cieszy mnie to! Zaręczyny, wesele, małżeństwo, wyprawa! Dam temu zacnemu Achmedowi es Sallah pięćdziesiąt funtów, jeśli Krumir rzeczywiście dostanie się do naszej niewoli, ale stawiam warunek.

— Jaki?

— Muszę wziąć udział w wyprawie. *Well!*

— Ja także jestem za tym. Chcecie rzeczywiście pojechać z nami?  
— To się rozumie! *Yes!*  
— Ale niebezpieczeństwa...?  
— *Thunderstorm!* Czy chcecie się boksować ze mną?  
— Innym razem to zrobimy, nie teraz. Pozwólcie, żeby i drudzy ode mnie coś usłyszeli!  
Zwróciłem się znów do szejka:  
— Domyślam się, że rozbójnicy pójną przez Bah Abida na pustynię er Ramada, aby potem przez Dżebel Tibuasz dostać się do Uelad Maszeerów, którzy są z nimi w przyjaźni.  
— Skąd się tego spodziewasz?  
— Podśluchałem ich rozmowę. Mogli się wprawdzie rozmyślić, gdyż grabież nie całkiem im się udała, ale na razie lepiej to przypuścić i wedle tego coś postanowić. Czy jesteście zorientowani w tamtych stronach?  
— Tylko na wielkich drogach.  
— Ależ oni tych właśnie będą unikali, jesteście więc zdani na ich ślady.  
Czy żyjecie w zgodzie z Meszeerami?  
— Nie ma pomiędzy nami zemsty krwawej, ale od czasu do czasu giną na granicy zwierzęta.  
— Musimy zatem być ostrożni. Nie możemy wyruszać z wielkim wojskiem, gdyż w wyprawie naszej idzie tylko o Krumira. Beduinom Hemema nie możemy się pokazywać, jeśli będą w większej liczbie od nas, ponieważ Achmed zabił jednego z nich. Wyobrażam sobie, że cel nasz dałby się osiągnąć na kilka sposobów. Albo więc ja, mając konia, na którym jedynie można dopędzić Krumira, pojechałbym za nim sam i zastrzelił go z konia, albo...  
— Panie, oni by ciebie zabili! — zawołał szejk.  
— Załóżmy się o to! — odpowiedziałem. — Jeśli mnie zabiją, utracę życie, jeśli zaś ja ich zabiję, ty utracisz klacz, która wtedy będzie należała do mnie!  
Wyciągnąłem do niego rękę lecz on namyślił się i oświadczył:  
— Jesteś moim gościem, a moje życie jest twoim. Nie puścimy cię samego.  
Ponieważ wszyscy to potwierdzili, musiałem się zgodzić. Podjąłem więc dalej:  
— Moglibyśmy również starać się wyprzedzić Krumira przez Kef, Caafran, Dżebel Szefara i Dżebel Dildzil. Przyjechalibyśmy wówczas o jeden dzień wcześniej do Meszeerów, staralibyśmy się pozyskać ich przyjaźń i przyjęlibyśmy tam nieprzyjaciół, gdyby przybyli.  
Wszyscy potrząsnęli głowami, a jeden ze starszyzny przemówił:  
— O efendi, ważysz się na więcej, aniżeli wolno. Kto może ufać przyjaźni Beni Meszeerów!  
— Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak trzymać się tropu zbójów i uderzyć na nich tam, gdzie ich znajdziemy.  
— A czy ich dopędzimy? — zapytał szejk z niepokojem.  
— Przypuszczam — odrzekłem. — Wprawdzie tylko mój koń zdoła doścignąć tę klacz i wielbłąda, lecz oni mają oprócz tego pięć innych koni, a może nawet i sześć, ponieważ jednego z ich ludzi zastrzelono. Bardzo prawdopodobne, że mają o jednego człowieka więcej, a wreszcie Mochallah będzie się domyślała, że pośpieszymy za nimi i uczyni, co będzie mogła, aby opóźnić ucieczkę.  
— Efendi! — zawołał szejk. — Słowa twoje są mądre i sączą mi w dusze pociechę!  
— Nie obawiaj się, dostaniemy wszystko, jeśli będziemy przezorni. Ilu ludzi weźmiesz z sobą, Ali en Nurabi?  
— Wszystkich.  
— *Maszallah!* Czy chcesz z orłem polować na komara? Ścigamy co najwyżej siedmiu ludzi.  
Czyliż synom es Sebira tak bardzo brak odwagi, że stu na jednego potrzeba?  
— Panie, zważ, że musimy wroga pokonać bez walki!  
— Czemu?  
— Skoro Krumir zobaczy, że grozi mu atak z naszej strony, będzie wołał zastrzelić klacz, wielbłąda i Mochallah, aniżeli nam oddać.



— Czyż pokonanie obeszloby się bez ataku? Czy kilku ludzi nie może tak urządzić napadu, żeby zwyciężyć, zanim wróg zacznie się bronić? Czy chcesz u szczepów, które w drodze minimy, wywołać obawę, że żywimy względem nich wrogie zamiary? Jeśli spotkamy Uelad Szeren i Uelad Kramemssa, czy uwierzą nam, że tylu ludzi prowadzimy tylko na schwywanie sześciu lub siedmiu opryszków?

— Nie zetkniemy się z nimi.

— Spotkamy ich na pewno. Tak wielki orszak, jaki chcesz utworzyć, nie zdoła się ukryć. Zważ, że musiałbyś zabrać wiele wielbłądów, któreby niosły żywność, namioty i wiele innych rzeczy: a tego przy mniejszej liczbie nie będzie potrzeba.

— Ma rację! — rzekł Krüger-bej. — Stu ludzi całkiem wystarczy.

— Iluż ludzi będzie za wiele! — odrzekłem ja.

— Iluż, twoim zdaniem, musimy wziąć wojowników, efendi? — zapytał szejka.

— Nie więcej, jak dwudziestu.

— Panie, to za mało!

— Nie! Zważ, że idziesz także ty, Achmed es Sallah, ten waleczny emir z Inglistanu i ja. Sami potrafilibyśmy pokonać Rrumira. Napaść podczas noclegu na tych sześciu czy siedmiu wrogów, na to wystarczy trzech doświadczonych strzelców. Nie zapominaj zresztą, że większości swoich ludzi potrzebujesz do obrony karawany!

Temat ten podchwycił natychmiast Krüger-bej z wielką energią. Narada się ożywiła, ponieważ każdy ze starszych chciał wyrazić swoje zdanie, a kiedy ją ukończono, wynik nie był pocieszający. Stu pięćdziesięciu ludzi miało pod wodzą jednego z synów szejka pójść naprzeciw karawany, a do naszego oddziału przeznaczono sześćdziesięciu ludzi. Reszta miała pod wodzą drugiego syna zostać dla obrony obozu. Sir Percy uśmiechnął się pogardliwie, kiedy mu przedstawiłem rozwiązanie tej sprawy.

— *Pshaw!* — rzekł. — Ci Beduini to tchórze! Pokazują wielkie fantazje i tańce wojenne, a boją się, gdy przychodzi do czegoś poważnego!

— Ja bym tego nie powiedział, sir. Arab nie jest przyzwyczajony jak Indianin ścigać w pojedynkę wroga. Beduin lubi walkę, ale nie skrytą, nadto połączoną z wielką pompą dla oka. Jestem pewien, że z dziesięciu ludźmi pochwycilibyśmy łatwiej Krumira, aniżeli przy pomocy sześćdziesięciu.

— *Well.* Chodźcie, sir! Pójdziemy sami naprzód i całą rzecz bez nich załatwimy!

— I ja już o tym myślałem, ale dałem słowo, że zostaną przy ekspedycji.

— Niech i tak będzie. Ja jednak powiadam, że poszedłbym sam, gdybym dobrze znał arabski. *Yes!*

Poczyniono czym prędzej przygotowania, zapakowano żywność i amunicję, zabrano pewną ilość girbal, by je potem napełnić wodą. Kiedy ukończono przygotowania, nadeszła pora *fedżeru*. Poranek zarumienił się na wschodzie, a Beduini padli obok koni na kolana, aby z twarzą zwróconą ku Mekce odmówić pierwszą modlitwę.

Nadszedł czas przekonania się, czy Krumir wyruszył rzeczywiście w kierunku, którego się domyślaliśmy.

— W jaki sposób chce się pan o tym przekonać? — spytał mnie Krüger-bej.

— Nic łatwiejszego — odrzekłem. — Zobacz pan naczynie do pojenia obok namiotu szejka. Ma ono dwie części, jedną dla ulubionego konia, drugą dla wielbłąda, ponieważ koń rasowy nie chce pić z naczynia, z którego pił dzemel. Rozlana woda zwilżyła ziemię, a kopyta się w niej odcisnęły. Widzi pan?

— Przyznaję, że widzę to dokładnie.

Wyjąłem z torby nożyczki, a z kieszeni papier i mówiłem dalej: — Teraz wykroję ślady dokładnie z papieru i wyrysuję wewnętrzny obraz kopyt... o tak! Teraz siądź pan na konia i jedź ze mną. Achmed niechaj nam towarzyszy!

Dosiedliśmy we trójkę koni i oddaliliśmy się z obozu. Ja wyjechałem na czoło i pocwałowałem prosto na południe, ku wąwozowi, o którym mówił Krumir. W pięć minut byliśmy na miejscu, mimo że leżało o pół godziny drogi od *duaru*. Tam zsiadłem z konia i zbadałem teren. W niespełna dwie minuty znalazłem to, czego szukałem.

— Zsiądź pan z konia, pułkowniku, i przystąp bliżej! — poprosiłem. — Przypatrz się pan temu miejscu!

— Widzę trawę, która była, jak się zdaje pognieciona.

— Była istotnie pognieciona i to w czworobok; wprawne oko zobaczy jeszcze całkiem wyraźnie brzegi tego czworoboku. A tu, co to jest obok tamtego boku?

— Tutaj grzebał ktoś w trawie i czegoś szukał.

— Widzi pan: tu leżała na ziemi prostokątna dera, a na niej spoczywał człowiek. Nogi wystawały mu poza derę i w ten sposób za każdym poruszeniem tarły sandałami o trawę. Czy pan to widzi?

— Skoro mi pan to powiedział, to wydaje mi się całkiem wyraźne.

— Ten człowiek oczywiście sam tutaj nie był. Prawdopodobnym jest, że miał pilnować koni, należących do Krumira i jego Uelad Hamemów. Gdzie mogły być te konie?

— Tego mój duch nawet we śnie nie może się domyślić.

— Kto ma koni pilnować, ten musi zwrócić się do nich twarzą, przeto one mogły stać po tej stronie, gdzie leżały jego nogi, a więc chyba przy tamtym krzaku. Chodź pan! O widzi pan, że ziemia tu stratowana, a kilka gałęzi złożonych w pętle. Te pętle służyły do przymocowania cugli; jest ich siedem, a więc tyle było z pewnością koni. Czy i to pan już pojmuje?

— Pozwoli pan, że złożę mu gratulację z powodu ogromnej bystrości. Ale jak pan odzyska wielbłąda, klacz i porwaną dziewczynę?

— Może i to mi się uda. Rozbójnicy jechali pewnie środkiem parowu, gdzie na twardym, kamienistym gruncie ślady nie zostają. Należy jednak spodziewać się, że najpierw napoili zwierzęta. Tu nie mogli tego uczynić, ponieważ brzegi potoku są zbyt wysokie. Chodźmy dalej! Jestem pewien, że znajdziemy ślady, skoro tylko brzegi potoku będą niższe.

Przypuszczenie moje sprawdziło się wkrótce. Potok zataczał dość łuk, okalający mały półwysep, na którym leżał gruboziarnisty piasek, pomieszany z odłamkami kamienia. Wśród nich widać było skąpą trawę. Na tego rodzaju gruncie odbijał się najłżejszy odcisk stopy i zachowywał się na dłuższy czas.

Powyżej tego miejsca była bardzo rozkopana droga.

— Widzicie, panie pułkowniku? Tutaj zatrzymało się owych siedem koni, a tutaj, widzi pan ten dokładny odcisk na piasku? Tu stała *atusza*, zanim przymocowano ją do wielbłąda. Czy dostrzega pan tu nad wodą ślad wielbłąda i konia? Przyłożę doń moje papierowe odciski. Widzi pan, jak dokładnie przystają? Tu była klacz, a tutaj hedżin, tu zaś... Co ma znaczyć ta czerwona nitka?

— Nie mam pojęcia.

— Na tej nitce jest krew. Podarto jakąś tkaninę, aby zawiązać ranę tego, który dostał kulą od Achmeda. Jednak mała nitka uwiesiła się na drzewie. Tu, na prawo, pod sosną, ktoś leżał. Ach, to była Mochallah!

— Do stu piorunów! Skąd pan to wie tak dokładnie?

— Czy pan nie widzi, że z tej gałęzi zdarte są prawie wszystkie szpilki, jakby rękami? Dziewczyna wzbraniała się i trzymała się gałęzi; oderwano ją przemocą.

— *Allah akbar*, Allah jest wielki, ale pańska przytomność umysłu budzi zdumienie i podziw!

— *Maszallah!* — zawołał Achmed, który śledził uważnie wszystkie nasze ruchy. — Sidi, popatrz, co to?

Znalazł pod pinią kawałek gliniastego łupku i podał mi. Na jednej stronie kamyka wyryte było dość wyraźne arabskie „m”, a więc pierwsza litera imienia Mochallah.

— Nie wiesz, czy Mochallah miała przy sobie coś ostrego? — zapytałem Achmeda es Sallah.

— Panie, ona nosi zawsze na szyi mały *mun*.

— Wie, że będziemy ścigali rozbójników i chciała nam dać jakiś znak. Oby tylko częściej to czyniła!

— Ona będzie to czynić, *sidi*! Ten kamień zachowam dla siebie dopóki jej nie odnajdę.

— Musimy się jeszcze przekonać, czy odeszli z tych stron wzdłuż potoku, dlatego pójdziemy trochę dalej.

Ruszyliśmy dalej, a ślady potwierdziły nasze przypuszczenia. W końcu wróciliśmy do *duaru*, gdzie czekano na nas z utęsknieniem.

— Efendi, odjeżdżajmy już! — prosił szejk. — Może dopadniemy rozbójników jeszcze dziś.

— Nie wydaje mi się, szejku. Oni mogą jechać prosto, a tymczasem my musimy tracić dużo czasu na szukanie śladów. Jakiego masz konia?

— Ten kasztan jest bardzo dobry, chociaż nie tak rączy, jak klacz, którą mi uprowadzili.

— Achmed i emir z Inglistanu jadą także na dobrych koniach. Będziemy, więc mogli oddzielić się od reszty.

— Oddzielić się? — spytał. — Po co?

— Czy nie wiesz, że każde wojsko wysyła przed sobą oddział, który bada okolicę i stara się o bezpieczeństwo głównej siły? My właśnie utworzymy taki oddział. Twoich sześćdziesięciu wojowników może jechać za nami, a my będziemy im ciągle zostawiali znaki, by wiedzieli, w którym kierunku się poruszamy. Umówmy się z nimi co do znaków i pożegnajmy, bo czas już wreszcie zabrać się do dzieła!

Szejk pojął szybko moje rady i posłuchał ich.

Dowódca gwardii tunezyjskiej nie mógł oczywiście do nas się przyłączyć. Wracał do el Bordż.

— A teraz kolej na pana — rzekł, pożegnawszy się z innymi. — Wierz mi pan, że rozstanie to najmniej przyjemny wynalazek, jakiego kiedykolwiek dokonano. Czy się jeszcze kiedy zobaczymy?

— *Inszallah* — jeśli się Bogu spodoba. Drogi ludzkie zapisane są w księdze.

— Wiem, że się pan stał moim przyjacielem. Czy zechce mi pan wyświadczyć pewną grzeczność?

— Bardzo chętnie, jeśli tylko potrafię.

— Bądź pan tak dobry i nie zastrzel Krumira, jeśli go pan przyłapie, lecz pošlij mi go do Tunisu! Tam mu pokażemy, co to znaczy kraść! Gdyby pan kiedyś przyjechał do Tunisu, to nie zapomnij mnie odwiedzić. A teraz do widzenia! Niechaj Allah i prorok będą z panem! Miej się pan na baczności przed Uelad Hamema i nie zapominaj, że jestem pańskim przyjacielem!

Odpowiedziałem równie serdecznie i rozeszliśmy się: jedni na północ, drudzy na południe.

Niebawem dostaliśmy się do parowu. Tu wyjaśniłem krótko szejkowi znaczenie znalezionych śladów i ruszyliśmy dalej. Trzymać się tropu na gruncie przeważnie skalistym nie było łatwym zadaniem, dopomogła mi w tym jednak znajomość kierunku drogi Krumira.

Powiedział, że przekroczy Bah Abida, leżącą prostopadle do naszej drogi mniej więcej o trzydzieści kilometrów. Ponieważ musieliśmy objechać kilka wzgórz i przepłynąć parę rzek, przeto należało liczyć przynajmniej pięćdziesiąt kilometrów. Dodawszy zaś do tego stratę czasu na szukanie śladów, potrzebowaliśmy dobrych piętnastu godzin, by się dostać do Bah Abida.

Przejechawszy przez Hemormta Wergra, przepłynęliśmy Anneg, a wkrótce potem dużą Milleg i zatrzymaliśmy się w dolinie Dżebel Tarf na krótki spoczynek. Na tym miejscu odpoczywał także Kmmir. Ślady były całkiem wyraźne. Dolina ta ma z pięć godzin drogi długości ku wschodowi, a przecina ją potok, wypływający z Bah Abida. Mieliśmy więc tę górę

przed sobą, na lewo Bu Baheur, Mezarę i Bordż Bir bu Hamed, a na prawo kraj Szerenów i Uelad Kramemssa. Nie znając usposobienia tych ludzi, musieliśmy być bardzo ostrożni. Tak samo widocznie myślał Krumir, bo nie poszedł dalej doliną, lecz wydostał się na płaskowyż, aby po nim wyjechać na Bah Abida. Płaskowyż ciągnął się aż po Wadi Serrat, o godzinę drogi zaś wznosiła się Bah Abida. Trop był tutaj bardzo wyraźny, ścigani jechali cwałem, aby ten kraj zostawić jak najrychlej za sobą. Jak to poznałem ze śladów, wyprzedzili nas zaledwie o trzy godziny drogi. Gdy to powiedziałem szejkowi, zawołał:

— *Hamdidlillah*, dzięki Bogu! Dościgniemy ich jeszcze dzisiaj!

— Mylisz się, Ali en Nurabi, — odrzekłem — chyba że klacz twoja jest tak licha, iż da się w tak krótkim czasie dopędzić.

— Będziemy jechali przez całą noc!

— Czy w nocy rozpoznasz ślady?

— Masz słusność. Oby Allah ciemność potępił! Spieszmy naprzód! Popędziliśmy znowu, jak gdyby nas ktoś ścigał. Mój kary aż parsknął z zadowolenia.

Tak gnaliśmy po równym terenie przez pewien czas, wkrótce jednak tamte konie zaczęły pnieć się i parsknąć ze zmęczenia. Jeden po drugim zostawały w tyle, a tylko klacz Achmeda trzymała się dzielnie. Szejk był zły, że jego kasztan tak mało był wytrzymały.

— Czy widziałeś kiedy konia, — zapytał mnie — który by tyle obiecywał, a w potrzebie zawodził? Był to jeden z moich najlepszych koni, lecz od dzisiaj ma diabła w sobie. Ale będzie on jeszcze musiał pędzić, dopóki nie padnie!

— Wtedy ty weźmiesz siodło na plecy i spróbujesz, czy na własnych nogach prędzej nie pójdziesz. O szejku, kto się najbardziej śpieszy, ten nie zawsze najszybszy!

— Ty szydzisz ze mnie, efendi!

— Nie, gdyż i mnie jest nieprzyjemnie. Powinienbyś jechać ze mną na przedzie, tymczasem teraz jest tylko trzech takich, którzy by potrafili tego dokonać.

— Kto?

— Ja, Achmed i co najwyżej Anglik.

— Panie, nie opuszczaj nas! Nie wiemy, co nas może spotkać, kiedy będziesz na przedzie. Moglibyśmy z łatwością zgubić twój ślad.

— W każdym razie lepiej byłoby, gdyby...

Przerwałem, zanim jeszcze zacząłem wyliczać powody; gdyż z prawej strony wynurzyli się dwaj jeźdźcy, którzy na nasz widok zatrzymali się, a potem zniknęli równie szybko, jak się ukazali.

— Co to byli za ludzie? — zapytałem.

— Beni Szeren albo Kramemssa — odparł szejk.

— To źle, ale może są sami. Jedźmy prędzej!

Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. Już przed upływem dziesięciu minut podniosła się z prawej strony chmura pyłu, poza którą należało się domyślać większej liczby jeźdźców. Jechali przez pewien czas równolegle z nami, a potem przeszli w szybsze tempo, aby zagrozić nam drogę.

— Czy to nieprzyjaciele, sir? — zapytał Anglik.

— Może.

— *High-day!* Nareszcie jakaś przygoda! Czy nie powiedziałem, że wystarczy jechać z wami, aby coś przeżyć? Mam dwururkę, dwa pistolety i dwa rewolwery, to znaczy osiemnaście strzałów, nie licząc noża. Będzie przepyszna awantura. *Well*.

Z uciechy zaczął wymachiwać długimi rękoma, jak gdyby chciał na wzór Don Kichota walczyć z wiatrakami.

— Nie ciescie się zbyt, sir — upomniałem — Zadaniem naszym jest pojmać Krumira, musimy zatem unikać wszelkiej straty czasu i walki.

— *Well*, to słuszne! Ale przejeżdżając obok, możemy przecież trochę postrzelać. Nie?

— Mam nadzieję, że nie zmuszą nas do tego.

Nieznani jeźdźcy wyprzedzili nas i zagrodzili nam drogę. Był to oddział liczący ponad sto głów. Dowódca, ustawił ich w szereg bojowy i czekał w pewnym oddaleniu przed frontem. Szejk Allen Nurabi nakazał zatrzymać się swoim ludziom i podjechał ku dowódcy, a ja przyłączyłem się do niego.

— Czy znasz go? — zapytałem.

— Teraz dopiero widzę jego rysy i poznaję.

— Kto to?

— To nieprzyjaciel, Hamram el Cagall, Waleczny, najokrutniejszy szek Kramemssów. Widziałem go w Ain Juhsuf i Zegrid. Żąda on opłaty od każdego wstępującego na jego terytorium, a kto nic dać nie może, musi z nim walczyć. Zabił już wielu ubogich ludzi. Od nas będzie się domagał wielkiego daru.

— Od czego zależy wysokość opłaty?

— Od bogactwa podróżnych i od liczby głów.

— Gdybyś zamiast sześćdziesięciu ludzi wziął dwudziestu, wypadłoby taniej.

— Ja nic nie zapłacę.

— Zważ, że nie mamy czasu do stracenia, a Kramemssa są dwa razy silniejsi od nas!

— Czy ty się boisz, efendi? — Ach!

Dojechaliśmy do szekja Hamrama z przydomkiem el Cagal.

— *Sallam aalejkum!* — pozdrowił Ali en Nurabi, wstrzymując konia.

— Kim jesteś? — spytał przeciwnik, nie odpowiadając na pozdrowienie.

— Czy mnie nie znasz? Jestem Ali en Nurabi, szek Rakba z ferkah Uelad Sebira.

— A ja jest Hamram el Cagal, Ben hadzi Abbas er Rumir Ibn Szehab Abil Assalet Abu Tabari el Faradž. Jestem panem i dowódcą tych walecznych wojowników szczepu Kramemssa i pytam, czego szukasz w moim kraju?

— Ścigamy zbója, który porwał mi ulubioną klacz, najlepszego wielbłąda i córkę. Prosimy cię, żebyś pozwolił nam przejechać przez twoją ziemię.

— Kto pozwala ukraść sobie klacz, dżemmela i córkę, ten niczego innego nie godzien jak tego, żeby mu je porwano. Czy Uelad Sebira nie mają oczu, ani uszu? Kto chce przejechać przez mój kraj, haracz musi zapłacić.

— Ile żądasz?

— Kim jest ten zbój, którego szukasz?

— To Saadis el Chabir, Krumir z ferkah ed Dedmaka. Prowadzi z sobą jeszcze kilku jeźdźców, należących do Beni Hamema.

— Saadis el Chabir przejeżdżał tędy i mówił ze mną. Nie miał przy sobie żadnego łupu. To mój przyjaciel. Zapłacisz dużo, jeśli zechcesz przejechać.

Dzielny Kramemssa kłamał; gdyby bowiem rzeczywiście był się zetknął z Krumirem, ja byłbym to rozpoznał po tropie: Robił wrażenie ordynarnego, dzikiego człowieka. Barczysty, z nadzwyczaj rozwiniętymi mięśniami, przewyższał o głowę swoich ludzi. Uzbrojenie jego składało się z dwu strzelb, sztyletu, pistoletu, maczugi i z kilku dziryków. Jego widok musiał zaniepokoić nawet odważnego człowieka.

— Ile żądasz? — zapytał Ali po raz drugi.

— Kto jest ten człowiek obok ciebie?

— Emir z krainy Franków.

— Giaur? Niechaj go Allah zniszczy! A ten, który stoi przed twoimi ludźmi?

— Emir z Inglistanu.

— Także niewierny? Oby ich Allah zmiażdżył! Posłuchaj, co ci powiem: Każdy z twoich ludzi da owcę, ty dasz dwadzieścia owiec, a obaj niewierni po pięćdziesiąt owiec.

— To znaczy prawie dziesięć razy po dwadzieścia owiec. Tylu zwierząt nie mógłbym dać, nawet gdybym je miał z sobą.

- To zapłacisz połowę i wrócisz!
- Chcesz opłaty nawet w przypadku, jeśli byśmy zawrócili?
- Czy sądzisz, że pozwolę wam ujść za darmo?
- Zmniejsz swe żądanie!

— Ani o jedną owcę! Co raz powiedział Hamram el Cagal, to stać się musi. A może chcesz ze mną walczyć?

Te układy zniecierpliwiły mnie, dlatego postanowiłem je czym prędzej skrócić, nie wątpiłem bowiem, że Ali en Nurabi nie mógłby zwyciężyć tego olbrzyma. Podjechawszy więc bliżej, przemówiłem:

— Chcesz z jednym z nas walczyć? Czy Allah wykreślił cię z grona żyjących, że ważysz się na takie słowa? Co znaczy twoich stu Kramemssów wobec walecznych Sebirów i czym ty jesteś wobec emira z kraju bohaterów?

Użyłem naumyślnie przesadnych słów synów pustyni. Walczyłem już i mocowałem się nie z takimi, jak on i wiedziałem, że mam nad nim przewagę.

— *Thibb el kelb*, ty psi szakalu! — zawołał. — Obliz mi natychmiast rękę, żebym ci mógł przebaczyć?

— Jeśli twoja ręka brudna, to sam ją sobie obliz! Masz na to dość wielki pysk. Jak śmiesz żądać ode mnie pięćdziesiąt owiec? Patrz, tam za mną stoi sześćdziesięciu wojowników, ale nawet gdybym był sam, nie dostałbyś ani włoska owczego. Widać, że odwaga wasza mniejsza od waszych słów.

Oczy jego zaiskrzyły się, wargi zadrgały, a z piersi wyrwał się ochryply krzyk wściekłości:

— Człowiecze, czyś obłąkany? Ty się nie boisz mówić czegoś podobnego Hamramowi el Cagal? Dobrze, będziesz ze mną walczył, jednak nie o żądany okup, lecz o życie!

— Jestem gotów. Ale przestrzegam! Koń mój lepszy od twego, a broń także.

— Widzę, że masz broń Franków, — zaśmiał się szyderczo — ale jej nie użyjesz. Koń i broń zwycięzonego należą do zwycięzcy. Odłóż ją i zsiądź z konia, jak ja to czynię. Będziemy walczyli rękami, dopóki jeden drugiego nie zdusi.

— Niech się stanie zadość twojej woli, el Cagalu. My obaj będziemy walczyli uczciwie, ale tak samo ludzie nasi muszą względem siebie zachować się uczciwie.

— Co mają znaczyć te słowa?

— Żądam prawa *szilughów*, prawa wolnych ludzi. Jeśli ty mnie zwyciężysz, wszystko, co należy do mnie, stanie się twoją własnością, a towarzyszący mi Uelad Sebira zapłacą okup. Jeśli natomiast ja zwyciężę, to wezmę sobie konia twego oraz broń i przejedziemy przez twoją ziemię i to bez opłaty.

Oczy jego spoczywały pożądliwie na moim koniu.

— Zgadzam się na te warunki — odpowiedział.

— Czy przyrzekasz, że będzie pokój między naszymi ludźmi i twoimi, jeśli jeden z nas padnie?

— Przyrzekam!

— Przysięgnij!

— Przysięgam na Allaha i wszystkich muzułmanów, którzy już żyli i będą jeszcze żyć!

— Czy i twoi ludzie przysięgną?

— Moja przysięga ma także dla nich znaczenie.

— To zsiadaj!

Skinąłem na Achmeda i Anglika, aby im oddać broń i konia. Wyjaśniłem przy okazji, o co chodzi.

— *Zounds* — zawołał Anglik — dałbym za to sto funtów, żeby być na waszym miejscu.

— Przypatrzcie mu się, sir! Wygląda na niebezpiecznego przeciwnika.

— Hm! Zdejmuje haik. Co za muskuły! Ten stary *boy* ma ręce jak słoń. Uważajcie, sir; ta sprawa mnie niepokoi. Dajcie mu porządny box on the stomach, uderzenie w żołądek, aby mu dusza uciekła; tak będzie najlepiej!

— Ba! Widzieliście przecież w Indiach mój cios myśliwski. Sądzę, że jeden taki wystarczy.

— Pięść sobie rozbijecie, sir!

— Przypuszczam, że głowa tego Kramemssy nie jest twardsza od czaszek Indian, którym już dogodziłem w ten sposób. Gdyby mi się jednak zdarzyło coś złego, zachowajcie pokój; ja to przyrzekłem!

Zrzuciłem także haik i stanąłem naprzeciw Kramemssa. Zdawało się, że olbrzym będzie miał nade mną przewagę, a on sam widocznie był tego pewny, bo bez przygrywek ruszył natychmiast do ataku. W dalekim i silnym skoku rzucił się, by mnie pochwytać i ułatwić mi w ten sposób walkę. Uskoczyłem w bok, a kiedy on machnął rękoma w powietrzu, uderzyłem go pięścią w prawą skroń z taką siłą, że runął na ziemię. Z obu stron zerwały się głośne wrzaski, ale przeciwnicy, wierni przysiędze wodza, nie śmieli ruszyć się z miejsca.

Schyliłem się i pochwytiłem go za gardło. Drugie uderzenie byłoby go zabiło, lecz to nie było moim zamiarem. Wkrótce przyszedł do siebie i usiłował wstać, lecz ja trzymałem go mocno pod sobą. Wyteżył całą siłę, ażeby mnie zrzucić z siebie, ale wystarczyło silniej palce zacisnąć dokoła jego szyi, aby przełamać wszelki opór.

— Czy uznajesz się zwyciężonym? — zapytałem.

— Zabij mnie, psie! — jęknął.

Na to odjąłem odeń rękę i powstałem.

— Podnieś się, Hamramie el Cagal; nie pożądam twojego życia!

— Weź je! Ja go już nie chcę!

— Powstań! Zapewniam cię, że nie jest hańbą zostać zwyciężonym przez emira z krainy Franków.

— Lecz hańbą jest utracić konia i broń!

— Zatrzymaj je sobie jako dar ode mnie!

Dotąd leżał na ziemi, lecz na te słowa zerwał się szybko.

— Czy to prawda? Zostawisz mi wszystko?

— Wszystko! Obraziłeś mnie wprawdzie, nazwałeś psem, ale prorok powiada: „Kto dumny jest z tego, że wyświadczył przyjacielowi coś dobrego, niechaj będzie cicho, kto jednak okazuje litość wrogowi, dla tego ręka Boga otwarta”. Chodź, weź i jedz; bądźmy odtąd przyjaciółmi!

Poszedłem do konia, wyjąłem z torby przy siodle kilka *heli*, połamałem je i podałem mu jedną połowę, a sam zjadłem drugą. On pozwolił się zaskoczyć i włożył daktyle do ust. Teraz byliśmy już pewni wygranej. Arab wziął swoją broń, dosiadł konia i rzekł:

— Jadłem z tobą i zawarłem z tobą przyjaźń. Chodźcie teraz ze mną wszyscy do *duaru* i bądźcie moimi gośćmi!

— Pozwól nam to uczynić, gdy będziemy wracali. Nie możemy tracić czasu, jeśli chcemy doścignąć tych ludzi, których szukamy.

— Zasmucasz moją duszę, emirze! Ale powiedz mi, czy krwawa zemsta nakazuje wam ich ścigać?

— Tak! Krumir zabił jednego Sebira.

— To śpieszcie za nim. Haraczu nie zapłacicie. Niechaj zapanuje pokój między Sebirami i Kramemssami. Oby Allah was chronił!

W ten sposób zakończyła się ta groźna z początku przygoda. Zauważyłem, że kredyt mój u towarzyszy znacznie się podniósł. Jechaliśmy zatem dalej bez przeszkody.

Ponownie zaproponowałem szejkowi, że pojedę z Achmedem naprzód, ale on będąc pod wrażeniem ostatniego wypadku, nie chciał o tym słyszeć. Pędziliśmy przez równinę dość szybko, zbliżając się coraz bardziej do Bab. Abida, która z każdą chwilą wyraźniej występowała na widnokręgu. Dojechaliśmy tam wkrótce, a dążąc dalej za tropem,

wydostaliśmy się na nią po zachodnim zboczu tak łatwo, że o zachodzie słońca stanęliśmy już na szczycie.

Ku wschodowi góra opadała ku równinie. Na pomocnym wschodzie ujrzelśmy szczyty Caafram, płonące w blaskach zachodzącego słońca, u stóp zaś naszych roztaczała się pusta Ramada. Ze wschodu jaśniał ku nam wysoki Maktyr.

— Czy rozbijemy obóz? — spytał szejka.

— Rozpoznaję jeszcze ślady, a tu na górze będzie w nocy za zimno. Ruszajmy dalej! — odpowiedziałem.

Byłbym z chęcią usłyszał zdanie trapera lub Indianina o tropie, za którym właśnie szliśmy. Gdy bowiem Beduini nic nie widzieli, ja znajdowałem co dwadzieścia kroków jakiś znak niezawodny. Północno-amerykański westman stara się wszelkimi siłami zatrzeć ślady za sobą, Krumir natomiast zwracał na to całą, uwagę, żeby się jak najszybciej posuwać naprzód. Ponieważ teren schodził w tym miejscu stromo na dół, przeto kopyta jego koni orały po prostu ziemię, wobec czego nie było trudno zachować kierunek jazdy.

Tak przybyliśmy nad małą rzekę, która płynąc, wyżłobiła sobie łożysko, prowadzące do podnóża góry. Właściwości terenu pozwalały przypuszczać, że Krumir nie opuścił doliny, dlatego jechaliśmy dalej, nawet wtedy, kiedy ciemności nocne zasłoniły trop przed moimi oczyma.

— Czy pustynia er Ramada zaczyna się u stóp tej góry? — zwróciłem się do szejka.

— Dlaczego pytasz?

— Jeśli tam się zaczyna, to możemy niebawem spotkać się z nieprzyjacielem. Sądzę bowiem, że nie rozbije obozu na stepie.

— Pustynia zaczyna się dalej. Przed nią ciągną się jeszcze pastwiska Zwarihn.

— Jak daleko jest od Bah Abida do Dżebel Tibuasza?

— Jedzie się przez Zwarihn i er Ramada dwanaście godzin. Następnie droga prowadzi między górami Rokada i Sekarma na miejsce, gdzie zaczyna się kraj Meszeerów.

— Zdaje mi się, że zaczyna on się dopiero za Dżebel Tibuasza i za górami Halukel Mehila?

— Jeśli pasza jest dobra, Meszeerowie przychodzą na tę stronę gór.

— Czy byłeś już tam? — Nie.

— Nie znasz nikogo z Meszeerów?

— Znam wielu. Spotykałem ich w kraju es Sseers i Uelad Aun. Ale nie wiem, czy nas przyjmą uprzejmie.

— Sześćdziesięciu gości naraz to i dla przyjaciela za wiele. Musimy Krumira pochwycić jeszcze przed górami Rokada.

Po dwugodzinnej, uciążliwej jeździe, podczas której przyświecały nam tylko gwiazdy, dostaliśmy się na równinę. Tam napełniliśmy konie i daliśmy im *sisz bla halef*, skarłowaciałych daktyli tylko dla koni, a sami, zjadłszy po kilka daktyli, położyliśmy się na spoczynek.

Zbudziwszy się w nocy, posłyszałem daleki ryk, a to mi przypomniało, że okolice stepu er Ramada słynęły z wielkiej liczby lwów. Mimo to zasnąłem na nowo, nie przeczuwając, że już nazajutrz przyjdzie mi zetrzeć się z krewnym „króla pustyni”.

Zaledwie rano zaszarzał, byliśmy gotowi do drogi. Wyjechałem łukiem na równinę i natrafiłem wkrótce na trop, którym ruszyliśmy w dalszą drogę. Wisząc prawie na koniu, ażeby nie przeoczyć żadnego śladu, prowadziłem pochód. Kilka strumyków pozwalało wnosić o bliskości rzeczki. Teren był urodzajny, trawiasty, a ślady kopyt odbiły się na nim wyraźnie. Posuwaliśmy się szybko na wypoczętych koniach i mniej więcej w półtorej godziny dotarliśmy do oczekiwanej rzeczki, biegnącej w prawo ku Bah bu Szerii. Tu nocował Krumir ze swymi ludźmi. Trawa była stratowana, widać nawet było miejsca, gdzie stały przywiązane zwierzęta.

— Efendi — ozwał się szejka — czy zdołasz odnaleźć miejsce, na którym spała Mochallah? Zacząłem szukać.

— Tu jest to miejsce. Spała w *atuszy*.



— Skąd wiesz o tym?

— Czyż nie widzisz, że tu stała lektyka?

— Tak, lecz Mochallah mogła spać na innym miejscu.

— Przypatrz się! Wyciągnęła rękę z *atuszy*, gdy wszyscy spali, i znowu wycięła w trawie literę „m”.

— *Maszallah*, to prawda! Panie, ona zdrowa, dała nam znak, wie, że nadejdziemy. Śpieszmy się zatem!

Woda w rzeczce nie była głęboka, dzięki temu dostaliśmy się z łatwością na drugą stronę. Tam zbadałem dokładnie nowe ślady.

— Czego jeszcze szukasz, *sidi*? — zapytał Achmed es Sallah.

— Chcę zobaczyć, kiedy stąd wyruszyli. Z miejsca obozu noclegowego wnoszę, że będą teraz od nas tak daleko, jak my od Bah Abida. Jeśli jednak ze stanu trawy mam wnioskować, to powiedziałbym, że odjechali jeszcze w nocy i są przeszło o dwie godziny przed nami.

Ruszyliśmy kłusem tak szybkim, jak tylko konie nasze mogły nadażyć. Okazało się jednak niestety, że bieguny Krumira miały nad nimi przewagę, kiedy bowiem po upływie trzech godzin zsiadłem z konia, by zbadać trop, biegnący teraz po piaszczystym gruncie, przekonałem się, że nie zbliżyliśmy się do ściganych na tyle, żeby pościg mógł się wnet skończyć.

— Tak ich nie dogonimy — rzekłem do szejka. — Pozwól żebym pojechał z Achmedem naprzód. Za cztery godziny zetkniemy się z nimi; będzie to ostatni czas, gdyż inaczej dotrą do Dżebel Szefara.

— Ja pojedę z wami — odpowiedział szejk.

— Twój koń nie nadaży.

— To zawsze jeszcze będzie czas pozostać w tyle.

Anglik także nie dał się odwieść od wzięcia udziału w przyśpieszonej jeździe. Dawszy Sebirom potrzebne rozkazy, puściliśmy się w czwórkę ze zdwojoną chyżością. Minęły dwie godziny, słońce prażyło już tak, że musieliśmy zrobić postój, aby się napić wody i napoić konie. I znów ruszyliśmy naprzód. Dokoła nas rozciągała się bezkresna równina. Wędrowne ławice piasku i rumowiska skalne bez drzewa, krzaka, bez źdźbła trawy, oto otaczający nas widok. Konie szejka i Anglika zaczęły się potykać, a klacz Achmeda także utraciła pewność w nogach. Wtem wynurzył się daleko przed nami na widnokręgu wysoki mur, podobny do ruin staroangielskiego opactwa. Lecz nie były to mury, tylko skały, w których czas wyrzeźbił takie fantazyjne wyrwy i szpary. U stóp ich dostrzegłem poruszające się białe i kolorowe punkty.

Wziąwszy do ręki lunetę, zwróciłem ją na to miejsce i wydałem głośny okrzyk radości.

— Czy to oni, *efendi*? — zapytał szejk.

— Oni, wielbłąd z *atuszą* i siedmiu jeźdźców, a jeden z nich na białej klaczy.

— *Hamdullillah*, dzięki Bogu. Mamy ich!

— Jeszcze nie. Ich jest siedmiu, a nas czterech.

— Czy się ich boisz? — spytał rozdrażniony.

— Ali en Nurabi, już wczoraj zadałeś mi to pytanie, a potem przekonałeś się, czy się obawiam!

— Wybacz, panie! Ale dlaczego się lękasz?

— Nie lękam się, myślę jedynie o tym, żeby nie zranić cennej klaczy i wielbłąda.

— Panie, masz słuszność! Co zrobimy?

— Musimy się na to przygotować, że Krumir zabije prędzej oba zwierzęta, niż je odda. Jedźcie wolniej. Ja pojedę wielkim hukiem, by ich wyprzedzić. Potem wy popędzicie wprost na nich, a ja zastąpię im drogę.

— Nie czyń tego, *efendi*, nie opuszczaj nas! Razem ich dościgniemy, a potem ja z nimi pomówię.

— Jak chcesz. Oni nic mojego nie porwali.

Ruszyliśmy szybciej. Krumir zamierzał właśnie wyruszyć w drogę, kiedy go ujrzyliśmy. Zanim ze swoimi ludźmi zniknął za skałami, oglądając się, przypatrzył nam się przez chwilę i skręcił nagle za kamienie. W dziesięć minut dobiegliśmy do głazów i ujrzyliśmy Hamemów, pędzących cwałem przez równinę.

— Za nimi, choćby konie miały popadać! — zawołał szejka.

Podniósł się w siodle, by koniowi ulżyć ciężaru i dokazał istotnie tego, że nam kroku dotrzymał. Krumir obejrzał się znowu i zrozumiał, że go doścignemy. Kazał się zatrzymać, wielbłąd przykłęknął tak, że jeźdźcy go zasłonili, potem wstał i cały oddział rozproszył się na wszystkie strony. Krumir puścił się prosto, wielbłąd na prawo, a reszta jeźdźców na lewo.

— Panie, — zawołał szejka — zostaw klacz mnie, a sam zajmij się hedżinem z Mochallah!

— Zostaw klacz mnie, ty jej nie dopędzisz! — odrzekłem, lecąc prawie nad ziemią.

— Nie potrzebuję jej dopędzać. Wystarczy, aby mój głos usłyszała. Ona ma tajemnicę, a gdy zawołam to słowo, zawróci i przyjdzie do mnie.

— Powiedz raczej mnie tę tajemnicę! — Nikt nie może jej osiąść!

Ścisnął swego kasztana ostrogami tak, że dokazał rzeczy prawie niemożliwej. Ja skręciłem w prawo, żeby postąpić wedle jego woli. Achmed pozostał w tyle, a za Anglikiem nie oglądałem się wcale. Młasnąłem cicho językiem i zdawało mi się, że koń mój nabrał dwa razy tyle siły. Kopyta jego pożerały niemal odległość i w pięć minut znalazłem się obok wielbłąda, pędzącego jak burza.

— Rreeh, rreeh, stój! stój! — zawołałem.

Na skutek okrzyku zatrzymał się wielbłąd, a w tej chwili padł strzał z *atuszy* i kula świsnęła mi tuż nad głową. Aha, Krumir był chytry. Wziął Mochallah do siebie na konia, a w *atuszy* usadowił jednego z Hamemów. Ten miał tylko jednorurkę i nie był już niebezpieczny.

— Khe, khe! — zawołałem na wielbłąda, chwytając go za uzdę.

Było to wezwanie, żeby ukląkł. Zwierzę posłuchało, lecz Hamema wyskoczył drugą stroną lektyki. W tej samej chwili padł strzał. To Achmed położył go trupem.

— Gdzie Mochallah? — spytał przerażony.

— U Krumira na koniu — odrzekłem. — Pędzę za nim, ty weź dżemela! Nie słyszałem już, co odpowiedział, gdyż szarpnąłem konia. Zobaczyłem szejka i sir Percey'ego, jadących w oddali, a daleko przed nimi Krumira. Nadeszła pora, żeby użyć tajemnicy mego konia. Położyłem mu dłoń między uszami i zawołałem:

— Rih!

Kary drgnął, wydał z siebie głos, podobny do dźwięku trąby i poleciał, że mi się w głowie zakręciło. Chyżość, z jaką wszystko mijałem, była nadzwyczajna, wprost demoniczna. W kilka chwil byłem już obok szejka.

— *Allah akhar, Maszallah ia radżall* — zawołał ze strachu.

Przemknąłem obok i leciałem, jak gdyby pustynia mijała mnie na skinienie. Ale biała klacz także rozumiała swoją powinność, bo dopiero po kwadransie szalonej gonitwy znalazłem się o pięć długości konia za Krumirem.

— Stój! — zawołałem na niego.

Odwrócił się na mój okrzyk i wykrzyknął jedno słowo:

— Giaurze!

Ujrawszy w następnej chwili nóż w jego ręce, podniosłem pistolet, aby kulą zrzucić go z siodła, w przekonaniu, że cios był przeznaczony dla Mochallah, opuściłem go jednak, gdyż Krumir pchnął lekko konia, aby go zmusić do szybszego biegu. Siwka rzuciła się kilka razy jakby w drgawkach przed siebie i wysunęła się o swoją długość naprzód. Mimo to mój kary musiał ją doścignąć. Czy miałem zastrzelić tego człowieka? Ta myśl nie zadowalała mnie. Trzymając dziewczynę, nie mógł się dobrze bronić.

Wtem krzyknął głośno i skręcił w lewo. Podczas tej wyczerpanej jazdy skończył się piaszczysty grunt, a ukazała się trawa. Z początku nie zwróciłem na to uwagi, a teraz dopiero

ujrzałem pasące się trzody, w głębi zaś namioty. Krumir byłby prawdopodobnie ocalony, gdyby do nich się dotarł. Zobaczyłem nawet jeźdźców, zbliżających się ku nam.

— Stój, bo zestrzelę cię z konia! — zawołałem podnosząc pistolet. Na to Krumir objął Mochallah i przyłożył jej nóż do piersi.

— Strzelaj, psie, jeżeli ją także chcesz zabić! — zagroził z wściekłością.

Na to nie mogłem się odważyć. Położyłem karemu jeszcze raz dłoń między uszy. Przelecieliśmy pomiędzy trzodami i jeźdźcami ku namiotom z szybkością myśli. Wtem znalazłem się obok Krumira i pochwyciłem go za rękę, on jednak szarpnął konia wstecz tak, że popędziłem dalej oderwany od niego siłą pędu.

Zabrzmiały szyderczy śmiech, a równocześnie usłyszałem okrzyki:

— Saadis el Chabir! Saadis el Chabir!

Zawróciłem. Znajdowałem się w środku obozu Beduinów, a sto strzelb skierowało się ku mnie, dwadzieścia pięści wyciągnęło się po mnie. Byłem w położeniu sokoła, który w pogoni za gołębem wpadł przez okno do izby.

— Zastrzelcie go! — krzyczał Krumir. — To pies, گیاور, zdrajca i chciał mnie zabić!

Jeden rzut oka przekonał mnie, że wszelki opór byłby daremny. Byli to znajomi Krumira i ocalić mogło mnie u nich tylko to, co jego u Sebirów. Niedaleko ode mnie otworzył się właśnie namiot, a w drzwiach ukazała się kobieta, obok niej zaś młoda siedemnastoletnia może dziewczyna. Złote bransolety zdobiły jej przeguby i kostki, na szyi miała łańcuch z kawałków srebra, a w długie warkocze wplecione były perły i małe monety. Zeskoczyłem natychmiast z konia roztrąciłem stojących na drodze ludzi i podskoczyłem ku kobietom.

— *Fi hord el harime*, jestem pod osłoną kobiet! — zawołałem i wpadłem do namiotu.

Z zewnątrz doleciały okrzyki gniewu. Obie Beduinki weszły za mną i spojrzały bezradnie.

— Czy jesteś żoną? — zapytałem dziewczynę.

— Nie.

— Czy jesteś narzeczoną młodzieńca?

— Nie.

— To bądź dla mnie siostrą, jak ja dla ciebie bratem będę!

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem w czoło, przez co pozwoliłem sobie na coś więcej niż śmiałość. Gdyby mój zamiar się udał, byłbym zgubiony. Odwiązałem pas, za którym przechowywałem rozmaite drobiazgi, przeznaczone na okolicznościowe podarunki.

Były to rozmaite tanie rzeczy, które w tamtych stronach mają wysoką wartość. Wyjąłem łańcuch z koralu i dwie szpilki do włosów. Łańcuch zawiesiłem jej na pięknej, pełnej szyi, a szpilki wetknąłem jej we włosy.

— Czy przyjmujesz to i będziesz moją siostrą? Powiedz „tak”, najmilszy kwiecie tego kraju!

Zapłonęła, ja zaś nachyliłem ku niej ucho:

— Czy to ma do mnie należeć? — zapytała.

— Tak, to już twoje. Czy mogę być twoim bratem?

— Możesz! — szepnęła.

— To wdziej habayah i chodź za mną!

Teraz byłem spokojny. Dotknąłem ustami jej czoła, a ona przyjęła podarunek.

— Czy powiesz mi, jak ci na imię? — poprosiłem.

— Nazywam się Dżumejla.

— Chodź ze mną, Dżumejlo! Gdzie mieszka szejka tego *urdi*.

— Tutaj.

— Tutaj? Czy to twój ojciec?

— Nie, to brat mego ojca, szejka Meszeerów Hadzeb el Aiun i Hamra Kamuda.

— Więc sama jesteś gościem w tym namiocie?

— Tak.

To było mi jeszcze bardziej na rękę, ponieważ przyjaciel gościa doznaje większego poszanowania, aniżeli własny przyjaciel i gość. Zarzuciłem na dziewczynę habayah i wyciągnąłem ją z namiotu. Na dworze stał mój koń, ograbiony już do samej skóry. Zgromadziło się dokoła niego wielu Beduinów, badając budowę jego członków. U wejścia do obozu ukazał się właśnie szejk Ali en Nurabi i Anglik, obydwaj jako jeńcy.

— Od kiedy to waleczni Beni Meszeer przyzwyczaili się ograbiać swoich gości? — zawołałem głośno. — Gdzie *bej el urdi*, pan i dowódca tego obozu?

Wystąpił stary Beduin.

— Ja nim jestem. Czego chcesz? — spytał.

— Patrz, oto Dżumejla, róża z Hamra Kamuda! Nazywa mnie swoim bratem i nosi mój dar we włosach. Przyjęła mnie w swoim namiocie, a ty pozwalasz swoim ludziom obdzierać mego konia? Patrz szejku, na cień swego namiotu! Jeśli posunie się jeszcze o piędź z tego miejsca, gdzie teraz wbijam nóż w ziemię, zginie od tego noża każdy, kto cokolwiek jeszcze mieć będzie z mojej własności!

Głośny pomruk zerwał się dokoła, a z gromady odezwał się głos:

— Nie wierz mu, szejku! To kłamca, giaur, a w jego ciele mieszka szatan! To Krumir wypowiedział te słowa, ja jednak puściłem je mimo uszu. Szejk zwrócił się do dziewczęcia:

— Córkę mojego brata, czy przyjęłaś te dary od niego?

— Tak, on jest *diff rebbi*, gościem zesłanym przez Boga i pozostaje pod twoją opieką.

— Ściągasz troski na moją głowę, lecz twoje słowo jest moim słowem, a twój brat moim bratem. Oddajcie mu wszystko, coście zabrali! On jest jako syn Uelad Szeren!

Potem przystąpił do mnie i podał mi rękę.

— *Habakek*, bądź pozdrowion! Stopa twoja może u nas wchodzić i wychodzić, jak jej się spodoba. Twój przyjaciel jest moim przyjacielem, a twój wróg moim wrogiem. Takie prawo należy ci się jako gościowi.

— Wierzę i ufam ci, szejku. Ale dlaczego bierzesz moich przyjaciół do niewoli? — zapytałem, wskazując na Alego en Nurabi i na Anglika.

— Czy ci ludzie są twoimi przyjaciółmi?

— W istocie.

— Ja nie wiem jeszcze, skąd przyszedli do obozu. Byłem przy trzodach i zjawiłem się tu, kiedy ty wyszedłeś z namiotu. Zbadam, co w tej sprawie jest słuszne i sprawiedliwe. Zwołać starszyznę na naradę!

Wtem doleciał do obozu krzyk przerażenia. To Achmed es Sallah wpadł na wielbłądzie pomiędzy namioty z taką furją, że wszystko się porozbiegało. Mając odwiedzone kurki od pistoletów wołał:

— Sidi, sidi! Gdzie mój efendi? Tutaj Achmed es Sallah! Skoczyłem naprzód i skinałem na niego. Natychmiast wstrzymał wielbłąda, kazał mu klęknąć, zeskoczył i wziął mnie w ramiona.

— Jesteś pojmany, sidi? — zapytał.

— Nie.

— A tamci?

— Tylko na razie.

— Gdzie Mochallah?

Wskazałem na Krumira, stojącego z posepnym wzrokiem obok kilku Meszeerów. Achmed chciał się rzucić na niego.

— Ja go zmiażdżę! — zagroził.

— Stój — rzekłem, wstrzymując go. — On jest tak samo przyjacielem Beni Meszeerów, jak ja. Dżemma o nim postanowi.

— Niechaj rychło postanawia, bo pochłonie go moja zemsta!

Obu jeńców zaprowadzono do namiotu i postawiono przy nich straż Achmeda zostawiono w spokoju. Meszeerowie stali w grupach, bądź grożąc nam ponuro. Hedżin leżał nietknięty na

ziemi, a na mym koniu, jak się teraz przekonałem, znalazło się wszystko, co mi zabrano. Teraz wyciągnąłem sztylet z ziemi.

Dżumejla weszła do namiotu i stamtąd przypatrywała się nam przez szparę. Teraz chodziło tylko o Sebirów, których zostawiliśmy w tyle.

— Gdzie twój koń? — zapytałem A chmeda.

— Na równinie. Wiedziałem, że mogę ci powierzyć Mochallah, przywiązałem znużonego konia do kamienia i ruszyłem za Hamemami, zdążającymi do tego obozu.

— *Allah kerihm*, coś ty uczynił? Czy zabiłeś któregoś z nich?

— Nie, ponieważ pomyślałem sobie, że są przyjaciółmi tych ludzi. Uciekli na pustynię, a ja ścigałem ich tak daleko, jak mogłem. Chciałem tylko zobaczyć, ciebie i Mochallah, a teraz wrócę po konia.

— Idź! — rzekłem. — Ale nie przyprowadzaj go tutaj!

— A dokąd, sidi?

— Nie wiem jeszcze. Śpiesz naprzeciw towarzyszy i sprowadź ich tak blisko, żeby mogli widzieć wieś. Niech tam czekają i będą gotowi do walki!

Achmed wsiadł na wielbłąda, ale gdy się zwierzę podniosło, wystąpił Krumir i zawołał:

— Stój! Ten człowiek jest w niewoli, ja nie pozwolę mu odejść.

Na to ja zdjąłem z siodła rusznicę i zmierzyłem do Krumira. — Achmedzie, jedź!

Służący zastosował się do rozkazu; ja zaś opuściłem strzelbę dopiero wtedy, kiedy straciłem go z oczu. Zauważyłem jednak, że to zachowanie rozgniewało jeszcze bardziej Meszeerów. Kilku z nich dosiadło koni i pojechało za Achmedem. Przywiązałem karego tuż u wejścia do namiotu i wszedłem do środka.

— *Sallam aalejkum*, pokój z wami! Nie miałem przedtem czasu was pozdrowić — rozpocząłem od usprawiedliwienia.

Arabki nie odpowiedziały. Widocznie kobieta robiła dziewczynie wymówki.

— Pić mi się chce — powiedziałem i usiadłem, a Dżumejla przyniosła mi wody.

— Pij! — rzekła. — Czy zjesz coś?

— Nie. Nic nie włożę do ust, dopóki *dżemma* nie wypowie swego zdania o mnie.

— Z jakiego jesteście szczepu?

— Jeden z jeńców jest szejkiem Uelad Sebira, drugi to wielki emir z Inglistanu, a ja jestem bejem z Dżermanistanu.

— Czy ten kraj leży daleko stąd?

— Leży na pomoc, daleko za morzem, stąd o przeszło osiemdziesiąt dni drogi.

Klasnęła w dłonie ze zdziwienia i rzekła:

— Z tak daleka przybywasz? Czego chcesz u nas?

— Oswobodzić dziewczynę, którą porwał zły człowiek.

To zainteresowało także i starą. Darowałem jej pięciopiastrówkę i opowiedziałem o porwaniu Mochallah to, co uważałem za stosowne. Tym zdobyłem ich serca. Dżumejla postanowiła zaraz pójść do Mochallah, a stara jej pozwoliła. W chwili, kiedy dziewczyna wychodziła z namiotu, szejk wszedł po mnie, żebym się stawił na placu przed *dżemną*. Był tam także Krumir, Anglik i Ali en Nurabi. W ciągu narady przybyli także Hamemowie, którzy tymczasem dojechali do obozu.

Sprawa była bardzo trudna jak na tamtejsze stosunki. Krumir był gościem Meszeerów, ja tak samo, a z tego powodu uznano również Alego en Nurabi i Anglika za wolnych gości. Dotąd obie strony były sobie równe. Kiedy jednak szejk zażądał zwrotu córki i konia, natrafił na silny opór. Oświadczone, że uprowadzenie dziewczyny nie jest zbrodnią, lecz czynem rycerskim i że taka dziewczyna należy do bohatera, skoro tylko przekroczy granice swego szczepu. Krumir przyznał też, że zabrał białą klacz, gdyż w pośpiechu nie mógł od razu znaleźć swego konia, który zresztą był tej samej wartości. *Dżemma* orzekła, że w tej sprawie nie ma nic do gadania,

postara się tylko o to, żeby goście opuścili obóz na tych samych zwierzętach, na których przybyli. Co do przysięgi i złamania jej, Krumir zaprzeczył stanowczo.

Rozprawa stawała się z każdą chwilą burzliwszą. Szejk był po naszej stronie, inni po stronie Krumira. Już miano oznajmić, że zbój może bez przeszkody oddalić się z łupem, a my zotaniemy zatrzymani, dopóki nie znajdzie się w bezpiecznym oddaleniu, gdy powstałem. Skinąwszy ręką, wziąłem w milczeniu sztucer i wymierzyłem do włóczni, tkwiącej w ziemi w dość znacznym oddaleniu. Korzystałem już nieraz z tego sposobu, aby zaniepokoić ludzi nie — obeznanych ze strzelbą wyrzucającą bez nabijania dwadzieścia pięć kul. Ten sztucer wprawił już nieraz w podziw Apaczów, Komanczów, Chińczyków, Malajów, Hotentotów, Turków, Kurdów i Persów. Czemu nie miałyby także tutaj spełnić swej powinności?

Wypaliłem dwanaście razy w równych odstępach i celowałem przy każdym strzale o kilka linii niżej. Następnie odłożyłem sztucer i wskazałem w milczeniu na włócznię. Wszyscy wstali i pośpieszyli, żeby się jej, przypatrzeć. Nawet Krumir poszedł z nimi. Naraz podniosły się głośne okrzyki zdumienia, ja zaś skorzystałem z czasu i nabiłem strzelbę na nowo. Na włóczni było dwanaście dziur w równej od siebie odległości. Czegóż takiego Beduini dotychczas jeszcze nie widzieli. Wyciągnięto włócznię z ziemi i podawano ją sobie z ręki do ręki.

Spozierając na mnie trwożnie, starszyzna usiadła na swoich miejscach.

— Emirze, jaka to strzelba? — zapytał szejk. — Czy ją zrobił czarodziej?

— Wiesz, że o czarodzieju nic nie wolno mówić — odrzekłem wymijająco. — Z tej strzelby trafiam utheif — jaskółkę, bidża — sępa brodacza, kanzira — odyńca, nimra — panterę, a nawet pana trzęsienia ziemi. Każde dzikie zwierze i każdy człowiek, który chce być moim wrogiem, zginie, gdy ją podniosę. Wystrzeliłem z niej dwanaście razy, czy mam jeszcze wystrzelić dziesięć, piętnaście, dwadzieścia razy?

— Panie, ta strzelba więcej warta, niż wszystkie strzelby, jakie kiedykolwiek widziałem. Czy można ją wziąć do ręki?

— Nie. Nikt oprócz mnie nie wie, jak ją trzymać. Co znaczą wszystkie wasze flinty, włócznie i noże wobec tej strzelby? Dosiądźcie koni i zaatakujcie mnie! Będę stał i powystrzelam was, zanim wy zdołacie mnie drasnąć. Czy widzicie te małe strzelby zapasem? Uważajcie! Nie nabijając, będę strzelał do tej tyki w namiocie. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! Idźcie i policzcie dziury! Ten emir z Inglistanu ma także takie cudowne pistolety. Gdyby nas było tylko dwu, nie balibyśmy się was, ale tam przed obozem stoi sześćdziesięciu ludzi z dobrą bronią. Spójrzycie między namioty! Czy widzicie głowy naszych jeźdźców? Czy mimo to chcecie bronić tego rozbójnika? Mimo to ma on zatrzymać klacz i dziewczynę, należące do szejka es Sebira? *Allah kerihm*, Boże miłosiwy, bądź nam łaskaw i pokieruj myślami naszymi, ażeby kule nasze nie wysiały was tam, skąd już nie ma powrotu! Przybyliśmy jako wasi przyjaciele. Czy mamy zostać waszymi wrogami z powodu zbója? Nie chcę, żeby w tej dolinie wzniosły się okrzyki żałoby i żeby od Dżebel Szefara odbiły się echem pośmiertne wołania Meszeerów. Uszy wasze słyszą moje słowa. Otwórzcie też wasze serca!

Usiadłem, wywoławszy głębokie wrażenie, które wzmocniło się, gdy ludzie, którzy wyjechali za Achmedem, wrócili teraz i donieśli, że wielka liczba jeźdźców stoi przed *duarem*. Z naszego miejsca widać było ich głowy i groty włóczni. Obrady rozpoczęto na nowo, lecz niestety nie z tym wynikiem, którego się spodziewałem. Uchwalono wysłać ludzi do Hadżeb el Alun, Hamra Kamuda, Kazaat el Aatasz i Sidi bu Ghamen po starszyzną tych szczepów. Oni mieli rozstrzygnąć tę trudną sprawę, a do tego czasu miało wszystko pozostać w zawieszaniu. W każdym razie zdobyliśmy kilka ustępstw. Oto Kiumirowi nie wolno było oddalić się z obozu, Ali en Nurabi i Achmed mogli odwiedzać Mochallah, a sześćdziesięciu Sebirom pozwolono wjechać do obozu. Biała klacz została oczywiście nadal własnością Saadisa, jemu też poruczono nadzór nad Mochallah. Ja byłem gościem szejka, Anglik wołał z Sebirami obozować na wolnym powietrzu. Wielbłąd przeszedł znowu na własność Alego el Nurabi.

Narady zajęły sporo czasu. Gdy Sebirowie wjechali i wszystko było w porządku, słońce chyliło się już ku zachodowi. Widziałem, jak znoszono wielkie kupy trawy halfa i kolczastej mimozy, aby z nadejściem ciemności rozniecić ogniska. Przed namiotem stał szejk Mohammed er Raman w kole wielu młodych mężczyzn. W rękę trzymał kilka źdźbeł trawy i kazał im je wyciągać. Przystąpiwszy doń, spytałem:

— Na co ciągniecie losy?

— Na przykrą rzecz, panie. O, gdyby nam dopomogła twoja cudowna strzelba!

— Powiedz, przeciw komu ma pomóc?

— Mogę ci to powiedzieć tylko bardzo cicho — rzekł, a zbliżywszy się do mego ucha, przyłożył rękę do ust i szepnął. — Przeciwno *arethowi*, lwu!

Beduin wskutek szczególnego zabobonu wymawia słowo *areth*, lew, po cichu, wierzy bowiem, że, gdy lew je usłyszy, przyjdzie następnej nocy. Rozmaite przydomki lwa wymawia się głośno tylko w niektórych okolicach.

— *El areth* tutaj? — spytałem. — Gdzie przebywa?

— *Allah Ula Allah, ia Allah ii Allah!* Mów ciszej, emirze, bo przyjdzie i połknie nas — zawołał ze strachem. — Bóg nas strasznie nawiedził. Paśliśmy trzony na Dżebel Tibuas, gdy zjawił się pan z wielką głową i zaczął pożerać nasze woły i owce. Wtedy uciekliśmy na Dżebel Semata, a on puścił się za nami i niszczył nawet synów naszych. Cofnęliśmy się na Dżebel Rokada, ale on i tu przyszedł za nami.

— Dlaczego nie zabiliście go?

— Wyruszyliśmy przeciwko niemu w stu dwudziestu ludzi jednak zraniliśmy go tylko, on zaś rozdarł czterech naszych wojowników. Reszta uciekła. O, emirze, to straszne! Wróciliśmy potem tutaj pod Dżebel Szefara, sądząc, że mu się tu nie spodoba, bo tu mało wody, a król grzmotu bardzo lubi pić. Lecz on mimo to nas nie opuścił. Teraz wziął sobie żonę, ma dzieci, potrzebuje bardzo dużo mięsa i przychodzi po nie co nocy. Allah odwrócił od nas swe oblicze. Będziemy zgubieni, jeśli nie pójdziemy dalej w głąb pustyni, lecz wtedy trzody nasze wyginą z pragnienia.

Wierzyłem każdemu słowu tej skargi. Arab nie odważy się nigdy stanąć naprzeciwko lwa w pojedynkę, jak mieszkaniec północy o zimnej krwi, skoro ma w rękę pewną rusznicę. Dopiero kiedy król pustyni wygubi mu znaczną część trzody, zwołuje towarzyszy na polowanie. Wówczas zbiera się jak najwięcej Beduinów, aby razem udać się do legowiska lwa. Podnoszą piekielny Wrzask, rzucają kamieniami i miotają szkodnikowi na głowę najbardziej obelżywe przezwiska. Gdy się lew pokaże wszyscy pędzana niego bezładnie w największym rozdrażnieniu. Strzelają na chybił trafił, rzucają włóczniami i wypuszczają nieszkodliwe strzały z wielkiej odległości. Ostatecznie ginie lew z powodu upływu krwi z wielu małych ran, a nigdy nie pada od kuli. Śmierć jego oplaca się zawsze życiem kilku ludzi. Arabowie uciekają zwykle z jednej okolicy do drugiej, lew jednak ciągnie za nimi.

— Zostańcie tutaj i zabijcie go! — rzekłem spokojnie.

— Próbowaliśmy, Efendi, ale on nie chce zginąć. A teraz jest jeszcze gorzej, niż przedtem. Do Assad-beja, dusiciela trzód, dostaliśmy jeszcze o wiele gorszego wroga.

— Jakiego?

— Czy wiesz, które zwierzę jest o wiele straszniejsze od pana z długą grzywą?

— Pantera, czarna pantera. To najokrutniejsze zwierzę na świecie.

— Masz słusność. Czarna pantera, którą my nazywamy *abu'l afridl*, ojciec najwyższego diabła, jest daleko okropniejsza, aniżeli król zwierząt. On zabiera tylko tyle mięsa, ile mu potrzeba i nie wraca, jeśli skoczy fałszywie. Pantera morduje, dopóki jej się podoba, ślepnie z chciwości krwi, a gdy raz skosztuje ludzkiego mięsa, nie chce innego.

— I *abu'l afrid* jest tutaj?

— Tak, ona i pan trzęsienia ziemi.

— Oboje razem? To rzadko się zdarza!

— O emirze, one nie mieszkają na jednym miejscu. Król grzmotów ma swój pałac pomiędzy skałami na pustyni, pantera zaś przychodzi tu z daleka, z Dżebel Berberu. Najpierw zabiła cztery owce, następnie krowę, a potem konia. Kiedy to jej przestało smakować, zabrała sobie człowieka i teraz chciałaby pić tylko krew ludzką. Dziś już każdy boi się czuwać przy trzodach. Byliśmy u wielkiego, słynnego marabuta w Semela el Feraszisz i prosiliśmy go o radę. On nam powiedział, żebyśmy losowali, kto ma pójść na wartę co wieczora. Z siedmiu potrzebnych do tego ludzi, dwu staje przy owcach, dwu przy bydle, a trzech przy koniach. Każdemu z nas dał marabut amulet, a mimo to *abu'l afrid* pożarł znowu młodego wojownika, a pan z grubą głową zabrał sobie wielbłąda.

— Czy wielbłądy stoją z owcami?

— U nas taki zwyczaj!

— A teraz losujecie, kto z was ma objąć straż dziś wieczorem?

— Tak, pierwszy los padł na mego syna.

— Który to?

— Jego tu nie ma, ja ciągnąłem los za niego. Pojechał do Kas bu Falha i powróci niebawem.

— Ja będę także na straży.

— Naprawdę, emirze?

— Tak, ja i emir z Inglistanu.

— Z twoją strzelbą czarodziejską?

— Mam jeszcze drugą, z której można zabić *sidi es salssali i abu'l afrida*. Wnet zmrok zapadnie, zaprowadźcie więc mnie na to miejsce, gdzie w nocy znajdują się trzody!

— Pozwól, że zakończę losowanie!

Poszedłem do lorda Percy. Siedział obok Achmeda es Sallah, rozmawiając okropną arabszczyzną.

— Hola sir, jest przygoda! — zawołałem.

— *Well*. Cieszę się! Jaka?

— Mamy zastrzelić „pana trzęsienia ziemi”.

— Kogo? — spytał zdumiony.

— I „ojca najwyższego diabła”, nie obrażając nikogo.

— Idźcie sami do diabła ze swoimi żartami!

— To nie żart, sir! Panem trzęsienia ziemi nazywają tu lwa, ojcem zaś najwyższego diabła czarną panterę.

— Lew? Czarna pantera? *Heavens!* Czy naprawdę, czy na żarty?

— Mówię zupełnie poważnie!

— Będą zastrzelone, sir! Hurra! Ale kiedy i gdzie?

Podskoczył z radości, zaczął podrzucać długimi nogami i wymachiwać rękami tak, że Beduini spojrzeli nań ze zdumieniem.

— Dziś w nocy — odrzekłem. — Szejk Mohammed er Raman zaraz pokaże nam miejsce.

Powtórzyłem Anglikowi wszystko co słyszałem od szejka i tak go tym rozbawiłem, że śmiał się serdecznie, wyszczerzając ciągle żółte zęby. Mimo swoich dziwactw był Percy dzielny i odważnym strzelcem. Polowaliśmy razem na Ceylonie na słonie, a w Indiach na tygrysy i dobrze poznałem jego myśliwskie zalety. Dziś dobrze się zdarzyło, że znalazł się obok mnie przed zamierzonym polowaniem.

Szejk przyszedł do nas i zaprowadził przed obóz, gdzie właśnie postanowiono spędzić rozproszone zwierzęta. Tutaj nagromadzono także mnóstwo traw, aby za pomocą ognisk odstraszyć dusicieli trzód. Teren był zupełnie otwarty i wolny od załomów skalnych.

— Czy zawsze spędzaliście zwierzęta w trzy oddzielne kupy? — spytałem szejka.

— Tak.

— Jeśli mamy zastrzelić *abu'l afrida* albo *sidi es salssali*, to musisz zrobić to, czego zażądam.



— Zrobię to!

— Najpierw ustawisz konie wzdłuż obozu długim szeregiem, potem wielbłądy, a na końcu bydło i owce. Miejsce, na którym spoczną zwierzęta, musi tworzyć trójkąt. Jeden jego bok będzie przytykał do obozu, a dwa utworzą kąt, odstający od obozu. W tych dwu bokach staną tylko owce, a reszta pójdzie do środka, bo jest cenniejsza. W samym środku trójkąta roznieci się wielkie ognisko, oświetlające cały trójkąt.

— Gdzie umieścimy dozorców?

— W środku między trzodami. Powinni się tak ustawić, żeby pan trzęsienia ziemi nie mógł się do nich dostać. Ja i ten emir natomiast położymy się z zewnątrz przed trzodami, każdy z nas na jednym boku trójkąta. Dozorcom powiedz, żeby nie strzelali pod żadnym warunkiem, chyba żeby się sami znaleźli w niebezpieczeństwie.

— Panie, twój plan jest dobry i mądry, jak plan wodza. Oczywiście, plan ten był przecież bardzo dla niego korzystny. Z jednej strony osłaniały trzodę namioty, a z drugiej i trzeciej ja i Percy. Arabowie cieszyli się, że my dwaj postanowiliśmy wziąć na siebie całe niebezpieczeństwo.

Gdyśmy powrócili do obozu, znów wywołaliśmy zdumienie. Ludzie nie rozumieli, że we dwu można było porwać się na lwa i panterę. Przechodząc obok Krumira, zauważyłem w jego oczach szydercze i złośliwe spojrzenie. Może spodziewał się, że *abu'l ojrid* lub *areth* uwolnią go od wrogów.

Achmed es Sallah zwrócił się do mnie pełen niepokoju.

— Sidi, czy chcesz rzeczywiście zabić nimra i pana z grubą głową? — spytał z niepokojem.

— Obiecałem i muszę słowa dotrzymać!

— To weź mnie z sobą, sidi!

— Na nic mi się nie przydasz, a możesz tylko zaszkodzić.

— Będę więc modlił się do Allaha i do proroka, żeby osłepił oczy nimra i ojca grzywy, żeby poszły innymi drogami.

Z tym zapewnieniem odwrócił się ode mnie ze smutkiem. Gdy przechodziłem obok kobiecego namiotu, usłyszałem ciche wołanie:

— Emirze!

Wszedłszy, zastałem Dżumejlę samą.

— Panie, chcesz walczyć z *sidi es salssali*? — zapytała z trwogą.

— Tak.

— I z ojcem diabła?

— Tak.

— *Allah ill Allah!* Nie czyń tego!

— Czemu?

— Zginiesz!

W jej głosie brzmiała serdeczna troska. Pochwyciwszy jej małą dłoń, zapytałem:

— Czy obawiasz się o mnie, Dżumejlo!

— Bardzo!

Przyciągnąłem ją lekko do siebie.

— Bądź spokojna! Ja się nie lękam *aretha*.

— Ale ja się boję. Czy nie powiedziałaś, że jesteś mi bratem?

— Jestem twoim bratem.

— Dlaczego więc chcesz zasmucić mnie swoją śmiercią?

— Czy moja śmierć zasmuciłaby ciebie?

Dziewczyna nie odpowiedziała ani słowa, tylko przytuliła się do mnie. Równocześnie owładnęło mną jakieś szczególne, obce mi wzruszenie. Ta młoda Beduinka była jedyną duszą wśród Meszeerów, która naprawdę się o mnie troszczyła. Z wdzięczności za to podłożyłem dłoń pod jej brodę, podniosłem twarz i pocałowałem ją w ciepłe, nie opierające się usta.

— Niech cię Allah błogosławi, rózo z Aiun, za te przyjazne słowa! Czy jednak nie wiesz, że przeznaczenie człowieka zapisane jest w księdze? Walczyłem już nieraz z arethem i zawsze zwyciężałem. Dziś on także ulegnie.

— Panie, usta moje są ciche, lecz dusza moja drży o ciebie. Powróć, bo Dżumejla płakałaby za tobą!

Wyszedłem. Gdybym był Beduinem, Dżumejla mogłaby łatwo stać się moją Mochallah.

Gdy wstąpiłem do namiotu szejka, zastałem żonę jego zajętą przyrządzaniem wieczerzy. Tej to okoliczności miałem do zawdzięczenia, że Dżumejla była sama u siebie. Głównym daniem wieczerzy było tu pieczone jagnię; przystawek było niewiele. Na koniec przyniosła jeszcze Dżumejla suszone winogrona i morwy, polaną słodką śmietaną. Smakowało mi to głównie ze względu na ręce, które to przyrządziły. Po jedzeniu wyszliśmy z namiotu i usiedli przy ognisku, roznieconym wewnątrz obozu. Panowało tu wielkie ożywienie, ponieważ Achmed es Sallah opowiadał nasze przygody. Wśród licznych objawów szacunku zrobiono nam miejsce, potem kilku Beduinów, przebranych w stroje kobiece, wykonało dziwaczny taniec, którym usiłowali nas zabawić. Kiedy na półtorej godziny przed północą powstaliśmy z Anglikiem, zabrzmiało ze wszystkich stron zapewnienie, że nikt się spać nie położy.

Wierzyłem w to; wszak spodziewali się widowiska, jakiego me zaznali jeszcze w życiu. Oddałem Achmedowi broń z wyjątkiem rusznicy i noża, a zarazem poleciłem jego opiece konia i resztę mego mienia. Sir Dawid Percy uzbroił się w znakomitą rusznicę na słonie i zatknął za pas zatruty malajski kris.

— Na którą stronę pójdziecie, sir? — zapytał.

— Losujmy!

— *Yes!* — rzekł na znak zgody.

— Odwróćcie się! Potrzymam mój nóż tak, że albo rękojeść będzie skierowana na prawo, a ostrze w lewo albo jedno i drugie będzie w położeniu odwrotnym. Co wybieracie?

— Ostrze!

— To popatrzcie: ostrze wskazuje na prawo, pójdziecie zatem na prawo.

Wpierw jednak trzeba zbadać teren.

Ruszywszy między namioty, wyszliśmy tam, gdzie leżały zwierzęta. Przekonałem się, że zarządzenia moje wykonano dokładnie. W środku płonęło potężne ognisko, którego blask oświecał jasno trzody w pobliżu, dalsze zaś grupy leżały otulone w fantastyczne cienie. Siedmiu dozorców siedziało tuż przy ognisku. Psy czuwały przy nich, cała więc osłona trzód spoczywała wyłącznie na nas. Percy udał się w prawo, ja zaś na lewo. Na razie nie spodziewaliśmy się lwa, ani pantery, dlatego obszedłem spokojnie moją przestrzeń, by zobaczyć, czy zwierzęta trzymają się razem. Na szczęście sam instynkt trzymał je w pobliżu ognia.

Była pora nowiu. Gwiazdy błyszcząły jasno, lecz światło ich gubiło się w migotliwym blasku ogniska. Mimo to doszedłszy do końca trójkąta, dojrzałem Anglika, który tak samo jak ja zajęty był zwiedzaniem swojej linii.

Uznawszy za odpowiednie nie sadowić się zbyt blisko trzody, oddaliłem się od niej tak, że blask ognia mnie nie dosięgał. Z tego miejsca jednym rzutem oka mogłem objąć całą linię, powierzoną mej pieczy. Położyłem się płasko na ziemi z nożem i strzelbą przygotowanymi do natychmiastowego użycia.

Zarówno lew, jak i pantera, zanim się zabiorą do mięsa, idą najpierw pić, a podczas tego wydają z siebie głosy. Równina, na której znajdował się „pałac pana trzęsienia ziemi”, leżała po stronie Anglika. Można się było spodziewać, że ryk lwa ostrzeże go dość wcześnie. Moje stanowisko było niebezpieczniejsze. Pantera, która zapewne napiła się już w Dżebel Berburu, skąd nie można było jej głosu dosłyszeć, musiała zbliżyć się cicho. Szczęściem miałem dzięki moim podróżom wydoskonalony wzrok i słuch, a oprócz tego zdolność wietrzenia, którą jak wiadomo, w wysokim stopniu posiadają dzicy mieszkańcy Ameryki Północnej. Wreszcie

ufałem przeczuciu, które, choć niewytłumaczone dla nas, daje nam znać o zbliżaniu się niebezpieczeństwa już wtedy, kiedy jeszcze zmysły nie mogą go zauważyć.

Tak upływał czas w nieprzerwanej niczym ciszy. Wtem zabrzmiał w oddali ów głęboki, nieopisany, grzmot, zwany przez Arabów „rrad”, od którego lew otrzymał nazwę *sidi el salssall*, „pana trzęsienia ziemi”. „Pan z wielką głową” stał nad wodą i zawiadamiał trzody z królewską otwartością, że jest głodny. Jeszcze raz i drugi powtórzył się ryk, którego z żadnym innym głosem nie można porównać, a potem wszystko umilkło.

Minął może kwadrans, gdy wtem zabrzmiał głos króla zwierząt po drugiej stronie trzody, w odległości co najwyżej tysiąca kroków.

Owce stłoczyły się jeszcze bardziej, ani jedno zwierzę, choć było ich tak wiele, nie wydało z siebie głosu; nawet psy zachowały się cicho. Lęk przed potężnym władcą przejął wszystko, co żyło. Nadśluchowałem dalej z zapiętym oddechem. Wtem doleciał mnie jeszcze jeden przeraźliwy a krótki głos, od którego ziemia prawie zadrżała, a zaraz potem łomot jak gdyby ktoś z wysoka skoczył na ziemię. Nastąpił trzask i chrzęst kości, huknął strzał jeden i drugi, poczym znów wszystko ucichło. Nie mogłem dłużej wytrzymać i chociaż to było wielką nierozwagą z mej strony, zawołałem głośno:

- Sir Percy!
- *Yes!* — odpowiedział znany mi głos z tamtej strony.
- Nieuszkodzony?
- *Well!*
- Czy był?
- Był.
- Co zabrał?
- Młodego wielbłąda.
- Trafiony?
- Spodziewam się!
- Zostańcie tam! Pani mogłaby nadejść!
- *Well!*

A więc stary Dawid Percy nie strzelił dobrze. Jak się to stało? Przecież zawsze można mu było śmiało zaufać! Gdyby i mnie teraz nie udało się dobrze strzelić, albo gdybym wcale nie strzelił, skompromitowalibyśmy się wobec Beduinów razem z naszą pewnością siebie.

Czy po mojej stronie nie miało się nic pokazać? Wtem... Przyłożyłem ucho do ziemi i usłyszałem dźwięk, jakby ktoś w pewnym oddaleniu od słuchacza przesunął szybko łaską po zamkniętej okiennicy. Znałem ten dźwięk, bo słyszałem go w Pampas, gdy jaguar puszczał się wieczorem na wycieczkę i ćwiczył swój głos w milowym oddaleniu. Z bliska brzmiało to oczywiście zupełnie inaczej.

Może była to pantera, schodząca z Dżebel Berburu? Cofnąłem się trochę, aby leżeć zupełnie w cieniu. Upłynął kwadrans, potem drugi i trzeci. Jest to nie lada zadanie wytrwać tak długi czas, gdy zmysły i nerwy napięte są w najwyższym stopniu. Czy ja się pomyliłem, czy też zwierzę zwróciło się w inne strony? Na Boga, tam rusza się coś przed pierwszym namiotem obozu! Spojrzałem i poznałem, że to jakaś postać kobieca przykucnęła pod namiotem. Czego tu chciała ta kobieta?

Nie było czasu do namysłu, gdyż w tej samej chwili poczułem w powietrzu ów szczególny zapach, wydzielany przez każde, żyjące na wolności, zwierzę. Ten zapach rozpozna z daleka tylko wytrawny myśliwy. Zwróciłem czym prędzej twarz w tę stronę i jednym rzutem oka dostrzegłem dwa ciała, sunące się bez szmeru po ziemi. Jedno, odwrócone ode mnie, posuwało się ku wystającemu kątowi trójkąta, a drugie skierowało się cicho ku mnie. Samiec prowadził więc z samicę, obie pantery podeszły ku mnie cicho i podstępnie, jak na pantery przystało, po diabelsku.

Oczywiście, że na rozmyślania nie było czasu; bo pantera stała przede mną o dwadzieścia kroków. Leżąc płasko na ziemi, wziąłem prędko nóż w zęby, a podparwszy się lewym łokciem, podniosłem lufę i wymierzyłem.

Zwierz zauważył ten ruch i zatrzymał się na chwilę. Podnosząc się na tylnych łapach, schylił się przodem. Oczy jego szeroko otwarte gorzały zielonawo–żółtym blaskiem, a potem zaczęły powoli zwężać się i maleć. Wiedziałem, że kiedy utworzą jedną wąską kreskę, zwierz skoczy. Wycelowałem w prawe oko i wypaliłem, rzuciwszy się równocześnie tak gwałtownie w bok, że zatrzymałem się dopiero o osiem kroków od miejsca, na którym leżałem. Po strzale nastąpił jeden przejmujący ryk, aż psy zaczęły wyc przy ognisku. Rzut oka wystarczył, żebym poznał, iż kula spełniła swoją powinność.

Pantera nie żyła.

Ale co się z drugą stało? Spojrzałem na koniec trójkąta. Zwierz stał tam wyprostowany wysoko i patrzył w stronę, z której doszedł go śmiertelny ryk towarzysza. Namyslał się, a może czekał na powtórny ryk. Skorzystałem z tego i ponownie nabiłem lufę. Następnie się cofnąłem i ukląknę. Wszystko to odbyło się oczywiście prędzej, niż da się opisać.

Wzrok miałem ciągle zwrócony na wroga i tylko na chwilę rzuciłem okiem ku pierwszemu namiotowi i przeraziłem się. Owa kobieca postać stała tam wyprostowana, obłana światłem ogniska i patrzyła ku mnie. Czego chciała? Wszak niewątpliwie byłaby zgubiona, gdyby ją pantera zobaczyła! I rzeczywiście zwierz ją dostrzegł, bo poruszył się i zaczął ku niej sunąć. Czy należało na nią zawołać, ostrzec ją?

Pantera zatrzymała się, gdyż doleciał ją zapach krwi, i w kilku długich skokach znalazła się przy swym zabitym towarzyszu. Przez chwilę obwąchiwała go, po czym z wściekłe chrypliwym rykiem popędziła ku kobiecie. Puściłem się natychmiast za panterą w długich skokach jak nigdy przedtem, ani potem. Na sto kroków przede mną dopadł zwierz kobietę i powalił na ziemię, skoczył jednak za daleko i runął poza nią. W tej chwili ja zatrzymałem się, a pantera równocześnie skierowała się ku swej ofierze. Huknął mój strzał i zwierzę drgnęło. Był to strzał niebezpieczny, gdyż bardzo łatwo mogłem zranić niewiastę. Pantera dostała na pewno kulę, a zauważywszy w błysku wystrzału moją postać, domyśliła się, że ją zraniłem i nie zważając już na tamtą zdobycz uwagi, podbiegła ku mnie.

W strzelbie pozostał tylko jeden nabój. Gdybym chybił, zapłaciłbym za to życiem. Chodziło także o to, żeby zwierzę zatrzymało się przede mną, abym mógł dobrze wymierzyć. Trwało to zaledwie kilka chwil, ale były one okropne. Na szczęście wyszedłem z tego położenia obronną ręką. Zwierzę stanęło może o osiem kroków przede mną. Mnie wystarczyła teraz jedna sekunda. Oko rozwścieczonego drapieżcy jarzyło się w ciemności, tworząc wyborny cel, że lepszego nie mogłem sobie życzyć. Huknął strzał, a ja rzuciłem się w bok, ale mimo to poczułem, że coś drasnęło mnie po ramieniu. Wobec tego opuściłem strzelbę i pochwyciłem za nóż. O dwa kroki ode mnie pantera drgała, potem wydawszy krótkie charczenie, znieruchomiła.

Tych parę minut było chwilą ciężką i niebezpieczną. Nabawiwszy jeszcze raz obie lufy, pobiegłem ku kobiecie. Kto to był? Dżumejla! Leżała jak martwa na ziemi, ale ani zranienia, ani kropli krwi na niej nie zauważyłem. Pantera nie powaliła jej widocznie łapami, lecz ciałem. Gdy podniosłem jej głowę, w tej chwili otworzyła oczy. Nie było to więc omdlenie. Dziewczyna była zupełnie przytomna, a oczy zamknęła ze strachu, spodziewając się, że ją zwierzę rozszarpie!

— Emirze! — zawołała radośnie i objęła mnie rękoma za szyję.

— Dżumejlo! Co tu robisz?

— Bałam się o ciebie!

Co za dobre serce i jakaż nieostrożność! Czy jednak miałem się na nią gniewać, czynić jej za to wyrzuty? Chyba nie!

— A gdyby cię pantera zabiła?

— Allah był przy mnie i ty, emirze!

Wtem podniosła się i ująwszy mnie za ramię, zawołała:

— Krew! Jesteś zraniony, panie!

— To nic, to drobnostka, Dżumejlo — uspakajalem ją.

— Czy rzeczywiście? Nie boli cię?

— Nie! Czy możesz pokazać się tutaj? Wkrótce nadejdą ludzie. Czy żona twojego stryja wie, że ciebie nie ma w namiocie?

— Nie. Ona śpi za zasłoną, owinięta chustami, ponieważ boi się *abu'l afrida* i *sidi es sahsali*.

— Abu'l afrid nic wam już nie robi. Ja zabiłem jego samego i jego żonę.

— Oboje, panie? — zapytała zdumiona.

— Oboje. Ale teraz wróć do namiotu, gdyż ja muszę odejść!

— Panie, jesteś wielkim wojownikiem, jesteś bohaterem, jakiego u nas nie ma. Dżumejla nigdy cię nie zapomni!

Odeszła cicho. Dlaczego nie byłem Beduinem, albo czemu ona nie była córką innego kraju? Ja jej również nie zapomniałem do dzisiaj!

Zbadałem najpierw oba zwierzęta. Zabite na ostatku było samcem. Wielkość obojga przeszła moje wyobrażenie; mogły się mierzyć z tygrysem bengalskim.

Strzały moje i cisza, która po nich nastąpiła, zaniepokoiły widocznie Anglika, gdyż uczynił to samo, co przedtem ja:

— *Halloo, sir!* — zawołał.

Ja zaś zacząłem naśladować go w odpowiedziach:

— *Yes!*

— Czy był?

— *Well!*

— Trafiony?

— Nie!

— *Fie devil*, do diabła!

— *Yes!*

— Czy przyjdziecie tutaj, czy ja mam..?

— Bierzcie nogi za pas!

W dwie minuty potem zobaczyłem go skręcającego zza rogu trójkąta, a po upływie trzeciej stał przy mnie.

— Przekłete koty! — mruknął.

— Nędzne!

— Mój kot nie wróci także!

— Jak wielkie było wielbłądzie?

— Hm, może dwuletnie.

— No, *master Percy* — śmiałem się — wasz kot pewnie nie wróci; dwuletnim dżemelem pożywi się razem z rodziną. Ależ *old shooter*, czemu nie trafiliście tego zwierzątka?

— Zwierzątko? Niech was diabeł porwie! Ten drab był taki, jak słoń! *Yes!* Nie przypuszczałem nigdy, żeby lew mógł być aż tak wielki. Wyobrażałem sobie zawsze koty takimi, jakie się widuje w ogrodach zoologicznych. Wybrałem sobie bardzo niestosowne stanowisko. Lew wpadł w trzodę zanadto na lewo ode mnie, a blask ognia, leżącego w środku, raził mnie w oczy. Ale trafiłem go; to wiem na pewno.

— Czy widzieliście, jak krwawił?

— Nie. Nie schodziłem wcale z mojego stanowiska.

— Pomimo, że było tak nieszczęśliwie wybrane? Trzeba było stanąć na lepszym miejscu, mniej więcej na takim, jak było moje, to bylibyście także coś zastrzelili.

— Także? *Pshaw!* Przecież wy nic nie macie!

— Hm! Chodźcie tutaj! Co to jest?

— Bydlę! — zawołał pochyłony.

— Tak jest, czarna pantera. Chodźcie jeszcze o kilka kroków. Co to?

— *Zounds!* Znowu bydlę!

— Także czarna pantera, samiec i samica, ojciec i matka najwyższego diabła, jak mówią Meszeerowie.

— Powiedzieliście przecież, żeście nie trafili!

— Chciałem się przekonać, co na to powiecie. Ponieważ wasze kule nie dokazały niczego, przeto ja musiałem spełnić moją powinność, bo byliby nas wyśmiali!

— Hm! Właściwie powinien się złościć! Piekielnie mi się powiodło!

— Nie martwcie się, sir! Odszukamy jutro za dnia „pana trzęsienia ziemi” razem z jego rodziną w jego Tuskulum. Weźmiecie udział w tej wyprawie?

— *Yes! Well!* — potwierdził z radością. — Będę się lepiej tym razem trzymał. Gdzie trafiliście te bestie? One podobno mają twardsze życie niż lew.

— Obie?

— Tak jest.

— *All devils!* Opowiedzcie, jak się to stało!

Zdałem mu obszernie sprawę z przygody; tylko o Dżumejli nie wspomniałem ani słowem.

— Człowiecze — zawołał — to było wcale zajmujące!

— Tylko zajmujące? Hm, ja sądziłem, że było czymś więcej!

— Istotnie. Mogły nas rzeczywiście rozszarpać, ale do tego trzeba się przyzwycząić.

— Przyzwycząić? Ja sądzę, że człowiek uczy się tego za pierwszym razem! Ale, czy wara się nie zdaje, że możemy teraz narobić gwałtu?

— Nie mam nic przeciw temu!

Anglik złościł się jednak porządnie, że mu szczęście nie dopisało i w milczeniu szedł ze mną do obozu. Tam było zupełnie pusto, gdyż nawet ci, którzy mieli podsycać płonące ogniska, siedzieli w namiotach, albowiem lew albo pantera mogły zamiast do trzód udać się do obozu. Wszedłem do namiotu szejka. Leżał na serirze, przy świetle kaganka.

— Emirze! — zawołał, zrywając się.

— Sprowadź swoich ludzi!

— Czy zwyciężyłeś pana trzęsienia ziemi?

— Jest tylko raniony i zginie jutro, ale *abu'l afrid* i jego żona nie żyją.

— Prawda to, panie?

— Ja to mówię!

— *Hamdullillah!* Chwała i dzięki Bogu wszechmogącemu, który dał ręce twojej siłę i błogosławieństwo! To bowiem, że zabiłeś *abu'l afrida* i jego żonę, to jeszcze większy cud, niż gdybyś zabił dziesięciu panów z grubą głową. Pozwól, że natychmiast uderzę w tab.

Wyciągnął miedziany kocioł, obciągnięty skórą jak bęben i wyszedł z nim przed namiot. Ledwie zabrzmiały pierwsze uderzenia, pootwierały się wszystkie namioty i zeszli się wszyscy ich mieszkańcy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Okazało, że nikt nie spał. Słyszeli nasze strzały, a teraz czekali z napięciem na wynik.

— W imię Boga wszechmiłosiernego! Zaprawdę uczyniłyśmy ci jawnego zwycięstwa — zaczął od pierwszych słów czterdziestej ósmej *sury* Koranu — aby Bóg przebaczył ci dawne i późniejsze grzechy i dokonał łaski swojej na tobie i sprowadził cię na dobrą drogę i dopomógł ci swą potężną pomocą! Tak napisano w księdze świętej i to spełniło się dzisiaj na nas przez czyny cudzoziemców z Zachodu. Słuchajcie wierni, synowie i córki Meszeerów: *abu'l afrid* zabity razem z żoną, matką najwyższego diabła. Weźcie pochodnie i mocne sznury z włókien palmowych i każcie się tym bohaterom zaprowadzić na miejsce śmierci, ażeby martwe ciała ojca i matki diabła zawlec do *duaru* i obrać skórę z ich członków, które oby się piekły w

*dzehennie. Allah illa Allah we Mohammed rasul Allah* — Allah jest Bogiem, a Mohammed prorokiem Allaha!

Niepodobna opisać huraganu radości, jaki po tych słowach wybuchnął. Brano siew objęcia, życzone sobie szczęścia, krzyczano i ryczano do Allaha, do proroka, do wszystkich kalifów, do mnie i do Anglika, słowem powstał zgiełk niebywały. Przyniesiono i zapalono mnóstwo pochodni, zabrano sznury i wszystko ruszyło przed obóz. Ja i Percy szliśmy na czele, a obok nas kroczył Achmed es Sallah, pełen radości, że mnie widzi żywym i całym. Hałaśliwy nastrój udzielił się także trzodom. Już to, co się działo, kiedyśmy przybyli na miejsce, gdzie leżały pantery, przechodziło wszelkie pojęcie ludzkie. Z początku nie śmieli Arabowie przystąpić do zwłok zwierzęcych. Dopiero gdy bez przeszkody przewróciłem je kilka razy i przekonano się, że rzeczywiście nie żyją, rzucili się na nie wszyscy, kopiąc je nogami, bijąc pięściami, plując na nie i oblewając powodzią obelg.

Nareszcie uciszono się, a szejek wezwał mnie, abym opowiedział, jak się wszystko odbyło. Załatwiłem się krótko, a gdy się przekonano, że obie pantery otrzymały strzał w oko, nie było końca zdumieniu. Zdobyć powleczono do *duaru*, a tymczasem ja, Percy, Ali en Nurabi i Achmed z szejkiem i kilku ludźmi, niosącymi pochodnie, udaliśmy się w drugą stronę, aby poszukać śladów lwa.

Istotnie „pan trzęsienia ziemi” był silnie trafiony, gdyż krwawił silnie. Był to okaz nadzwyczajnych rozmiarów, co można było poznać po wielkości śladów. Zabraną przezeń wielbłąd należał do szejka.

Kiedyśmy powrócili do *duaru*, zdejmowano już skóry z panter. Oddano mi je jako sprawiedliwie zdobytą własność. Szejek przypatrywał im się łakomie.

— Szejku Mohammedzie er Raman, czy spełnisz mą prośbę? — zapytałem.

— Mów, ja słucham! — odpowiedział.

— Weź sobie tę z tych skór, która ci się najbardziej podoba i zachowaj dla siebie. Ilekroć ją zobaczysz, przypomnij sobie mnie, którego wówczas nie będzie przy tobie.

— Emirze, czy to prawda? Czy rzeczywiście chcesz mi darować drogocenną skórę *abu'l afrida*?

— Daruję obie.

— Obie?

— Tak, gdyż nie mogę ich zabrać za sobą.

— Kto ma drugą otrzymać, panie?

— Dżumeila.

— Dżumejla? Czemu? — spytał zdziwiony.

— Czy nie ona wzięła mnie w swoją opiekę, kiedy niebezpieczeństwo nad nami zawisło? Allah wynagradza wszystko dobre i wszystko złe. Czemuż człowiek nie miałby być wdzięczny? Daj drugą skórę córce swego brata. Niechaj kwiat Hamra Kamuda spoczywa na niej i wspomina cudzoziemca, który został dzisiaj jej przyjacielem i bratem!

— Dziękuję ci, emirze! Serce twoje pełne dobroci, a ręka błogosławieństwa. Ty w zamian otrzymasz klacz i córkę porwane szejkowi Sebirów...

## RUHH ES SEBCHA

Zanim się położyłem na spoczynek, opatrzył mi szejk małą ranę na ramieniu, a bluzę moją wziął, aby żona ją naprawiła. W *duarze* panowało przez całą noc tak wielkie ożywienie, że spałem bardzo mało. Rozmawiano o bliskim polowaniu na lwa i o czynach bohaterskich, jakich zamierzano przy tym dokonać. Meszeerowie, mając nas teraz przy sobie, zrobili się naraz bardzo odważnymi i przedsiębiorczymi myśliwymi.

Zaledwie zbudził mnie głośny pomruk porannej modlitwy, wszedł szejk, aby mi donieść, że wszystko przygotowane do wyruszenia.

— Czy Krumir idzie także? — spytałem.

— Nie; wiesz, panie, że mu nie wolno opuszczać obozu.

— A jednak, wolałbym widzieć go przy nas.

— Czemu, emirze?

— Czy jesteś pewien, że podczas twej nieobecności nie przedsięwzięmie czegoś niedozwolonego?

— Dał przecież słowo.

— Nie dotrzyma go tak samo, jak złamał je u Setorów. W sercu jego mieszka fałsz, a na jego wargach siedzi kłamstwo.

— Przrzekam ci, że ludzie, którzy zostaną, będą go dobrze pilnowali. Córka Alego en Nurabi i jego koń będą bezpieczne.

— Bardzo zależy mi na tym, żeby się tak stało. Chodźmy!

— Czy pojedziesz na swoim ogierze?

— Tak.

— Pozwól, że dam ci jednego z moich koni. Pan z grubą głową lubi rzucać się na konia, by zabić jeźdźca. Twój ogier zbyt drogocenny na to, żeby zostać rozszarpanym.

— Nie mam zwyczaju konno na lwa polować. Zsiadam zwykle i czekam na niego. Dzięki ci za troskę, ale pojedą na moim koniu. Ilu bierzesz wojowników?

— Połowę moich ludzi.

— W takim razie ja podzielę także Sebirów. Połowa będzie nam towarzyszyć, a reszta zostanie w obozie dla pilnowania, żeby Krumir nie zrobił czegoś złego.

— Godzę się na wszystko, co postanowisz, emirze. Jesteś moim bratem i przyjacielem, ocaliłeś nas od *abu'l afrida* i jego żony, pragnę więc, żebyś rozstał się z nami w miłości i pokoju.

Ślady lwa znaleźliśmy bardzo prędko. Iść za nimi było łatwo, gdyż utracił bardzo dużo krwi. Mimo to włókł wielbłąda jeszcze z pięćset kroków, zanim trochę wypoczął. W tym miejscu zobaczyliśmy wielką kałużę krwi.

— Trafiliście go więc nie tak źle, jak początkowo przypuszczałem — rzekłem do Anglika. — Ta masa krwi, każe przypuszczać, że rana nie jest wcale lekka.

— A mimo to miał dość siły, by wlec dalej wielbłąda — zauważył Percy. — Czyżby doniósł go aż do legowiska?

— Wątpię. Lew, jeśli żyje w rodzime, ma zwyczaj wychodzić na żer w towarzystwie. Lwica idzie za nim z małymi, zatrzymuje się w odpowiednim miejscu i czeka na jego powrót z łupem. W ten sposób lew nie potrzebuje daleko wlec swej zdobyczy. Tu odbywa się wspólna uczta, po czym rodzina wraca syta do legowiska. Kości i odpadki mięsa, jeśli zostaną, dostaje szakal, hiena albo sęp. Jedźmy dalej!

Dalsze ślady prowadziły ku ciemnemu pasowi, który okazał się grupą rzadkich i zmarniałych zarośli tamarynd. Meszeerowie chcieli w nie wtargnąć, lecz ja nie dopuściłem do tego, wołając:

— Stać! Nie wiemy, co się znajduje w zaroślach. Zaczekajcie, dopóki nie wrócę!



Objechałem krzaki z Anglikiem, on udał się na prawo, a ja w lewo. Spotkawszy się za krzakami, natrafiliśmy na ślady lwicy i dwojga młodych. Trop był podwójny. Dawniejszy prowadził do zarośli, a świeższy z zarośli i z powrotem. Było więc jasnym, że lew ukrywał się tam jeszcze, nie mogąc z powodu rany pójść za rodziną do legowiska.

Wróciwszy do Beduinów, kazaliśmy im obstawić całe zarośla i wypuścić zebrane psy, aby wypłoszyły lwa. Psy, które dotychczas z trudem wstrzymywano, rzuciły się naprzód i wkrótce usłyszeliśmy wściekłe wycie z zarośli.

— Sir, proszę was, zostawcie go mnie! — rzekł lord Percy.

— Dobrze! — odpowiedziałem. — Strzelę tylko w razie konieczności. Zsiedliśmy i oddaliśmy konie Achmedowi es Sallah z poleceniem, żeby się z nimi oddalił. Ze strzelbami, gotowymi do strzału, czekaliśmy, lew jednak nie pokazywał się, polowanie więc nie postępowało naprzód.

— Czyżby już zginął? — zagadnąłem Anglika.

— Zobaczmy — odparł, ruszając ku zaroślom.

— Ostrożnie, sir! — zawołałem. — Sprawa niebezpieczna.

— *Pshaw!* — odrzekł, wdzierając się pomiędzy krzaki figowe.

Nie pozostało mi nic innego jak pójść za nim. On przedzierał się przez zarośla, a ja tuż za nim. Dotarliśmy aż do stanowiska psów, które otaczały grupkę tamarynd, ale nie miały odwagi pójść dalej.

— Co teraz? — zapytał Percy. — Czy posłać mu kulę do środka? Położyłem się na ziemi, gdzie gałęzie nie przeszkadzały i ujrzałem strasznego króla pustyni, jak leżał na boku ze zgasłym okiem i wszystkimi czterema łapami, wyciągniętymi przed siebie.

— Sir, wasz strzał był jednak dobry. On już nie żyje.

— Nie żyje? Rzeczywiście?

— Tak.

Podczas tych słów postąpiłem naprzód i rozchyliłem gałęzie. Zwierzę było olbrzymie. Silnie zaciśnięte wargi pokryte były krwią pianą, a potężne łapy zakrzywiły się do środka w walce ze śmiercią. Wielka kałuża stężalej krwi otaczała go, obok zaś leżały resztki wielbłąda, pozostawione przez lwicą i młode.

— *Heigh-day!* — zawołał Anglik. — Nareszcie padł ten stary kocur! Ale gdzie ja go właściwie trafiłem?

— Patrzcie, tu za przednią łapą pomiędzy żebra. Kula musiała dosięgnąć go w skoku.

— No, to się cieszę. Teraz nie będzie można ze mnie się śmiać! *Yes!* Psy także śmieiej zbliżyły się ku lwu i byłyby go dobrze urządziły, gdybyśmy temu w porę nie zapobiegli. Zawołaliśmy Beduinów, a gdy nadeszli, odbyła się ta sama historia, co w nocy nad trupami panter. Gdy króla zwierząt dostatecznie już wyszydono i zelzono, powiązano znowu psy i ruszyliśmy za lwicą. Przy lwie zostało kilku ludzi, by z konarów i gałęzi zrobić rodzaj sani i zawlec go za pomocą koni do *duaru*.

Lwica dopiero niedawno opuściła swego małżonka, gdyż ślady jej były jeszcze świeże. Byłaby może pozostała przy zabitym, gdyby jej nie dręczyła troska o bezpieczeństwo młodych. Miała przed sobą daleką drogę, gdyż jechaliśmy ze trzy kwadranse, zanim dostaliśmy się do skalistej doliny, na której znajdował się pałac „pana z wielką głową”.

Ujrawszy ją, zatrzymał Mohammed er Raman konia i rzekł, wskazując na puste zwały skaliste:

— Tu jest Battn el Hadzarł, emirze, gdzie król grzywy ma żonę i dzieci. Czy sądzisz, że jego żona będzie tak odważna, jak on?

— Z pewnością! Gdy lwica broni swych młodych, trzeba się jej w dwójnasób obawiać.

— Kto ją zastrzeli? My, czy wy?

Aha! Meszeera zaniepokoiła widocznie ta podwójna straszliwość.

— My! — odpowiedziałem. — Obstawcie tylko dolinę tak, żeby lwica nie mogła umknąć. Zostańcie tutaj, dopóki nie oglądniemy dokładnie tego miejsca!

Zsiadłem znowu z Anglikiem. Konie oddaliśmy Achmedowi a sami wzięliśmy rusznice i poszliśmy za tropem.

Dolina tworzyła niezbyt wielki, podłużny kocioł o jednym tylko wejściu. Wyglądała zupełnie tak, jak gdyby powstała przez nagłe zapadnięcie się podziemnej szczeliny. Ściany wznosiły się bardzo stromo, a dno wypełniały złomy skał. W głębi paprocie i kolczaste zarośla tworzyły trudną do przebycia gęstwinię.

— Tam siedzą te koty, nieprawdaż, sir? — zapytał Percy.

— Najprawdopodobniej. Przynajmniej wszystkie ślady tam prowadzą a jest ich sporo.

— Tu psów nie możemy użyć. Wypędzimy zwierzęta kamieniami. *Well!*

— Czy ja mam wziąć lwicę, sir?

— Nie. Zostawcie ją mnie!

— Zgoda! Można ją położyć trupem prawie bez ryzyka. Zostawimy konie i otoczmy całą dolinę. Możecie się ustawić na wysoku, skąd będzie ją można dosięgnąć, gdy wyjdzie z zarośli, a ja zagrodzę jej drogę z doliny. Gdybyście wy nie trafili, to ja się nią zaopiekuję. Młode nie są niebezpieczne. Niewiele jeszcze widocznie wychodziły, bo ślady świadczą o tym, że są jeszcze niezgrabne.

Wróciliśmy do Beduinów, ażeby im wydać stosowne zarządzenia. Niestety, nie zdołaliśmy ich nakłonić do tego, żeby posiadali z koni. Myśleli, że w ten sposób łatwiej uciekną, a nie liczyli się z tym, że lwica jest dość rącza, aby doścignąć najszybszego wyścigowca. Otoczyli kotlinę ze wszystkich stron ustawiając się tuż nad jej krawędzią. Tylko kilku, ustawionych na tylnej krawędzi, zsiadło z koni, aby kamieniami wypędzić zwierzęta z legowiska.

Lewa ściana doliny miała wysoki i wąski wyskok podobny do kazalnicy, na który z dołu nie można było się dostać, a z góry tylko z wielką ostrożnością. Percy wdrapał się tam i teraz mógł strzałami swymi objąć cały teren. Ja położyłem się w wejściu za skałą. Kilku Meszeerów trzymało psy w odpowiedniej odległości. Niedaleko mnie, zatrzymał się szejk Mohammed er Raman. Wybrał ten punkt, aby przy zupełnym bezpieczeństwie zachować jakieś pozory odwagi.

Gdy w końcu się ustawiono, dał Percy znak i natychmiast rzucono z góry mnóstwo kamieni. W pierwszej chwili odpowiedziało nam głośne prykanie, które pochodziło od młodych, później dopiero odezwała się stara. Nie był to potężny, piersiowy ryk samca, ale tak przejmujący, że ludzie pobledli a konie zadrżały.

Nowy grad kamieni spadł na dolinę. Percy leżał na wysoku gotów do strzału. Wtem poruszyły się zarośla i wylazło z nich jedno młode. Stara dalej się nie pokazywała. W kilka chwil wyszło także drugie.

— Mierście do małych, ludzie! — zawołał szejk.

Posłuchano tego wezwania. Jeden kamień ugodził małą lwicę. Ta wrzasnęła boleśnie i prawie równocześnie wypadła stara, nie majestatycznym krokiem i z pogardliwym spojrzeniem, jakby to uczynił samiec, lecz ostrożnie, przyciśnięta do ziemi, zupełnie jak kot. Ze swego stanowiska mogłem ją zobaczyć, Anglikowi natomiast zasłaniały ją paprocie. Oczy jej, zwrócone na jeźdźców, stojących na przedzie kotliny, gorzały gniewem. Zdawało się, że okiem mierzy oddalenie.

Mohammed er Raman także nie mógł jej widzieć. Podprowadził konia nad samą krawędź doliny i zawołał:

— Ludzie, jeszcze raz w młode! Jeśli je...

Nie skończył rozpoczętego zdania. Wysunął się zanadto naprzód, sypki piasek poddał się, koń stracił grunt pod nogami i runął. Spadając wyskoczył szejk z siodła, ale swego nie dopiął — koń i jeździec stoczyli się na kotlinę, a równocześnie zabrzmiał dokoła wielogłośny krzyk przerażenia. Zaledwie lwica spostrzegła spadającego Beduina, wyleciała spod paproci z taką

szybkością, że Anglik nie mógł oddać pewnego strzału. Wypalił wprawdzie, ale kula chybiła. Rozjuszona samica rzuciła się ku szejkowi, który usiłował właśnie podnieść się z upadku.

— *Allah ill Allah!* — zawołał rozpaczliwie i rzucił się na ziemię.

Lwica zaraz znalazła się przy nim, a kiedy jej łapy dotknęły ziemi po raz ostatni, ja wypaliłem. Dostała kulą w skoku i dzięki temu rzuciła się nieco w bok. W tej chwili huknął drugi strzał, a szejk krzyknął z bólu; zwierzę padło tuż obok niego i dotknęło pazurem jego nogi. Bezwiednie raczej, przetoczył się w bok, a lwica szarpała przez chwilę ziemię, wydała ostatni zamierający ryk i wyprężyła potężne łapy.

Leżałem od niej zaledwie o dwadzieścia kroków i przyskoczyłem do niej z nożem. Było to zbyteczne, bo nie żyła.

— Wstań, szejku! — rzekłem. — *Sittua areth* nie żyje!

— Czy na prawdę nie żyje? — zapytał z pobielalymi ze strachu wargami.

— Tak.

— Emirze, ona chciała mnie pożreć!

— Istotnie i to razem ze skórą i z włosami. Byłbyś nawet nie miał czasu na odmówienie *sury* przedśmiertnej. Teraz poszła na tamten świat ze wszystkimi swoimi grzechami.

— Zamieszka w *dzehennie*, dziś i po wszystkie wieki!

Po głośnym krzyku przerażenia zapanowało dokoła milczenie, a teraz dopiero zerwał się ze wszystkich stron ogłuszający wrzask radości. Śpieszono, aby dostać się do parowu, który mógł się stać tak nieszczęsnym dla dowódcy Meszeetów.

Szczęściem nie poniósł on żadnej szkody, a rana na prawej nodze była tylko lekkim rozdarciem, połączonym z utratą kawałka mięsa. Koń także wyszedł cało. Najgorszy los spotkał lwicę, której cześć obywatelską zrujnowano zupełnie pogardliwymi słowami i ruchami. Młode pojmano i skrepowano celem uświetnienia triumfalnego pochodu.

Wszyscy byli zadowoleni z wyniku wyprawy myśliwskiej z wyjątkiem Anglika. On także przyszedł i stanął obok mnie.

— *Vaxatious, immense vexatious!* Sprawa irytująca, ogromnie irytująca! — mruczał. — Ten nędzny kot wymyka mi się spod kuli!

— Poczucie się, sir! — odrzekłem. — Przecież ją trafiono!

— Oto i ona! Zabita, ale nie przeze mnie!

— Zapewniam was, sir, całkiem szczerze, że ja z waszego miejsca także byłbym jej nie trafił. Wypadła z gąszczy tak nagle, że minęła was, zanim zdołaliście przyłożyć palec do cyngla. Wierzcie mi, że nikt nie pomyśli o was źle, jako o strzelcu.

— Spodziewam się! Zaboksowałbym każdego, kto by się poważył drwić ze mnie. *Well!* Ale to porządne bydlę z tego kota! Prawie osiem stóp długości. No, kto się dostanie w takie rękawiczki! Brrr!

Ponieważ nie było tu materiału na nosze, przeto ściągnięto z lwicy skórę i zabrano, a mięso zostawiono. Ruszyliśmy z powrotem, a szejk Mohammed er Raman jechał obok mnie.

— Emirze, — mówił — zawdzięczam ci życie. Niechaj ci Allah błogosławi! Powiedz, co mam uczynić, by okazać mą wdzięczność.

— Jeśli ci się rzeczywiście zdaje, że jesteś mi coś winien, to postaraj się, żeby szejk Ali en Nurabi odzyskał dziecko i klacz!

— Już ci to przyrzekłem i słowa dotrzymam. Pozwól mi namyślić się jeszcze nad sposobem okazania ci mojej wdzięczności. Ocaliliście nas od *aretha* i *sitluy aretha*, od *abu'l afrida* i *om el afrida*. Trzody moje mogą teraz paść się spokojnie, a synów Meszeerów nikt nie będzie pozerął. Dzisiaj odbędzie się wielka *diffa* na cześć twoją i emira z Inglistanu. Moje życie jest twoim życiem, moja śmierć jest twoją śmiercią. Powodzenie twoje będzie dla mnie jako moje oko, którego nie chcę utracić.

Gdy wróciliśmy do zarośli, w których znaleźliśmy lwa, już go tam nie było. Szeroki ślad wskazywał drogę, którą udali się Meszeerowie z „królem pustyni”. Określenie to nie jest

właściwe. W rzeczywistej pustyni lew się nigdy nie pokazuje, gdyż nie znalazłby tam ani potrzebnego pożywienia, ani wody, której jako mięsożerca dużo potrzebuje. Żyje tylko na stepach i w oazach, do których może się dostać, nie cierpiąc zbyt długo pragnienia. Dziwne też było to, że udało nam się zabić lwa i panterę z samicami na tak małej przestrzeni i w tak krótkim czasie.

Dojechawszy do *duaru*, zostaliśmy powitani głośnymi okrzykami radości. Ja puściłem się natychmiast przed namiot szejka, a gdy zamierzałem zsiąść z konia, wyszedł z namiotu mężczyzna i pośpieszył do szejka, stojącego obok mnie.

— *Allah akhar!* Bóg jest wielki i czyni cuda! — zawołał szejk. — Mój brat! Czy posłaniec, którego wczoraj pchnąłem do ciebie, dotarł?

— Twój posłaniec? Nie znalazł mnie żaden posłaniec. Byłem w Feszii i przybywam do ciebie, aby zabrać Dżumejlę.

Był to zatem dowódca Meszeerów z Hadżeb el Aiun i Hanra Kamuda, ojciec Dżumejli i brat Mohammeda el Raman. Byli bardzo do siebie podobni. Nie widziałem, ani nie słyszałem jeszcze, żeby dwaj bracia byli wodzami dwu rozmaitych ferkahów. Jeden z nich musiał zatem godność tę zawdzięczać nie pochodzeniu lub urodzeniu, lecz osobistym przymiotom. Uścisnęli się, a następnie Mohamed el Raman spytał:

— Czy widziałeś już Dżumejlę?

— Tak. Chwała Allahowi, że ją zastałem przy życiu.

— Przy życiu? Czy bałeś się, że zastaniesz ją nieżywą?

— O, jak łatwo mogło się rozplątać jej życie! Zataiła to przed tobą, lecz mnie powiedziała.

— Wczoraj była przed namiotem i *abu'l afrida* chciał ją połknąć...

— *Allah ill Allah!* Nie wiem nic o tym!

— Ocalił ją obcy emir. O, pokaż mi go, ażebym mu podziękował!

— Oto jest ten emir — powiedział szejk, wskazując na mnie — który zabił *abu'l afrida* i *omu el afrida*.

Na to pochwycił mnie jego brat za obie ręce.

— Panie — zawołał — jestem Omar Altantawi, szejk Meszeerów z Aiun i Kamuda. Ty zachowałeś życie mojej córki; zażądaj mojego życia, a dam ci je!

— Czy to prawda? — spytał mnie Mahammed.

— Zabiłem rzeczywiście *abu'l afrida*, kiedy miał rozszarpać Dżumejlę, różę z Aiun.

— A dzisiaj mnie ocaliłeś życie, o panie! *Hamdullillah* chwała Allahowi, który sprowadził cię do mego namiotu. Opowiedz to, o czym wczoraj przemilczałeś!

— Pozwól mi zobaczyć, czy Krumir nie popełnił jakiejś zdrady pod naszą nieobecność!

— Co mógł zrobić?

— Którego Krumira masz na myśli? — zapytał Omar Altatawi.

— Saadisa el Chabir z ferkah ed Dedmaka.

— Panie, nie gniewaj się na mnie, jeśli ci przyniosę złą wiadomość!

— Złą? Dlaczego?

— Krumira nie ma!

— Nie ma? To niemożliwe! Wszak go strzeżono! — zawołałem.

— Nie ma go. Wysłałem człowieka naprzód z doniesieniem, że przybywam. Ludzie z *duaru* ucieszyli się bardzo i wyjechali naprzeciw mnie, aby mnie powitać tańcem wojennym. Nikt nie został w obozie; nawet tych trzydziestu Sabirów wyszło. Myśleli tylko o mnie, a nie o Krumirze, a gdy dojechalśmy do *duaru*, jego już w nim nie było.

— Czy sam odjechał?

— Z pojmaną Mochallah.

Porwał mnie wściekły gniew i byłbym najchętniej zaraz wskoczył na konia, by popędzić za tym łotrem, musiałem jednak o niejedno jeszcze zapytać.

— Na jakim koniu pojechał?

— Niechaj mi Allah przebaczy niedobłą wieść, której wam muszę udzielić! Ale ludzie bali się i prosili, abym ja wam to powiedział. On siedział na białej klaczy, a dziewczyna na bułanie. Kobiety to widziały; dziewczyna była skrepowana, zakneblowana i przywiązana do konia.

— Na bułanie? — zapytał Mohammed er Raman. — Na jakim?

— Na twoim.

Szejk osłupiał. Bułan był jego ulubionym koniem i dorównywał pewnie białej klaczy pod względem wartości. Wkrótce jednak odzyskał szekj panowanie. Jednym susem wpadł do namiotu i ukazał się z kotłem. W dwie minuty potem zgromadzili się wszyscy mieszkańcy mężczyźni. Krótkie przesłuchanie wyjaśniło sytuację.

Wkrótce po naszym odjeździe przybył Meszeer z Aiun i doniósł, że Omar Altantawi zamierza skorzystać z gościny *duaru*. Tego szejka lubiano w obozie, dlatego jego przybycie podnieciło mieszkańców. Nikt się nie chciał wyłączyć i zostać; nawet Krumir wyjechał ze wszystkimi. Po drodze oświadczył, że chce się udać do szejka Mohammeda er Raman i zawiadomić go o przybyciu brata. Ponieważ nikt o tym nie pomyślał, pozwolono mu to uczynić. Jego Hamemowie zostali razem z resztą wojowników, nie podejrzewano więc nikogo.

Tymczasem Krumir, skoro tylko zniknął im z oczu pojechał prosto do *duaru* i osiadł na bułana, czego nie zauważyła żona szejka. Naraz zabrzmiał głośny krzyk, a kiedy spojrzano, skąd pochodził, zobaczono Krumira, śpieszącego ze skrepowaną Mochallah do koni. Kobiety chciały go zatrzymać, lecz gdy zagroził im bronią, opuściła je odwaga. Krumir włożył Mochallah knebel w usta, przywiązał ją do konia i zabrał jeszcze woreczek daktyli. Potem umknął na południe ku Dżebel Tiusz.

Tymczasem spotkali się Meszeerowie i Sebirowie z szejkiem Altantawi i zaczęli grę wielką. Podczas tej pozornej potyczki wypłoszyli Hamemowie dzikiego ernebal i zaczęli go ścigać na żarty, oddalając się coraz to bardziej na swych lekkonogich koniach, aż zniknęli zupełnie. Gdy Meszeerowie wrócili ze swoim gościem do obozu, dowiedzieli się o ucieczce Krumira i domyślili się, że zniknięcie Hamemów było rozmyślne. Plan musiał im podać Krumir, a zając przydał się im bardzo, gdyż posłużył do zamaskowania zamiaru.

Teraz dopiero zdjęło wszystkich przerażenie. Kilku puściło się natychmiast w pogoń za Krumirem, drudzy sądzili, że należy wpierrw nas zawiadomić, jeszcze inni woleli udawać, że nie wiedzą o niczym. Zaczęto się sprzeczać i na tym zeszło dużo czasu. Potem przywleczono lwa, którego ukazanie się tak zajęło wszystkich, że zapomniano o Krumirze. Kiedy w końcu znów o nim pomyślano, postanowiono przedstawić sprawę szejkowi Omarowi Altantawi i poprosić go, żeby udał się do nas i przyjął na siebie pierwsze gromy. W ten sposób popełniono cały szereg błędów, których niepodobna już było naprawić.

Mohammed er Raman szalał z gniewu, przeklinał wiarołomnego Krumira i lżył swoich niedbałych Meszeerów. Szejk Ali en Nurabi przysięgał na wszystkie brody całego świata, że pozabija swoich Sebirów. Biedny Achmed es Sallah szukał pociechy i pomocy u mnie, choć także nie byłem usposobiony łagodnie. Najspokojniej zachowywał się Anglik. Leżał wygodnie na starym dywanie i rzekł, uśmiechając się złośliwie:

— Pięknie! Znakomicie! Awantura znowu się zacznie. A mogło już być po wszystkim. Diabelski drab, ten Krumir! Ten łajdak bardzo mi się podoba! *Yes!* Ucieczka Saadisa el Chabir zmieniła oblicze obozu. Nikt już nie myślał o naszych myśliwskich sukcesach. Zamiast zapowiedzianej *diffy* odbyła się burzliwa narada, zamiast radości panował gniew a zamiast spokojnego nastroju słyhać było wzajemne wyrzuty, nie pozbawione słuszności. Największy gniew okazywali obaj szejkowie, Ali en Nurabi i Mohammed er Raman. Pierwszy zgromadził swoich trzydziestu nierozważnych wojowników i wypalił im kazanie, które nie pozostawiało nic do życzenia. Drugi zrobił to samo ze swoimi Meszeerami i powiedział im, że są psy, mazgaje, tchórze, stare baby, wszy, ropuchy i świnię, które właściwie powinien był pożreć *abu'l afrid* i *el areth*. Równocześnie uganiano za bronią i końmi, aby rozpocząć czym prędzej pościg.

Omar Altantawi zadawał sobie niemało trudu, aby wprowadzić w ten chaos trochę porządku, a ja go w tym gorliwie popierałem. Z niechęcią dali się przekonać, że należy przede wszystkim porządnie się naradzić, gdyż nierozważna i zbyt pospieszna pogoń mogłaby wszystko popsuć. Z tego powodu odłączyła się starszyzna od reszty i zgromadziła się na radę.

— Mów ty, emirze! — rzekł do mnie Mohammed er Raman. — Ty zabiłeś ojca najwyższego diabła, pochwycisz więc także złodzieja mojego konia. Ja wiem, że ty byłbyś go pochwyił, jeszcze zanim on dostał się do naszego *duaru*, gdybyś wówczas znalazł posłuch.

To było powiedziane rozumnie i obudziło we mnie nadzieję, że nie wydadzą już tym razem nieodpowiednich zarządzeń.

— Jesteś ulubieńcem proroka, o szejku — rzekłem uroczyście — gdyż oko twoje otwarte na to co dobre i zbawienne. Uwolnijcie serca wasze od gniewu, aby myśli wasze postanowiły tylko to, co najlepsze. Posłuchajcie mojej rady i baczcie, żebyście ją spełnili. Posłuchaliście mnie, kiedy wyprawialiśmy się na *el aretho*, i *abu'l afrida* razem z ich żonami, dlatego zwyciężyliśmy je; jeśli teraz postacie podobnie, to sądzę, że złapiemy rozbójnika. Powiadam wam jednak, że nie mam ochoty przedsięwziąć czegokolwiek, o czym bym przypuszczał, że się nie uda. Jeśli wasze postanowienia będą dobre, pojedę z wami, jeśli nie, zostanę.

— Mów! — zabrzmiało dokoła.

— Moim zdaniem Krumir umknął na południe. Musimy utworzyć dwa oddziały; jeden ruszy wprost za nim, by go pochwyić, skoro go tylko doścignie, a drugi uda się do Hamemów, by go uprzedzić tam, gdzie mógłby się schronić. Czy Meszeerowie są w przyjaźni z Hammemami?

— Żyjemy z nimi w zgodzie — odrzekł Mohammed er Raman.

Omar Altantawi zaś dał odpowiedź, brzmiącą jeszcze lepiej:

— Beni Hamema mieszkają teraz za Dżebel Hakmat i Dżebel Sidi Ali Ben Aun. Wsie ich ciągną się między górami Segedał, el Bageri, el Meheri a wielkim Sebcha el Dżerid aż do kraju Neffettich i do morza, które ludzie z Zachodu nazywają Zatoką Gabes. Słynnym ich szejkiem jest stary Jamar es Sikkit, a znajduje się teraz w obozie Sellum, położonym w Ferianie.

— Przecież Sellum i Feriana nie należą do Hamemów — przerwałem.

— Masz słuszność, — odrzekł — ale tam odbywa się wielki targ koni i wielbłądów, na którym Hamemowie są pierwsi i przybywają tam zwykle o trzy tygodnie przed innymi szczepami. Krumir zna ten targ, przypuszczam więc, że zwróci się stąd ku Dżebel Sellum.

— Czy znasz Jamara es Sikkit?

— To mój przyjaciel; zamieniliśmy z sobą krew z rąk naszych.

— To nam się przydasz. Czy masz dobre konie z sobą?

— Mam cztery konie tej samej wartości, co bułan brata, którego zabrał Krumir, ale te konie zostały w Feszii.

— Potrzebne nam są, by doścignąć Krumira. Czy pożyczysz je nam, Omarze Altantawi?

— Pożyczyć? Sam pojedę z wami. Ocaliłeś dziecko moje, Dżumejlę. Gdzie ty jesteś, tam ja być muszę. Czy weźmiecie mnie z sobą?

— Będzie nam bardzo przyjemnie! Mohammedzie er Raman, czy masz konie tak szybkie, aby mogły dopędzić bułana?

— Mam jeszcze pięć takich zwierząt, ale bułan będzie miał nad nimi przewagę.

— Nie zapominaj o tym, że Krumir prowadzi z sobą Hamemów, nie posiadających tak dobrych koni. Połączyli się z nimi na pewno, musi więc zwolnić, aby zatrzymać ich dla swego bezpieczeństwa. Posłuchajcie, co wam poradzę. Nie możemy brać zbyt wielu ludzi i do tego jeszcze na gorszych koniach. Dlatego naszych sześćdziesięciu Sebirów powróci zaraz do swego *duaru* w Seraiabent.

Ali en Nurabi nie chciał zgodzić się na to, ale go przegłosowano. Masze — erowie byli tego samego zdania, co ja, a mianowicie, że kilku śmiałych jeźdźców na dobrych koniach łatwiej potrafi pojmać rabusia i odebrać mu zdobycz, niż wielka gromada, budząca podejrzenie u

wszystkich, z którymi się spotka. Ponadto otrzymał Ali en Nurabi zapewnienie, że Meszeerowie będą walczyli w jego sprawie tak jak gdyby byli jego podwładnymi. Ten punkt zatem przeszedł.

— Teraz się rozdzielimy! — powiedziałem — Mój koń, Achmeda, pięć koni stąd i cztery z Feszii to razem jednaście, wystarczająca liczba do pościgu. Z pięciu koni tutejszych weźmie jednego Mohammed er Raman, jednego emir z Inglistanu, który swojego zostawi tutaj, a szejek Ali en Nurabi dosiędzie także świeżego konia. Dwa zostaną dla walecznych wojowników, wybranych z *duaru*. Wyruszymy natychmiast śladem Krumira, a szejek Omar Altantawi pojedzie czym prędzej do Feszii, aby potem z końmi przyłączyć się do nas.

Jak daleko jest stąd do Feszii?

— Zajadę tam za godzinę i pół, ze względu na pośpiech — odrzekł Omar.

— Zwykle jedzie się przeszło cztery godziny. Czy mam zaraz wyruszyć? — Zaczekaj jeszcze! Musimy się dowiedzieć jak nas najprędzej dościgniesz. Potrzeba także posłać wojowników do Abaid, Melhila, Tiuasz, Karaat el Aatasz, Margeba, Sa ia, Rakmat, Sidi Ali Ben Aun, Gwasera, Segedal, el Ba era i Meheri, aby ostrzec te *duary* przed przyjęciem rozbójnika. W ten sposób pewnie wpadnie nam w ręce. Dla bezpieczeństwa posłańców Mohammed er Raman i Omar Altantawi dadzą im poświadczenia. Nas jedenastu uzbroi się dobrze, zabierze z sobą jak najwięcej żywności i amunicji, byśmy przez dłuższy czas mogli być samowystarczalni. Oto moje rady, postanówcie prędko, gdyż czas jest drogi!

Omar Altantawi i Mohammed er Raman zgodzili się natychmiast, wobec czego reszta także. Z największym pośpiechem poczyniono przygotowania. Najpierw zebrali się wojownicy Uelad es Sebira, aby wyruszyć z powrotem. Obawiali się trochę tego, jak się zachowają Kramemssowie w razie spotkania się z nimi, lecz uspokoiło ich przypomnienie obietnicy szejka Kramemssów. Odzyskanego biszarina zabrali z sobą, ponieważ nam nie był potrzebny.

Następnie rozesłano ludzi do rozmaitych *duarów*, wreszcie i my dosiedliśmy koni. Przedtem oczywiście pożegnałem się z Dżumejlą, co odbyło się bardzo prędko z powodu obecności jej ojca.

Było nas teraz ośmiu jeźdźców. Trop Krumira znalazł się bardzo rychło. Prowadził do potoku i ciągnął się z godzinę wzdłuż niego. W pobliżu Dżebel Rokada skręcił na prawo ku zachodowi. Widać było, że Saadis el Chabir zamierzał objechać Rokada i Semata, aby potem dostać się na Dżebel Margeba, albo przez Sidi bu Ghanem na Dżebel Sebess. Tę drogę obrał na pewno, jeśli rzeczywiście chciał się udać na targ w Sellum. Wbrew jednak mniemaniu szejka Omara Altantawi nie wydawało mi się to zbyt prawdopodobnym, gdyż Sellum, jako punkt zborny członków rozmaitych szczepów, nie mogło być dla zbója bezpiecznym schronieniem.

Aż do teraz jechał Omar z nami tą samą drogą, niebawem jednak my musieliśmy zboczyć na zachód, a cel jego drogi był na południu.

— Gdzie mam was szukać? — zwrócił się do mnie.

— Trop nasz okrąży góry Rokada, a potem zwróci się na południe aż do Semata. Jeśli z Feszii pojedziesz prosto na zachód, natrafisz pewnie na nie. Od czasu do czasu wetkniemy w ziemię gałązkę, abyś nie zabłądził.

— Czy sądzisz, że was nie minę?

— To niemożliwe. Jak długo jedzie się z Feszii, położonej w górach, zanim się dostanie na zachodnią równinę?

— Godzinę.

— W takim razie nie będziemy długo czekali na ciebie, ponieważ dla skrócenia sobie drogi zatoczymy łuk.

Ścisnął konia ostrogami, a my uczyniliśmy to samo. Wkrótce potem natknęliśmy się na ślady sześciu Uelad Hamema, które schodziły się tu z tropem Krumira. Widocznie rzeczywiście działali w porozumieniu. Następnie przeszliśmy przez drogę karawan przecinającą południową Ramada i łączącą Hamada el Uelad Ayar z Maktera — i Ras bu Falha

przez Haru el Haszem z algierską Tebessą. Zaraz za nią trop skręcał na południe, co potwierdziło moje przypuszczenie. Dziwnym było zaiste, że Saadis el Chabir nie myślał wcale o ukryciu lub o zatarciu śladów, które były tak wyraźne, że nawet człowiek niedoświadczony byłby go z łatwością odszukał. Wszak nieraz już się przekonał, że tego rodzaju nieostrożność wychodziła mu na szkodę.

Niebawem jednak musiałem zmienić swoje zdanie o nierozwadze Krumira. Oto gdyśmy dojechali do przedgórze płaskowyżu Sidi bu Ghanem, grunt zaczął się robić skalisty, a ślady poznać było można tylko od czasu do czasu po kamyku, wytrąconym z poprzedniego położenia lub po obsunięciu się kopyta po kamieniu. Musiałem wysilać całą moją uwagę w celu odkrycia śladów. Nareszcie po upływie pół godziny przybyliśmy znowu na grunt ziemisty, ale tam zatrzymałem się natychmiast, gdyż spostrzegłem ślady tylko dwu koni.

— Stać! — rozkazałem. — Nie dotknijcie mi tego tropu! Zsiadłem z konia i odmierzyłem ślad. Krumir wpadł przecież w końcu na dobrą myśl zmylenia nas.

— Co widzisz? — spytał Mohammed er Raman.

— Że jesteśmy na fałszywym tropie.

— *Maszallah*, dałeś się oszukać?

— Ja nigdy się nie mylę! Wróćcie o jakieś sto kroków! Muszę dokładniej zbadać tę skałę. Achmed es Sallah niech ze mną zostanie.

Zrobiłem tak umyślnie, ażeby wzbudzić mniemanie, że Achmed rzeczywiście zna się na prawidłowym śledzeniu trudnego do odkrycia tropu.

Skręciłem na prawo, lecz mimo mojej gorliwości nic nie zauważyłem. Zawróciłem więc na lewo i w tej stronie zacząłem szukać. Zadanie było niełatwe ponieważ konie ściganych nie były podkute. Nareszcie po długim badaniu spostrzegłem ważne dla mnie wskazówki.

— Achmedzie, podejdź bliżej! — rzekłem. — Chcę zobaczyć, czy potrafisz odnaleźć ślady. Poszukaj tutaj! Spróbował, ale na próżno.

— Sidi, ja nic nie widzę. Skała jest twarda, tu kopyto nie mogło zostawić śladu.

— A jednak, popatrz tu na dół! Co widzisz?

Pochylił się i patrzył bystro.

— Troszeczkę piasku, jakby ze zmielonego kamyczka.

— Słusznie! Rzeczywiście zmielono kamyczek. Zobacz dokładnie, jak go roz tarto! Czy stało się to przez uderzenie wprost z góry, czy też w inny sposób?

— To tak wygląda, jak gdyby ten kamyczek roz tarł ktoś, obracając się na nim na pięcie.

— Tak jest. Ktoś nań nastąpił i obrócił się przy tym na pięcie. Przy jakiej sposobności mogło się stać coś podobnego?

— Sidi, skąd ja to mogę wiedzieć? Nie byłem przy tym.

— Gdy ktoś bardzo ostrożnie i powoli zsiada z konia, dotyka ziemi prawą stopą, a wyciągając lewą ze strzemięcia, aby ją postawić na ziemi, musi prawą trochę przekreślić, przy czym wywiera wielki nacisk, ponieważ cały ciężar ciała na niej spoczywa. Jeśli ta prawa noga stąpiła przypadkowo na kamyczek, a grunt składał się z takiej twardej skały jak tutaj, to musiała kamyczek rozgnieść i rozetrzeć. Z tego wynika najpierw, że jeden z jeźdźców zsiadł tutaj bardzo ostrożnie z konia. Ale na co tak ostrożnie, Achmedzie?

— Aby kopyto konia nie wycisnęło śladu. Czy zgadłem, sidi?

— Tak. To ten sam powód, dla którego jeździec w ogóle zsiadł z konia. Ale teraz musimy zbadać, czy inni także zsiadali z koni.

— Jak się o tym dowiesz?

— Poszukam.

Badałem dalej i niebawem znalazłem coś nowego.

— Popatrz, Achmedzie! — rzekłem. — Co to?

— Wąż, narysowany nożem na kamieniu.



— Nie nożem, lecz albo ostrzem włóczni, albo kolcem, przytwierdzonym do pięty. Hamemowie mają zamiast ostróg żelazne kolce, co pewnie widziałeś. Jeden z nich zsiadł tutaj i pośliznął się, przy czym zarysował kolcem kamień. Linie tę mogła także zrobić włócznia, która się obsunęła. Dwu zsiadało tu z koni, a zatem pewnie i reszta uczyniła to samo. Zwierzęta miały stąpać tak lekko, jak tylko mogły. Powiedz naszym, żeby powoli jechali za nami!

Ruszyłem dalej w tym samym kierunku i w pięć minut potem zobaczyłem tam, gdzie kamień przechodził w grunt miększy, znowu ślady dwu koni. Teraz odgadłem już wybieg Krumira i przywołałem towarzyszy do siebie.

— Co znalazłeś? — zapytał Ali en Nurabi.

— Krumir nie był tak nieostrożny, jak mnie się zdawało — odrzekłem. — Zadał sobie wiele trudu, ażeby wyprowadzić nas w pole.

— Czy zgubiłeś ślad jego?

— Nie. Przypatrzcie się okolicy! Skalisty grunt, leżący za nami, przechodzi tu w miększy. Granica między kamieniem a ziemią jest dość ostra i zwraca się tutaj na lewo, tworząc łuk. Aby nas zmylić, zsiadł Saadis el Chabir ze swoimi ludźmi z koni, aby zwierzęta lżej stąpały, posunął się twardym gruntem wzdłuż tej granicy i odsyłał od siebie co pewien czas po dwu jeźdźców. W ten sposób musiały powstać cztery różne tropy, a każdy z nich biegnie w innym kierunku. Później albo połączą się, albo Krumir pojedzie dalej już sam z Mochallah i całkiem się od nich odłączy, w nadziei, że my udamy się jednym z tamtych tropów i pozwolimy mu umknąć w ten sposób. Dwa tropy już odnalazłem, a resztę także pewnie niebawem ujrzymy, trzymając się ciągle granicy pomiędzy skałą a miękkim gruntem. Krumir nas nie oszuka. Chodźmy dalej!

Poszedłem przodem i spostrzegłem wkrótce trop trzeci. Przyłożywszy papier, przekonałem się, że zostawili go obaj Hamemowie. Teraz należało się spodziewać czwartego, pochodzącego już na pewno od Krumira.

Idąc dalej w tym samym kierunku, ujrzelśmy za sobą wynurzających się czterech jeźdźców. Był to Omar Altantawi z trzema Meszeerami, siedzącymi, na niezwykle dobrych koniach. Po przywitaniu i powiadomieniu ich o przyczynach naszego powolnego pochodu, zaczęliśmy poszukiwania na nowo.

Po długim czasie wpadły mi nareszcie w oko odciski kopyt. Papier mój przystawał całkiem dokładnie do śladów jednego konia, do białej klaczy. Dla jeszcze większej pewności wydarłem kartkę z notatnika, aby sobie sporządzić także dokładny rysunek kopyt bułana.

Teraz ruszyliśmy ze zdwojoną szybkością. Byłem bardzo ciekawy, jaki kierunek obrał teraz Krumir, gdyż z tego mogliśmy wnosić o jego planach. W przeciągu niespełna godziny wyrobiłem sobie o nich dokładne pojęcie.

Z Dżebel Sebissa na algierskiej granicy, naprzeciwko Tebessy, ciągnie się mało znane zlewisko rzek w poprzek Tunezji aż do Sebcha Sidi el Hani, zwanego także jeziorem Keruanu. Kilka małych rzek przyływa na ten obszar z północy i południa. Najważniejszą jest Sufletwa, która początek bierze w Dżebel Semeta. Zobaczyliśmy, że Krumir jechał ciągle prawym brzegiem w dół rzeki. Była to droga na Dżebel Margeba, u którego podnóży pasł trzody ferkah Meszeerów. Tam udali się także nasi posłańcy i chodziło tylko o to, kto przybył prędzej. On miał lepsze konie, oni zaś prostą drogę przez Tiusz i południowo-zachodni płaskowyż Haluk el Melbila. Oni też jechali przez całą noc, on zaś oszczędzając dziewczynę, musiał rozbić obóz na nocleg.

Teraz mogliśmy przyspieszyć konie i mimo uwagi, zwróconej na trop, robiliśmy milę na godzinę. Przed zachodem słońca przybyliśmy do wschodnich przedgórz Semmema Amram, a kiedy się ściemniło, zatrzymaliśmy się na noc w pobliżu drogi karawan pomiędzy Sbeitla a Semela de Feraszisz.

O świcie byliśmy znów na koniach. Tutejszy teren był pokryty trawą i dlatego widać było jeszcze wczorajsze ślady Krumira. Ku memu zdziwieniu jednak nie wiodły one do Margeba, lecz zbaczały w prawo na Belad Aatasz. Widocznie ścigany zamierzał ominąć wszystkie

plemiona Meszeerów i udać się wprost do Hamemów po drugiej stronie Sidi Ali Ben Aun. Zależało mi na tym, żeby się upewnić co do jego planów, zwłaszcza, gdy przybywszy na miejsce jego noclegu, poznałem, że odpoczywał krótko i już przed północą wyruszył w dalszą drogę, przez co powiększył odległość między nami a sobą przynajmniej o trzy godziny.

Dążąc naprzód z nieustającym pośpiechem, dojechaliśmy wkrótce do doliny rzeki Aatasz, przeprawiliśmy się przez nią i dotarliśmy jeszcze przed południem na wysokość gór Nuba. Stąd prowadziły ślady na południowy wschód ku równinie ed Daban, teraz więc byłem już pewny swego.

Zatrzymałem się i usiadłem, by dać koniom kilka minut wypocząć.

— Szejku Omarze — zapytałem — czy wiesz na pewno, że Jamar es Sikkit, stary szejek Hamemów, znajduje się na targu w Sellum?

— Tak.

— Ile czasu potrzebujesz, ażeby się tam dostać?

— Jedzie się zwykle pięć godzin, ale w razie potrzeby i dwie wystarczą.

— A jak daleko będzie stąd do pierwszego *duaru* Hamemów, który leży po drugiej stronie równiny obok Ben Aun?

— Jedzie się tam przez siedem godzin, ale my będziemy za trzy.

— Krumir pojechał tędy na lewo ku Ben Aun i zapewne jest już pod osłoną Hamemów, ponieważ wyprzedził nas o jakich pięć godzin, posłańcy nasi nie mogli tam jeszcze przybyć.

— Emirze, w takim razie musimy czym prędzej jechać do Sellum po szejka!

— Chciałem to samo powiedzieć. Tylko on może nam pomóc. Jednak do czasu jego przybycia musimy Krumira schwytać i dobrze pilnować. Dwaj dadzą sobie radę w drodze do Sellum. Ty weź jednego ze swoich Meszeerów i jedź w swoim kierunku, a my puścimy się tędy dalej. Jeśli to, co mówisz o odległościach, jest słuszne, to z Sellum do Ben Aun będzie można dostać się za sześć godzin, tak więc przed zachodem słońca będziemy wszyscy razem.

— O, efendi, z Sellum do BenAun prowadzi bardzo dobra droga karawanowa. Jeśli zaraz znajdę Jamara es Sikkit, przybędę do was jeszcze wcześniej. Bądźcie dobrej myśli! Hamemowie znajdą dwu moich ludzi, którzy są z wami, i nie zawahają się uczynić to, czego od nich zażądacie.

Odjechał z jednym z Meszeerów na prawo. Daliśmy koniom trochę daktyli i ruszyliśmy. Wszystko poszło tak jak przypuszczałem, a na krótki czas przed południem ujrzyliśmy w oddali pierwszego jeźdźca, którego widok kazał nam domyślać się istnienia w pobliżu *duaru*. Niebawem przyłączyło się do niego jeszcze kilku i powstał oddział, który puścił się naprzeciw nas. Gdy nas otoczyli, zabrał głos Ali en Nurabi:

— *Sallam aalejkum!* Do jakiego szczepu należycie?

— Jesteśmy Hamema z ferkah Feran — odpowiedział jeden z nich.

— Jak się nazywa szejek wasz?

— Jamar es Sikkit Ben Mulej Halefis Bukadani. Ja jestem Sar Abduk Ben Jamar es Sikkit, dowódca tych ludzi.

— Jesteś więc synem szejka. Słyszeliśmy, że on znajduje się w obozie w Sellum?

— Słyszeliście dobrze. Czy jedziecie do niego?

— Nie, chcemy dostać się do waszego *duaru* i poprosić o chleb i sól.

— Kto wy jesteście?

— Ja jestem Ali en Nurabi, szejek Rakba z ferkah Uelad es Seriba. Ten szejek to Mohammed er Raman, wódz Meszeerów z Dżebel Szefera, ci dwaj, to emirowie z dalekiego Zachodu, a reszta, to towarzyszący nam Meszeerowie.

— Znam was — odrzekł dumnie Hamema. — Nie spożyjecie z nami ani soli, ani chleba, gdyż jesteście nieprzyjaciółmi naszych przyjaciół!

— Ty się mylisz. My przybywamy...

— Milcz! — przerwał mu groźnie Sar Abduk. — Powiedziałeś, że jesteś Ali en Nurabi, szejka Uelad es Sebira. Czy wy nie jesteście nieprzyjaciółmi Hamemów Uelad Matelag, których chcecie zwalczać na drodze karawan z Testur do Kef?

— Oni chcą ograbić *kaffilę*, znajdującą się pod naszą opieką!

— Kto oddał ją wam pod opiekę? Mohammed es Sadak basza! Jesteście parobkami baszy i krew przelewacie w obronie nędznych kramarzy za jeszcze nędzniejsze pieniądze. Jesteście naszymi nieprzyjaciółmi, a chcecie z nami jeść chleb i sól! Ścigacie naszego przyjaciela i brata Saadisa el Chabir i żądacie od nas gościny! Ośmielacie się sprowadzać do nas dwu gaurów z Frankistanu i zanieczyszczacie nasze namioty, *duar*, nasze kobiety i dzieci! Niechaj Allah potępi te psy niewierne! Prawy muzułmanin spluwa przed nimi i przywiązuje ich...

— Spluń tylko, chłopcze! — przerwałem mu.

Za jednym skokiem konia znalazłem się przy nim, a porwawszy go za kark, pociągnąłem do siebie, przrzuciłem przez siodło i przyłożyłem mu nóż do gardła. Gdybym pozwolił na taką ciężką obelgę, sprawa nasza byłaby stracona raz na zawsze. W jednej chwili wszyscy Hamemowie chwycili za broń, ale moi ludzie byli już także gotowi. Napad mój odbył się tak szybko i niespodzianie, że Sar Abduk dostał się w moje ręce, zanim zdołał pomyśleć o obronie. Przytknąłem mu do gardła ostrze noża i rzekłem:

— Gdybyś nie był synem szejka Jamara es Sikkit, którego czczę i poważam, posłałbym cię tym nożem na most es Ssirat. Przestrzegam cię: jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, które mi się nie spodoba, to duszę twoją porwie anioł śmierci. Idź już!

Puściłem go, stanął na ziemi błądzący ze strachu, wstydu i złości i wpatrzył się tępo we mnie. Potem wydobył sztylet i zagroził mi:

— Na co się odważyłeś, cudzoziemcze? Czy mam cię zakłuć? Na to ja wymierzyłem weń rewolwerem.

— Ty mnie? — zawołałem. — Czy nóż mój nie siedział już na twoim gardle? Podnieś tylko rękę, jeśli chcesz pójść do swoich ojców! Lepiej będzie dla was, jeśli w spokoju wysłuchacie, czego od was żądamy. Nie boimy się was, chociaż liczniejsi jesteście od nas, a jeszcze przed zachodem słońca przybędzie z Sellum Jamar es Sikkit, by wam powiedzieć, że jesteśmy waszymi gośćmi.

— On nie przybędzie!

— Ja mówię, że przybędzie! Czy znasz Omara Altantawi, szejka Meszeerów z Hadżeb el Ałun i Hamra Kamuda?

— Znam.

— Czy to wasz nieprzyjaciel?

— To nasz brat.

— To dobrze. On był z nami i pojechał do Sellum po twego ojca, Jamara es Sikkit.

— Czy mówisz prawdę?

— Emir z Frankistanu nigdy nie kłamie! Przypatrz się tym dwom Meszeerom z ferkah szejka Altantawi! Czy znasz ich?

Moja odwaga wzbudziła w nim widocznie podziw, skoro mi tak dobrodusznie odpowiadał. Kiedy zaś przypatrzył się po raz pierwszy dobrze obydwu ludziom, wydało mi się, że się zmieszał.

— Znam — odrzekł.

— Strzeż się zatem, byś przeciwko nam wrogo nie występował, dopóki nie usłyszysz rozkazów swojego ojca.

— Czego chcecie od nas?

— Wpierw odpowiedz na moje pytanie: Czy Saadis el Chabir, Krumir z ferkach ed Dedmaka jest u was?

— Jest.

— On porwał nam dwa konie i dziewczynę. Żądamy, żebyś go nam wydał razem z łupem.

— On był naszym przewodnikiem w wielu wędrówkach, dziś spożył z nami znowu chleb i sól, i pił wodę; nie wydamy go zatem!

— W takim razie przyjmiesz na siebie odpowiedzialność za wszystkie skutki tego kroku.

— Przyjmuję. Wy jesteście naszymi wrogami, podpadliście krwawej zemście, ponieważ zabiliście Hamemę w *duarze* Seraia bent.

— On był rozbójnikiem: chciał porwać tego konia, na którym siedzę i zabić jednego z naszych ludzi.

— Mimo to krew jego musi być pomszczona!

— Ale nie przez was. On nie należał do was, lecz do *ferkah* Uelad Mateleg.

— Był jednak Hamema. Zatrzymamy was i wydamy Haemom Uelad Mateleg.

— Gdyby się nawet zesłi wszyscy Hamemowie, by nas zatrzymać, nie zdołaliby tego dokonać. Zostaniemy u was dobrowolnie i zaczekamy na twego ojca. Zaprowadź nas do *duaru*.

— Tego nie zrobię! Dopóki szejk Jamar es Sikkit nie postanowi, co się z wami ma stać; dopóty będziemy was uważali za wrogów. Zaprowadzimy was przed *duar* i będziemy pilnowali.

— Możesz to uczynić, ale nie waż się wypuścić Krumira. Niech pozostanie pod waszą opieką, dopóki szejk nie objawi swej woli w tej sprawie!

Hamemowie wzięli nas w środek i zaprowadzili przed *duar*, położony na otwartej równinie. Na południowym wschodzie wznosiły się na widnokręgu Dżebel Gwassera, na południu Dżebel Maszura, a między nimi samotne pasmo Dżebel Segedel.

Rozłożywszy się obozem, puściliśmy konie, żeby się pasły w pobliżu. Przeważająca liczba uzbrojonych Hamemów otoczyła nas zaraz, nikt jednak nie zbliżył się, by przemówić lub podać nam łyk wody. Rozmowa nasza obracała się wyłącznie około tematu, czy Hememowie pozwolą umknąć Krumirowi, a obawy nasze okazały się niestety nie całkiem płonnymi. Tak mijła godzina za godziną, słońce zniżało się coraz to bardziej, a wraz z nim kończyła się nasza cierpliwość. Po ruchu wśród Hamemów poznaliśmy, że na równinie coś się dzieje. Mały oddział oddalił się od reszty i powrócił niebawem z trzema jeźdźcami. W jednym z nich poznaliśmy Omara Akamawi, a trzecim był niewątpliwie z taką tęsknotą wyczekiwany szejk Jamar es Sikkit. Był to starzec lat około siedemdziesięciu, o wysokiej, lecz niepochyłonej postawie. Pomarszczona twarz, opalona od słońca, przybrała barwę skóry wyprawionej, a długa, jak śnieg biała, broda spadała mu na piersi.

Powstaliśmy z ziemi, on zeskoczył razem z towarzyszami z konia i podniósł ręce na powitanie.

— Bądźcie pozdrowieni, bracia mojego przyjaciela. *El szemsl* niechaj przyświeca waszym drogom, a *el kama* niechaj strzeże spoczynku waszego w nocy. Ojcowie wasi cieszą się waszym życiem, a synowie biorą sobie za przykład czyny rąk waszych. Który z was jest szejk Ali en Nubari, wódz Sebirów?

— Ja! — odrzekł wezwany.

— Podaj mi rękę. Dusza twoja zasmucona wielką stratą, ale pociesz się, albowiem oddam ci wszystko, co ci zabrano! Który jest Mohammed er Raman, szejk Meszeerów?

— Ja.

— I ty podaj mi także rękę, albowiem jesteś bratem tego, którego ja miłuję! Bądź mi pozdrowion teraz i po wszystkie czasy! Gdzie są dwaj emirowie z krainy Franków?

— Oto oni — rzekł Omar. — Ten mówi językiem wiernych, tamten zaś nie.

Stary przypatrywał mi się długo, a potem przemówił w te słowa:

— Emirze, słyszałem dużo o tobie. Ty nie boisz się całej gromady nieprzyjaciół, ty zabiłeś *sidi es salssali* i pokonałeś *abu'l afrida*, ty czytasz świętą księgę. Kiedy wieczorem zabrzmią przy ognisku pieśni słyży się twoje imię. Niechaj Allah błogosławi twe wejście do mojego obozu, chociaż ty wielbisz go w inny sposób. Lecz *Allah ill Allah*, Bóg jest Bogiem, tym

samym, jakiegokolwiek nadano by Mu imię. Powiedz emirowi, nie rozumiejącemu słów moich, że mile witam go ja i moi ludzie!

— Dziękuję ci, Jamarze es Sikkit! Serce twoje pełne dobroci, a dusza twoja jest mieszkaniem mądrości i rozumu. Twoi ludzie nas nie przyjęli, lecz ty oddasz nam sprawiedliwość i ucziesz prawdę, jako prorok nakazał. Zaprowadź nas do swego namiotu, gdyż pragnę zamienić słowa przyjaźni z najmędrszym i najszlachetniejszym szejkiem Hamemów!

— Wsiądźcie na konie! — poprosił. — Tacy goście nie powinni nóg swoich okrywać pyłem, wchodząc do *duaru* Jamara es Sikkit.

Dosiedliśmy więc znowu koni i pojechaliśmy do obozu. U wejścia czekał syn szejka, Sar Abduk. Minę miał posępną, a widząc, jak uprzejmie zostaliśmy przyjęci przez ojca, ukrył swoje zakłopotanie na niechętnym obliczu.

— Synu mój — rozkazał es Sikkit — pozdrów moich gości, gdyż są zarazem twoimi!

Wezwany posłuchał i podał nam wszystkim rękę, po czym przyłączył się do nas, kiedyśmy jechali przez obóz. Przed wielkim namiotem szejka zsiedliśmy z koni; a na skinienie dowódcy wyciągnęło się wiele rąk, aby odebrać od nas konie. Wszystko wyglądało prawdziwie patriarchalnie. Gdyby jeszcze palmy tam rosły, byłoby można myśleć, że przyjmowano nas w gaju Manre u Abrahama. Jamar skinął na młodego Beduina i rzekł:

— Niechaj zabiją jagnię i przyrządzą dla moich gości wieczerzę! Uznałem za stosowne sprzeciwić się.

— O szejku, bądź pewny, że strawa nie przejdzie przez nasze usta, dopóki nie zostanie załatwiona sprawa, dla której przybyliśmy tutaj!

— Panie — odrzekł — widzę, że działasz jak mąż, któremu Allah użyczył siły woli i czynu. Ja uczyniłbym tak samo. Życzenie twoje spełni się niebawem.

Zwrócił się do syna i rzekł:

— Zawołać Krumira Saadisa!

Twarz młodzieńca drgnęła, po chwili odpowiedział.

— Jego tu nie ma.

Na te słowa przystąpiliśmy bliżej, a stary szejk zmarszczył brwi i zapytał:

— Nie ma? A gdzie jest?

— Odjechał.

— Allah! Czemu?

— Ponieważ usłyszał, że ci mężowie tu przyjechali.

— Co zabrał ze sobą?

— Dziewczynę.

— I oba konie, na których przybył?

— Tak.

— *Allah ill Allah, ia Allah!* A ty go puściłeś? — wybuchnął szejk. — Czy twój rozum się zaćmił, że myśli twoje błądzą tak fałszywymi ścieżkami? Ty niszczysz imię moje i burzysz chwałę mego domu. Jesteś najstarszym z moich synów, ale najmłodszy byłby mądrzej postąpił!

Oczy Abduka zaiskrzyły się wyraźnie.

— Czy mogłem go zatrzymać? — zapytał z gniewem. — Był naszym gościem i bratem. Co mnie obchodziły sprawy tych ludzi, którzy zdarli mnie z konia i zagrozili mi nożem.

— Kto to uczynił?

Na to gniewne zapytanie szejka odpowiedziałem:

— Ja to uczyniłem. Sar Abduk nazwał nas *giaurami*, życzył nam, żeby nas Allah potępił i chciał nas opluć. Czy ty byś to ścierpiał, szejku? Allah udzielił mi siły w rękach, jakiej nie ma żaden z Hamemów, pochwyciłem więc bluźniercę z konia i przyłożyłem mu nóż do gardła, aby mu pokazać, na co zasłużył, lecz jako syna Sikkira puściłem go wolno. On zaś zamiast mi podziękować, oskarża mnie teraz za to, że byłem dlań dobrotliwy i miłosierny.

Szejk patrzył długo przed siebie. Ani jeden rys jego czcigodnej twarzy nie zdradził jego myśli, ani uczuć. Potem zapytał syna:

— Czy wiedziałeś, że Omar Altantawi udał się po mnie?

— Wiedziałem — rzekł Sar Abduk z wahaniem.

— W takim razie nie powinieneś być się mieszać. Zawstydziłeś twarz moją i będziesz musiał to odpokutować. Dokąd zwrócił się Krumir?

— Stąd zmierza na Dżebel Sidi Aisz, potem do Uelad Szahia, a następnie przez Seddadę, Tozer, Nefte, Sidi Khalifat i Tarsud do Tuggurtu.

— Czy podał ci drogę fałszywą?

— Nie.

— Teraz posłuchaj, jaką ci zadam karę. Weźmiesz nasze najszybsze konie i tyłu wojowników, ilu będzie trzeba i popędzisz za nim. Gdziekolwiek go spotkasz, pochwycisz go, albo zabijesz. Nie pokażesz mi się więcej na oczy, chyba razem z dziewczyną i oboma końmi. Przysięgam na Allaha i proroka!

— Pochwycić go albo zabić? — zawołał syn. — On jest naszym gościem!

— Nie. Już nim nie jest. Gdyby dotychczas był naszym gościem, musiałyby oddać swoją zdobycz, a jego nikt nie śmiałyby dotknąć. Teraz jednak opuścił nasze namioty i pozostaje pod swoją własną ochroną.

— On był naszym przewodnikiem!

— Był, ale już nie jest. Po dwakroć złamał przysięgę i po dwakroć zapłacił za gościnę rabunkiem. Dowiedziałem się o tym od Omara Altantawi. Niechaj więc będzie jako hiena, której nie, zabija się kulą, lecz kijem. Każ siodłać konie, ponieważ nie ma czasu do stracenia. Przysięgę moją słyszałeś. Na kości przodków moich, ja jej dotrzymam!

Temu sprzeciwił się Mohammed er Raman.

— Zostaw swoich wojowników, szejku! Czy sądzisz, że możemy zdać na innych? Czy mamy tutaj siedzieć bezczynnie jak tchórze i ginąć z niecierpliwości? Nie, sami popędzimy za Krumirem. Czy słusznie powiedziałem, mężowie?

W odpowiedzi zawtórowaliśmy mu głośnymi okrzykami. Szejk chciał się dalej sprzeciwiać:

— Nie znacie okolicy!

— Ten emir umie ślady czytać — odparł Ali en Nurabi — Pójdziemy za zbiegiem, dopóki nie wpadnie nam w ręce.

— To wypocznijcie przynajmniej i spożyjcie u mnie ucztę gościnności!

— Wybacz, Jamarze es Sikkit — odrzekłem — wszak wiesz, jak droga nam jest każda minuta. Musimy ruszać w drogę!

— To przyjmijcie ode mnie, czego serce wasze pożąda! Mój syn będzie z wami, gdyż szejk Hamemów jeszcze nigdy słowa nie cofnął. Klacz jego szybka jak piorun i rozbójnik jej nie ujdzie. Jest jeszcze u mnie druga, której żaden koń dotąd nie dogonił. Pożyczę wam jej, jeśli wasze zanadto zmęczone.

Była to propozycja niezwykle wielkoduszna, nie omieszkałem tedy skorzystać z niej natychmiast.

— Serce twoje, szejku, hojne w dobrodziejstwa — rzekłem — jak noc pełna rosy! Przyjaciel mój i towarzysz, waleczny Achmed es Sallah, niewątpliwie znużył zanadto klacz swoją z wadi Serrat, mogłyby ją opuścić siły, kiedy ich najbardziej będzie potrzeba. Zatrzymaj jego klacz tutaj, a pożycz mu swojej. Będzie ją miłował i hodował jak swoją, a potem odda, gdy powrócimy!

Zależało mi na tym, żeby Achmed odegrał ważną rolę przy pochwyce Krumira, ponieważ miał zasłużyć sobie na Mochallah.

— Niechaj ją weźmie — odpowiedział szejk. — Nikt z Bedawich nie pożyczylby swojej klaczy, ale moi ludzie naruszyli wasze prawo, dlatego nie pożałuję starań, żeby wam to zostało wynagrodzone.

- Jak dawno Krumir wyjechał z *duaru!* — zapytałem Abduka.
- Słońce przebiegło od tego czasu piątą część swojego łuku.
- Czy są pochodnie w obozie?
- Są.
- Trzeba je zabrać, żebyśmy mogli i nocą jechać.

W ten sposób znowu zawiedliśmy się w oczekiwaniu, że dostaniemy Krumira. Syn szejka pogodził się spokojnie ze swym położeniem, a pogoń za rabusiem zaczęła go nawet z wolna zajmować.

Dzielny Achmed siedział z prawdziwie królewską miną na szlachetnym koniu, jakiego nigdy jeszcze nie miał pod sobą, i płonął niecierpliwą żądzą zobaczenia Krumira. Gdyby go spostrzegł, byłby w pogoni pewnie nie pozostał w tyle.

Na godzinę przed zachodem słońca opuściliśmy *duar*. Sar Abduk chciał jako przewodnik jechać na czele, musiał jednak tego zamiaru zaniechać, gdyż więcej ufałem śladom, aniżeli temu, co powiedział mu Krumir o zamierzonej drodze.

Trop znalazł się wkrótce. Ponieważ chcieliśmy wykorzystać godzinę, która nam jeszcze do wieczora pozostawała, przeto lecieliśmy przez równinę jak wichur, nie oszczędzając koni. Kiedy nastał krótki w owych okolicach zmierzch, przebyliśmy połowę czteromilowej drogi do Sidi Aisz.

Wreszcie zapadła noc. Po odmówieniu *el mogreb*, zapaliliśmy pochodnie, aby nie przerywać jazdy, choć teraz odbywała się znacznie wolniej. Do Dżebel Aisz przybyliśmy dopiero po dwu godzinach. Za tymi górami, a więc na zachód od nich, toczy Tarfau i swoje czyste wody ku południowi. Wytrysnąwszy na paśmie górskim, ciągnącym się od Dżebel Szambi pomocnego wschodu na południowy zachód, mija Ferianę, zatacza pod Gafsą ostry łuk ku zachodowi i uchodzi potem do małego szotu Baadza, położonego na południe od Dra el Haua.

Kiedy dojechaliśmy do rzeki Tarfau, trop nagle zniknął. Domyśliłem się w tym od razu podstęp, używanego czasem przez Indian i północno-amerykańskich myśliwców celem zmylenia prześladowców. Zsiadłem z konia, kazałem sobie podać pochodnię i poświeciłem w wodę. Rzeczywiście! Przy świetle zobaczyłem przez przezroczyste fale bardzo wyraźne odciski kopyt dwu koni. Krumir obrał więc sobie drogę przez łożysko. Aby śladu nie stracić, wystarczyło dobrze uważać na oba brzegi.

Całą godzinę jechał ścigany rzeką, a potem wyszedł z wody i ruszył prosto w kierunku zachodnim. O milę mniej więcej na zachód od Tarfaui płynie ku południowi równolegle z nią inna rzeczka, która się z nią łączy powyżej Gafsy. Rzeczką tą jechał Krumir tak samo jak poprzednio przez wody Tarfau. Wreszcie opuścił rzeczkę i ruszył w kierunku Uelad Szahia.

Tymczasem pochodnie wypaliły się. Zbliżała się noc, a że zarówno nam, jak i koniom potrzeba było spoczynku, przeto rozłożyliśmy obóz, postawiliśmy straż i spróbowaliśmy zasnąć. Udało się to wszystkim z wyjątkiem Alego en Nurabi, którego kilkakrotne niepowodzenie naszych wysiłków przyprawiło o rozdrażnienie. Kiedy śpiących zbudzono o świcie, szejka jeszcze oczu nie zamknął.

Po odmówieniu modlitwy porannej wypiliśmy trochę wody, zagryźliśmy daktylami, a osiodławszy konie, ruszyliśmy w drogę.

Zbliżaliśmy się dzisiaj do owych mniej odwiedzanych krain, w których leży spora jeszcze do dzisiaj granica między Algierią a Tunezją. Mieszkający tu i ówdzie Beduini prowadzą z sobą ustawiczne spory. Jest to w ogóle okolica niebezpieczna i krwią przesiąknięta. Tutaj musieliśmy być bardzo ostrożni.

Krumir także miał się na baczności. Okazał wprost zdumiewającą znajomość kraju i udowodnił, że zasłużył w zupełności na miano el Chabir. Nie ominął najmniejszej wklęsłości gruntu, najbardziej samotnego krzaka, żeby nie wyzyskać go jako osłony przed niepowołanymi oczyma. Pokonywał wszelkie trudności z pewnością godną podziwu i świadcząca niezbitą, że nie po raz pierwszy przejeżdżał te strony. Należało także wziąć pod uwagę to, że Mochallah

niewątpliwie bardzo utrudniała mu ucieczkę, dlatego można było przepuścić, że przywiązał ją w ten sposób do konia, iż była zupełnie w jego mocy.

Koło południa dostaliśmy się do gór Szahia, skąd przez Dra el Haua można spojrzeć w najniebezpieczniejszą część Tunezji. Jest to kraina szotów i sebch. Hen, w dole, wprost na południe, przeżyłem raz na szocie Dżerid okropną przygodę. Nie ma nic tak podstępного jak szoty. Leżą sobie tak jasne i pogodne, lodowata ich powierzchnia połyskuje tak zapraszająco, a jednak pod tą uśmiechniętą powierzchnią czyha śmierć.

Na południe od Dżebel Aures i wschodnich odnóży tej masy górskiej rozciąga się lekko falista równina z zagłębieniami, pokrytymi pokładami soli. Jako pozostałości dawnych wielkich jezior lądowych noszą one w Algierii nazwę szotów, w Tunezji zaś sabch, a składają się, licząc od zachodu na południe, z trzech wielkich szotów: Melrir, Rarsa i Dżerid zwanego także el Kebir. Ponieważ blisko dochodzi strefa el Aregl, z której wiatr południowy niesie ustawicznie na północ drobny lotny piasek, przeto wszystkie wklęsłości szotu pokryte są w większości głębokimi ruchomymi masami piasku, a tylko w samym środku zachowała się znaczna ilość wody. Pokrywa ją skorupa soli, a pod nią znajduje się tylko na głębokość jednego metra jasnozielona, niezmacona woda. Potem na pięćdziesiąt i więcej metrów sięga w głąb płynny piasek, który z cichą, istic diabelską pewnością zatrzymuje i chowa w sobie wszystko, pod czym załamie się solna skorupa.

Powłoka ta nie tworzy tak jak lód równej, gładkiej płaszczyzny, lecz zagina się w szereg falistych zagłębień i wypukłości. Grubość jej wynosi przeciętnie dwadzieścia, często jednak tylko dziesięć, a nawet i mniej centymetrów, a barwa jej podobna jest do niebieskawo połyskującej powierzchni roztopionego ołowiu. Idąc po niej, wywołuje się krokami odgłos, podobny do dźwięku ziemi w Solfatarze pod Neapolem. Lotny piasek, będący w ustawicznym ruchu, zabarwia ciemniej zagłębienia w skorupie, potem nabiera coraz to więcej ciężaru, aż w końcu przedziera się pod skorupę i zostawia po sobie nowe miejsce. Kiedy samum dmie od południa, sól trzeszczy i zgrzyta, spiekota wypala bańki i wyżera dziury, wskutek czego cała konstrukcja się zmienia. Jeszcze gorzej działa pora deszczowa. Wilgotne opady rozpuszczają sól, skorupa zapada się w wodę i utrzymuje się na pływającym piasku, albo jeśli piasek ten jest bardzo lekki i drobny, wy dostaj e się na górę i nadaje takiemu miejscu pozorowi zupełnej zwartości. To też wstępować można tylko na niektóre miejsca tych szotów i to z największym niebezpieczeństwem dla życia. A jednak, chociaż trudno w to uwierzyć, prowadzi kilka dróg w poprzek tej podstępnej pokrywy solnej, a to dzięki ożywionemu handlowi między Tunisem a słynnymi z obfitości daktyli krainami Suf i Belad el Dżerid. Drogi te są jednak, tak samo niebezpieczne, jak zdradzieckie ścieżki na bezdennych bagnach Laponii. Mając zaledwie stopę szerokości, zmieniają się one w sposób „niespodziany” a trudny do zauważenia i wywołują w przechodniu uczucie, jakiego by doznał, gdyby musiał w zimie przejść po zlodowaciałym, gładkim i wzniesionym na kilka pięt szczyt dachu. Często zapada się ścieżka tak głęboko, że woda dochodzi koniowi do brzucha, czasem sprowadza wędrowca zwodnicza fata morgana na bok w pewne objęcia śmierci. Bród taki oznaczają często małe kupki kamieni, zwane przez Beduinów *gmair*, lecz znaki te pochłania często woda, albo syn pustyni z zemsty nadaje im inne położenie. Biada wówczas nieostrożnemu, jeśli jeden krok zboczy z drogi; sebcha się otwiera, człowiek znika, pływający piasek obejmuje go w ciężkim, mokrym uścisku, a nad nim zamyka się papkowata, lecz pozornie silna i twarda skorupa.

Kto się chce puścić taką ścieżką, musi mieć pewnego przewodnika, w przeciwnym razie będzie zgubiony. Jako przewodnicy po szotach, czyli chabirowie, słyną Merazigowie, mieszkający na południowym brzegu szotu. Jeśli karawana chce przejść przez sebchę, musi najpierw wybłagać sobie pomoc Allaha. Potem rusza przewodnik, sondując dokładnie cal po calu, zanim nogę postawi. Za nim idą z poganiaczami wielbłądy, jeden za drugim, a nawet z głową przywiązaną do ogona poprzednika. Ilekroć pokażą się miejsca niebezpieczne, przewodnik się waha, wielbłądy i konie parskają trwożnie, lecz wszystko musi iść naprzód bo



ani na chwilę nie powinna noga zatrzymać się na cienkim, trzeszczącym i bryzgającym wodą gruncie, jeśli nie chce utonąć. Jest to zataczanie się nad grobem, nad piekłem, a kiedy nareszcie uczuje się drugi brzeg pod nogami, wszyscy oddychają głęboko, a mężczyźni zwracają się twarzą ku wschodowi, aby zawołać *hamdullillah* i podziękować Bogu, że potworowi nie pozwolił otworzyć paszczy. Na początku ubiegłego stulecia przechodziła przez szot el Kebir karawana, złożona z przeszło tysiąca wielbłądów i wielu ludzi. Nieszczęśliwym przypadkiem zapadło się kilka gmairów, wielbłąd naczelny zбочzył ze ścieżki i zniknął w głębi, a za nim poszły inne. Wszystko zginęło w ciągnącej się papce, która zamknęła się nad karawaną, a w pół godziny wygląd skorupy niczym nie świadczył o strasznym wypadku. Tak utonęły setki tysięcy w tej mydlastej otchłani, a ilekroć ktoś nie wrócił już do *duam*, odmawiali jego najbliżsi *surę* śmierci, dodając jeszcze te słowa: *.Ruhh es sebcha*, duch szotu, sprowadził ich z drogi i wpadli w pływający ogród piaszczysty. O Allah, zbaw ich!

Wedle wierzeń ludzi, mieszkających dokoła szotu, *ruhh es sebcha* przebywa w głębinach wody i otwiera wrota śmierci, ilekroć wstąpi człowiek, który nie zwrócił wprawdzie w modlitwie twarzy ku Mekce. Jeśli niewierny, albo wielki grzesznik kroczy ponad głębią, podnosi się duch szotu, ukazuje nad wyziewami błyszczące miasto lub kwitnącą oazę, a kiedy zwiedziony tym człowiek chce pośpieszyć do zwodniczego obrazu, pada w ramiona niemego *obu jahija*, anioła śmierci.

To wszystko przyszło mi na myśl, kiedy stanęliśmy na Wyżynie Szahia. Aż do tej chwili jechał Krumir zupełnie tak, jak powiedział Abdukowi. Jeśli słowa jego miały sprawdzić się i nadal, musiały się zwrócić na południe. Widocznie jednak znalazł jakiś powód do zmiany kierunku, gdyż ślady skrzyły na południowy zachód a potem wprost na zachód.

Jechaliśmy tymi śladami między Szahia i Dra el Haua aż do zmroku wieczornego, kiedy znowu skierowały się na południowy zachód. Zmęczyliśmy rzeczywiście siebie i zwierzęta, a dokładne badanie tropu wykazało, że zbieg był przed nami tylko o godzinę drogi. Zorganizowaliśmy postój i postanowiliśmy dołożyć starań, żeby nazajutrz przed południem go doścignąć.

Rozsiodłaliśmy konie, dojechawszy do krzaków i urządziliśmy sobie z siodel i der posłania.

— A jednak mnie oszukał — rzekł Sar Abduk. — Nie pojedzie przez Seddadę i Nefte, lecz przez Asłudż do Tuggurtu.

— Czy zna także tę drogę? — zapytałem.

— On zna tu wszystkie ścieżki. Przecież to *chabir*. Nawet na szocie zna wszystkie głębie. Jego nic nie zmyli; on prowadził podróźnych przez szot Rarsa i na el Toserija i es Suidal. Ja sam jechałem z nim przez Rasa i koń jego ani raz nie stąpił fałszywie.

— Ja także jechałem przez Dżerid. To przez sebchę Rarsa wiodą także ścieżki?

— Dokoła tej sebchy mało jest miejscowości zamieszkałych i dlatego nie ma tam pewnych ścieżek. Tylko bardzo śmiały Bedawi puści się na niebezpieczną sól.

— Jak daleko stąd do Asłudż, które dzieli sebchę Rarsa od Melriru?

— Musiałbyś jechać od rana do wieczora.

— A do najbliższego punktu Rarsy?

— Możesz się tam dostać za trzy godziny.

— Wobec tego musimy spróbować odciągnąć Krumira od szotu, bo puści się na sól, a my wtedy nie będziemy mogli ścigać go dalej.

— Nie odważy się na to.

— Czemu nie?

— Musi prowadzić jednego konia, a ścieżka dla dwu zwierząt za wąska.

— Sądzisz więc, że nam nie ujdzie, jeśli go na szot zapędzimy?

— Na pewno nie ujdzie.

— Poświęci jednego konia z dziewczyną, a sam wstąpi na szot; wówczas umknie nam z bułanem, na którego siądzie.

— To zestrzelimy go z siodła.

Brzmiała w tym taka pewność siebie, że sam w to uwierzyłem.

— Sidi — zapytał Achmed es Sallah — czy spełnisz mą prośbę?

— Owszem, jeśli tylko potrafię. O co ci chodzi?

— Ty strzelasz lepiej od nas wszystkich. Weź na siebie Krumira, a mnie zostaw Mochallah!

— Chętnie, o ile tylko będzie to możliwe. Jeśli jednak nie będzie konieczności, nie będę strzelał. Nie należy na próżno przelewać krwi ludzkiej. Wolimy go dostać żywcem.

— To zrań go, a potem go osądzimy.

Z tego i z innych rozmów widać było, że na jutro spodziewano się końca pościgu. Anglik też tak myślał.

— Hm! — rzekł, kiedy zawiadomiłem go o zamiarach towarzyszy. — A więc jutro kończy się sprawa? Szkoda!

— Jak to?

— Gdzie znajdziemy potem nową przygodę?

— Jakoś to będzie. Zresztą, czy musimy ciągle mieć przygody?

— A cóż? Jeździć może każdy, jeść i pić także. *Yes!* Zostawcie Krumira mnie! Wypróbuję na nim moją rusznicę.

— Tego nie zrobimy, sir! Warto przecież dostać go całego.

— Ale jak? Nie będzie przecież taki głupi i nie stanie spokojnie, kiedy zechcecie go pojmać!

— Tu nie da się nic z góry przewidzieć, trzeba czekać, jak się wypadki ułożą.

— To słuszne, ale hm! Coś mi na myśl przychodzi.

— Co takiego?

— Znacie chyba sznur skórzany, zwany lassem lub lariatem. Można by sobie zrobić coś takiego i pochwycić go na to.

— Sir, to niezła myśl! Nie ma tu wprawdzie rzemieni, ale są silne sznury z leffu. Umiem władać lassem. Może sporządzimy coś takiego?

— *Well.*

W kwadrans potem miałem mocne lasso, aby się zaś przekonać, czy potrafię nim pewnie władać, ćwiczyłem się pomimo ciemności na gałęziach krzaka. Próba wypadła zadowolająco. Miałem zatem broń, za pomocą której mogłem Krumira dostać w ręce żywcem.

Postawiwszy straż, położyliśmy się spać z nadzieją, że jutro o tym czasie zadanie nasze będzie już spełnione. Ponieważ zasnęliśmy bardzo wcześnie, przeto zbudziliśmy się nazajutrz jeszcze przed świtem, i wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Może po godzinie jazdy dostaliśmy się do dolinki porosłej krzakami akacji. Tu spędził Krumir noc razem z pojmaną. Czuł się tak bezpieczny, że nawet ogień rozniecił. Mochallah przywiązana była do drzewa, co poznać było można po śladach. Ostatnie odciski, pozostawione przez ludzi i zwierzęta, były tak świeże, że Krumir mógł być zaledwie o pół godziny drogi przed nami.

Ruszyliśmy więc naprzód ze wzmożonym zapałem. Z doliny wjeżdżało się na wzgórze, a kiedy dostaliśmy się na szczyt, zatrzymaliśmy wszyscy mimo woli konie. Od południa błyskał ku nam z dalekiego widnokregu szot Rarsa, od którego aż do nas ciągnęło się rozległe morze piasku, prawie bez roślinności, a po prawej ręce kłusowały dwa konie: siwy i bułan. Na pierwszym z nich siedziała postać kobieca, a na drugim Krumir, którego poznaliśmy natychmiast. — *Allah ill Allah!* — zawołał Ali en Nurabi w radosnym triumfie, zerwał strzelbę z rzemienia przy siodle i puścił się pędem po zboczu.

Ta nieostrożność miała się niebawem na nim zemścić. Powietrze poranne zaniosło okrzyk szejka do uszu Krumira, bo odwrócił się zaraz, a spostrzegłszy nas, przyspieszył.

Wszyscy ruszyli w ślad za szejkiem Uelad es Sebira, tylko Achmed trzymał się przy mnie.

— Czemu nie jedziesz z nimi? — zapytałem go z uśmiechem.

— Ponieważ ty zatrzymałeś się — odpowiedział. — Z pewnością wiesz, dlaczego to czynisz?

— Pewnie, że wiem. Popatrz, jaki łuk zatacza sebcha na prawo; po tym łuku oni pojedą. My natomiast podążymy wprost. W ten sposób nadrobimy ten kawał drogi, o który Krumir jest jeszcze przed nami. Naprzód!

Ruszyliśmy najpierw klusem, potem krótkim, a w końcu wyciągniętym cwałem. Klacz Achmeda była znakomita, a ponieważ ja dotąd nie wysilałem zbyt karego, toteż biegły oba konie całkiem równo. Z wolna stawał się piasek coraz to głębszy, mimo to nie zmniejszaliśmy naszej prędkości. Krumir uważał tylko na tamtych prześladowców, a nas jeszcze nie spostrzegł, chociaż my byliśmy dlań niebezpieczniejsi. Można było przewidzieć, że go nie dościgną; biała klacz i bułan przewyższały ich konie w ręczości, chociaż zniosły już niemałe trudy.

Wtem zwrócił się Krumir na prawo, zobaczył nas i zmusił konie do większej szybkości. Jechał równolegle z brzegiem szotu, a ponieważ miał pod sobą głębszy piasek niż my, przeto ja nie musiałem jeszcze użyć tajemnicy mego ogiera. Krumir był ciągle przed nami. Jadąc po cięciwie łuku, nie wątpiliśmy, że go dościgniemy.

Tak upłynęło z pół godziny. Coraz to bardziej zbliżaliśmy się do błyszczącego zwierciadła szotu, koniec łuku sam się zbliżał. Zostawiwszy za sobą już dawno naszych towarzyszy, dotarliśmy do zatoki, wysuwającej się z szotu w głąb łądu. Krumir był tuż przy niej, ja w tej samej wysokości, tylko o kilometr od niego, a przy mnie wciąż jeszcze Achmed. Wtem zmieniła się przed nami panorama. Szot cofnął się nagle, ustępując miejsca szerokiemu półwypowi, wcinającemu się weń daleko. Krumir podniósł się w siodle, wydał głośny okrzyk radości i machnął wzgardliwie ręką. Następnie zwrócił konie na lewo i popędził wprost ku szotowi.

— *Allah kerihm!* — krzyknął Achmed. — Pędzi na sól!

Nie odpowiedziałem, ponieważ nie było na to czasu, szarpnąłem tylko konia w tym samym kierunku i położywszy mu rękę między uszy, zawołałem:

Koń przestraszył się po prostu dźwięku mego głosu, wypchniętego z gardła przerażeniem. Zdawało się, że całkiem ziemi nie dotyka. Poznał po krzyku, że przyszedł czas udowodnienia, że jest „Wiatrem”. Domyśliłem się, że Krumir szuka ujścia ścieżki przez szot, a gdyby się Mochallah raz tam dostała, byłoby po niej. Musiałem więc go dopędzić, zanim dojedzie do brzegu sebchy. Miałem wrażenie, że przestrzeń, znajdującą się przede mną, rzucał ktoś poza mnie, a chociaż półwysep wchodził daleko w solne jezioro, mimo to nikał po prostu w moich oczach. Zbliżałem się do ściganego coraz bardziej, stopniowo dzieliło mnie od niego dziesięć, osiem, pięć, trzy wreszcie tylko jedna długość konia.

Podniosłem lasso prawą ręką, ale jeźdźca nie mogłem mierzyć, bo w takim razie byłby przepadł cenny koń, który w szalonym rozpędzie byłby pobiegł dalej na sól. Musiałem więc zarzucić pętlę przez głowę bułana. Wtem dobiegłem do Krumira i zawołałem:

— Stój!

— Masz, szatanie! — odpowiedział.

Krzyknąwszy te słowa, podniósł rękę z pistoletem do góry. Ja rzuciłem lasso w powietrze, a w tej samej chwili huknął jego strzał. Pochyliłem się szybko i szarpnąłem konia w bok, aby się pętla ściągnęła. Ten ruch ocalił mi życie, ponieważ kula przeleciała tuż obok. Mój kary nie był ujeżdżony do lassa, nie mogłem więc nagle go zatrzymać, gdyż byłby się przewrócił. Powstrzymałem tylko jego bieg. Naraz pętla zacisnęła się, bułan stanął dęba i runął.

Krumir nie widział jeszcze nigdy lassa, dlatego brakło mu koniecznej w takim wypadku przytomności umysłu. Wszelako był na tyle zręczny, że wyskoczył z siodła podczas upadku. Dostał się wprawdzie nieuszkodzony na ziemię, ale klacz, którą prowadził za cugle, powlokła go kawał drogi za sobą. Gdy zaś na chwilę stanęła, wskoczył na siodło za Mochallah i pognął dalej. To wszystko tak szybko się stało, że nie mogłem temu przeszkodzić, ponieważ pętla lassa okręciła się dokoła kuli u siodła, czyli byłem przywiązany do bułana. Zanim opanowałem mego

ogiera i dobyłem noża, ażeby przeciąć łąso, Krumir siedział już na klaczy, a w kilka sekund potem wpadł na solną skorupę, dźwięcząca jasno pod kopytami jego konia. Ruszyłem za nim natychmiast. Nie myśląc o niebezpieczeństwach tej jazdy, nie spuszczałem tylko oka z tego, który jak strzala mknął przede mną po zwierciadlanej płaszczyźnie. Ruhh es sebcha wabił mnie do siebie. Ale czy tylko mnie? Usłyszawszy za sobą tętent, oglądałem się i ujrzałem z przerażeniem Achmeda na soli, pędzącego za mną na swojej klaczy. Ta krótka chwila, którą straciłem przy przewróconym bułanie, pozwoliła mu doścignąć mnie.

— Zawracaj! — zawołałem, a właściwie wrzasnąłem.

— *Allah akbar*, sidi, ja ciebie nie opuszczę! — doleciała mnie jego odpowiedź.

Nie troszczyłem się już dalej o niego, bo musiałem całą uwagę skupić na Krumirze. Dotychczas skorupa była równomiernie mocna, naraz spostrzegłem wynurzający się szereg gmairów jako nieomylny znak, że niebezpieczeństwo bliskie. Skorupa zaczęła się falisto wznosić i zagłębiać; wypukłości błyszcząły metalicznie, a w zagłębieniach leżał podstępny lotny piasek. Mimo to gnaliśmy przez te wzniesienia i doły. Grunt dudnił, drżał i trzeszczał pod nami. Nie był to już ów dźwięk pełny, brzmiały uspokajająco, lecz dziwnie płaczliwy i świszczący, że powodował mimowolnie kłapanie zębami. Wkrótce zrobiło się jeszcze gorzej. Doliny fal zaczęły wyglądać gąbczasto jak śnieg topniejący, były często pod wodą, która bryzgała nam nad głowy, całe płaszczyzny trzęsły się, chwiały i kipsały pod kopytami rozszalałych koni. Śmierć leciała z nami, przed nami, obok nas i pod nami. Nie odwracałem oka od Saadisa el Chabir, naszego przewodnika, jedyne go *chabira*, która mógł nas ocalić. Gdzie on podrywał konia, tam ja czyniłem to samo, naśladowałem każdy ruch jego, skierowywałem ogiera w te same miejsca, po których przebiegała jego klacz. To samo czynił Achmed. Była to moja najstraszniejsza jazda w życiu. Tętna biły mi gwałtownie, skronie paliły, porwała mnie jakaś gorączka i miałem wrażenie, że lecę przez zwały chmur, pozbawione podstawy i łączące się gdzieś z sobą. Brzegi zniknęły już dawno, znajdowaliśmy się w samym środku bezgranicznego zatracenia, a każdy krok zwiększał we mnie przekonanie, że gdyby przerażająca szybkość koni zmniejszyła się choć trochę, musielibyśmy utonąć. Skorupa soli była miejscami tak cienka, że tylko przez jedno mgnienie oka mogła na sobie utrzymać mknące po niej kopyta. Nie miałem czasu spojrzeć na zegarek. Lecieliśmy tak może dwadzieścia minut, lecz mnie wydały się one wiekami.

Wtem zauważyłem, że klacz się zmęczyła pod wpływem podwójnego ciężaru. Krumir postanowił jej ulżyć, ale gdy zobaczyłem, co chciał zrobić, włosy mi dębem stanęły na głowie. Postać jego zasłaniała mi dotychczas Mochallah teraz jednak ujrzałem, że kierując konia lewą ręką, rozluźniał prawą więzy, trzymające dziewczynę. Potem doleciał mnie okrzyk śmiertelnego strachu. Krumir poderwał Mochallah z siodła, by ją zrzucić z konia, ona jednak przyczepiła się do niego z siłą rozpaczy, uwiesiła mu się rękoma u prawej nogi i wlokła się tak za nim. Na to zbój podniósł pięść i uderzył dziewczynę w głowę; ręce jej puściły go natychmiast, a ona spadła nie na ścieżkę, lecz obok niej. Tu nogi jej nie znalazły oparcia, płynna sól się poddała i dziewczyna zaczęła tonąć. W tej samej chwili nadbiegł tam mój ogier, ja zaś schyliłem się nisko i pochwyciłem dziewczynę za ramię. Nie puściłem jej, lekka postać dziewczyny zakreśliła w powietrzu wielki łuk i upadła w poprzek siodła przede mną.

Było to dziełem dwu sekund. Za mną zabrzmiał głośny, radosny okrzyk Achmeda. Siwce Krumir ulżył, mój kary natomiast nie odczuł widocznie zwiększonego ciężaru, dzięki temu pogoń na śmierć i życie trwała nadal.

Wtem ujrzałem nareszcie przed sobą ciemny pas który, zbliżał się do nas szybko. Dzięki Bogu! Krumir obrał drogę, przecinającą tylko część sebchy. Gdyby chciał przejechać przez całą szerokość szotu, wynoszącą w tym miejscu około trzydziestu kilometrów, bylibyśmy zgubieni. Upłynęła minuta, potem druga, pas był już całkiem blisko, grunt trząsał się jeszcze, pieniał się i trzeszczał pod nami, ale naraz wydał dźwięk twardy i mocny. Pędziliśmy po mocnej skorupie ku ziemi.

— *Allah ill Allah!* — zawołał Krumir.

— Hussah, skacz za mną, Achmedzie! — krzyknąłem.

Kary przeleciał jak ptak przez szeroki bagnisty brzeg szotu, dzielący skorupę solną od stałego gruntu, a zaraz za mną wylądował także szczęśliwie Achmed. Konie nasze ubiegły jeszcze kawałek, zanim stanęły. Lecz gdzie podział się Krumir? Biała klacz tkwiła zadem w bagnie, a o kilka kroków przed nią leżało na ziemi jego ciało.

Zsiedliśmy i pomogliśmy najpierw koniowi wydobyć się z błota, a potem przystąpiliśmy do jeźdźca. Zmęczona klacz skoczyła za blisko, a wyrzucony z siodła Krumir uderzył głową o ziemię i skrzył kark.

— Boże bądź miłościw jego duszy! — rzekłem zaczerpnąwszy głęboko powietrza.

— *Allah jenarl al barrasz.* Niech Bóg potępi tego trędowatego! — dodał Achmed i przystąpił do Mochallah, którą tymczasem położyłem na piasku.

— Sidi, ona nie żyje! — zawołał przestraszony. Zbadawszy dziewczynę, oświadczyłem:

— Żyje, tylko zemdlą!

Wziął ją Achmed na ręce i zaczął całować w oczy, usta i policzki, dopóki się nie przebudziła. Ja tymczasem zająłem się końmi, które stały z szeroko rozwartymi nozdrzami i robiły silnie bokami. Natarłem je mocno i zwróciłem się znów do Achmeda. Pocziwcowi łzy stanęły w oczach, chciał rozmawiać z Mochallah, lecz nie dostawał odpowiedzi. Nie rzekłszy ani słowa zawisała mu na szyi i wydawała z siebie tylko nieartykułowane dźwięki.

— Oszczędzaj ją, Achmedzie es Sallah! — prosiłem. — Wycierpiała bardzo wiele, a ostatnie pół godziny wyczerpało ją bardziej niż zdoła kobieta znieść.

— Tak, sidi, to było okropne! Czym jest *el areth*, czym *abu'l afrid* wobec tej sebchy! Ruhh es sebcha pozwolił ujść nam, gdyż nie jesteśmy złoczyńcami, lecz Krumira w końcu zatrzymał. Oby dusza jego zamieszkała w *dzehennie* razem z najgorszymi diabłami! Nigdy nie zapomnę tej jazdy!

— Ja także; możesz mi wierzyć. Zdaje się, że runąłem z tysiąca minaretów, nie poniósłszy szkody ani razu.

— A ja, sidi, dziękuję ci, że ocaliłeś perłę córek, Mochallah, kiedy Krumir chciał strącić ją w otchłań!

— Nie mów teraz o tym! Jesteśmy rozdrażnieni i nie tak prędko odzyskamy spokój. Pomóż mi Krumira przywiązać do klaczy, potem weźmiesz Mochallah do siebie na konia i pojedziemy poszukać naszych ludzi.

— Czy znasz, sidi kierunek, w którym mamy się ich spodziewać?

— Znam, jechaliśmy na południowy zachód, musimy więc wracać ku północnemu wschodowi.

Wkrótce ruszyliśmy z powrotem. Jechałem na przedzie, prowadząc za cugle białą klacz, a za mną szczęśliwy Achmed es Sallah. Ze skarbcza słów wybierał najślodsze wyrazy, aby pokazać swej „perle córek”, jak nieskończenie się czuje szczęśliwym.

Już po południu dostaliśmy się do tej części półwyspu, z której zaczęła się nasza straszliwa jazda. Kiedy skręcaliśmy dokoła ostatniego rogu, nie zauważyli nas jeszcze nasi ludzie, ponieważ wszyscy siedzieli na brzegu, nie odwracając oka od błyszczącej powierzchni, na której zniknęliśmy rano. Wystrzeliłem, a wszyscy poderwali się z ziemi, gdy zaś nas dostrzegli, zabrzmiał jeden wielki, nieopisany okrzyk radości. Niebawem otoczono nas dokoła i zaszypano tysiącem pytań. Tylko jeden stał na uboczu, trzymając w objęciach uratowaną córkę i patrzył na swoją klacz rozpromienionymi oczyma; był to Ali en Nurabi.

— *Hamdullillah*, odzyskałem obie! — zawołał w końcu. — Achmedzie es Sallah, ty dotrzymałeś słowa, przeto ja także pamiętam o moim. Niechaj Mochallah, córka mojego serca, będzie twoją! Ale teraz opowiedzcie nam, jak was Allah prowadził i kto wziął duszę temu zbrojowi, na którym rany nie widać.

— Pozwól, abym ja opowiedział, sidi! — poprosił Achmed.

— Dobrze! — odpowiedziałem.

Uczyliem chętnie zadość życzeniu zacnego i wiernego człowieka. Sam usiadłem obok Anglika, ażeby mu w jego ojczystym języku opowiedzieć o naszej jeździe. On skurczył swoje długie nogi, zaplótł ręce na kolanach i słuchał z największym zaciekawieniem. Kiedy skończyłem, odetchnął głęboko i przyznał się szczerze:

— Wiecie, sir, że lubię przygody, ale takiej nie życzyłbym sobie! Najlepiej mieć pod nogami trochę stałej ziemi, jeśli się idzie na przechadzkę. *Yes!* Ależ ten Achmed, to diabeł nie człowiek; pojechał za wami na ten staw! Ale nareszcie ma swoją Mochallah, a teraz zaręczyny, wesele i wyprawa! Czy wiecie, co mu obiecałem?

— Wiem.

— No?

— Pięćdziesiąt funtów.

— I dostanie je, gdyż zasłużył sobie na to rzetelnie. *Well.*

W godzinę potem staliśmy na silnej skorupie szotu i wybiliśmy w niej dziurę.

— Ludzie — rzekł Omar Altantawi poważnie — weźcie jego ciało i rzućcie w otchłań lotnego piasku, gdzie chciał wtrącić dziecko naszego brata? Niech Ruhh es sebcha ma jego kości, zaś dusza jego niech baczy na to, czy przejdzie przez most, wiodący do raju! On złamał przysięgę, bluźnił przeciwko Bogu i prorokowi, a to najcięższy ze wszystkich grzechów. *Allah ill Allah, we Mohammed rassul Allah!*